



WYSL

CREW

FYL

Wł. pseud. Julian Kaliszewskiego
(ur. 1845, zm. 1909).

SZKICE.

SKRĘŚLIŁ

KLIN.

J. Waliszewski

Parvum parva decent.
Horat.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WARSZAWA.

w Drukarni Czerwińskiego i spółki, przy ulicy Sto-Krzyżkiej, N. 1352.

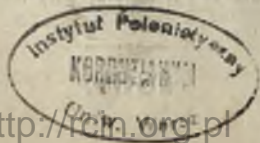
1868.

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою.

Г. Варшава, 21 Марта 1868 года.

K. 1852/1



I.

NIEDOSZŁY LITERAT.

Fotografja z życia antypodów.

Cóśkolwiek będzie pójdę swoim torem,
Szydercom^o litość, śmiech litościwemu...

Upiór.

Je croyais, moi (jugez de ma simplicité)
Que l'on devait rougir de la duplicité.

Destouches.

I.

Kapelusz mój wzbudzał powszechny okrzyk zadziwienia. Pekin zézem nań patrzył, chociaż go sam porodził. I miał słuszny do tego powód: z jego rąk wyszedł czarny a na mojej głowie miénił się seledynowo jak przepalona szyba. To przenievierstwo w kolorze oburzało stolicę państwa niebieskiego: eleganci z pogardliwym uśmiechem robili nad nim swoje uwagi; kobiety szyderczo spoglądały; łobuzy uliczne ledwie nie gromadami za mną łążyły a literaci—infandum!... jubes renovere dolorem—literaci o których mi wtedy najwięcej

chodziło, w żaden sposób nie chcieli przyznać się do pokrewieństwa ze mną i jak uważałem, prędzejby mnie nazwali druhem po łokciach wydartych lub butach dziurawych, gdybym miał takie, niżeli po starym kapeluszu. A jam się tak w nim zakochał, jak ów sławetny król francuzki we swoim. Był on najstarszym moim przyjacielem, nigdy mię nie odstępował, Europę oniemal całą razem przebyliśmy i po nim to poznawałem—nie uwierzyć—stopień cywilizacji rozmaitych ludów. Tak jest: mój kapelusz służył mi za najpewniejszy probierz stanu oświaty danego narodu. Zauważałem, iż ta ostatnia zawsze się miała w odwrotnym stosunku do podziwienia jakie on zwykł wzbudzać. W Krakowie naprzykład nader ciekawie mu się przyglądano; w Wiedniu nie wielka ilość osób zwracała nań swoją uwagę; w Paryżu, słuchajcie! w tym modnym, dystyngowanym, obrzucającym wszystko śmiechem Paryżu nikt na niego nawet nie spojrział, chociaż po całych dniach tamtejsze bulwary miały sposobność go obserwować; w Londynie tylko angielski od czasu do czasu rzucały sobie jedno słowo „stranger;“ ponieważ tam od wóźnicy kab'u, aż do członka parlamentu wszyscy noszą klassyczny cylinder; w Berlinie ledwie nie z attencją go przyjmowano, a w Poznaniu tłumnie już z szeroko otwartými usty, patrzeć nań stawano po ulicach... Cóż powiecie? w nieśczęsną godzinę powziąłem zamiar zostania literatem, i chcąc wejść do nieśmiertelnego areopagu illuminarzy literatury, byłem zmuszony rozstać się z nim na zawsze. Przy drzwiach każdej redakcji pism, każdej drukarni, jakiś tajemniczy demon wrzeszczał mi do ucha: precz z kapeluszem! Cóż miałem robić? Sława literata spać mi nie dawała. Ustąpiłem. Mój szapoklak owinąłem w angielską bibulę; złożyłem go do zbioru innych drogich pamiątek; oczapkowałem się i wzmocniony nadzieją, schwyciłem za pióro, będąc pewny, że już teraz zakłętę wrota chwały otwarły się dla mnie. A jednak... posłuchajcie.

II

Lat temu—mniejsza ile, dość, że już dawno, bardzo dawno, a nawet jeszcze dawniej, ponieważ obawiam się o dźwięk nożyc na pewnych stołach;—w chmurny poranek zimowy, który z pomocą śnieżnej zawiéruchy nie grzecznie zaganiał nazad do domu usiłujących wyjść na miasto (o czemuż wtedy nie miałem przecucia!) z bijącym sercem, z różowym uśmiechem na ustach, przyciskając silnie pod pachą zwitek papierów, jakby w obawie aby zazdrośny Akwilon nie rozwiązał myśli moich bez poprzedniego obliczenia wierszy po kopiějce; z werwą jaka mi się nigdy przedtém nie zdarzała, przeskakiwałem chodniki i ścieki jednéj z mniejszych uliczek Pekinu, na rogu którój, gdyby żył jeszcze Alighieri, pewnieby kazał przybić sążnisty afisz ze swoim nieśmiertelnym trójwierszem: *Per me si va...* Przeskakiwałem, omijałem, potraçałem spokojnych przechodniów, i zdawało mi się, że mam do tego najzupełniejsze prawo, bom ja był sądzia-krytykiem, a to com niósł, recenzją kilku-arkuszową.

Wysoki, chudy, z malenkiemi oknami, jak oczki u słonia, w stylu budowli staréj niemieckiej Norymbergji, o kamiennych wykrzywionych schodkach, o spróchniałych wschodach, o ciemnej jak przedpiekle sieni i o dzwonku do drzwi redakcji, zresztą miłej powierzchowności dom, był celem mojej peregrynacji. To cóś, którego istnieniu zaprzeczałem, dobitnym stukotaniem z pod zapiętego surduta, przekonywało mnie, że się omylił w mojej negatywności. Ręka mi drżała tak, że chcąc lekko zadzwonić, usłyszałem odgłos, jak na Ave Maria, i kiedym obmyślał jaki mam pierwszy wyraz powiedzieć do osoby co mi się ukaże, drzwi z wolna się uchylily, a przez wązką szparę tychże, ujrzałem malenki zadarty nosek, za nim dwoje ciekawych oczów razem z poprzednim oprawionych w ramki czépka o popielatěj barwie.

— Pan redaktor... wyjąkałem kłaniając się.

— Spil— i spostrzegłem się sam w sieni, bo w tój znów się drzwi zamknęły a tylko rączka od dzwonka chwili poruszona wprzód przezemnie, jeszcze dokończyła wachadłowego ruchu i lekkim stukiem dopełniała odpowiedź mi daną.

Postanowiłem czekać na przebudzenie się pana redaktora. Zasiadłem na najwyższym stopniu wschodów, rozłożyłem mój rękopis i z lubością przerzucałem jego kartki, czytając na przemian: to złe, tamto niedobre; to niezłe, a to dobre, i tak dalej, jako apodyktyczny sąd o tём wszystkiém, co drukowano. Recenzja moja była tak dobrą, jak i wszystkie inne tego rodzaju; o krytyce Grabowskiego już zapomniano, więc nie było mi się czego obawiać, a z drugiej strony, cóż więcej sympatycznego jak być krytykiem? Odemnie zależy laur, albo potępienie. Publiczność czyta to com napisał i według tego klaszcze lub syka, bo któżby tam chciał przekonywać się osobiście, czy mój wyrok jest rzetelnym? Musi być takim skoro drukowany, a druk w państwie niebieskiem dotąd jeszcze świętością. A nuż dobrze trafię? gotowi się o mnie ubiegać, moje zdanie hodować i uprawiać śniadankami,—toć przecie nie do odrzucenia. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Zerwałem się i powtórnie do drzwi natarłem. Znowu mi się otwarły, lecz tą razą już na połowę swojej szerokości i po małym otarciu o nie ramienia, znalazłem się w przedpokoju a we drzwiach saloniku ukazała mi się postać oczekiwana—we własnym szlafroku pan redaktor.

Serce mi dumą zabiło. Jegoż to widzę? Z nimże to mam rozmawiać?—więc będę mógł już teraz powiedzieć, że znam redaktora osobiście, i że z nim—cóż to szkodzi, że jeden wyraz więcej dodam—często rozmawiam?...

— Pan dobrodziej przyjmuje... artykuły...

— Owszem, jeżeli tylko są odpowiednie do mojego pisma, i...

— Oto właśnie—rzekłem podając rękopis.

— Al hm! dobrze; niech pan się dowié za tydzień—otrzymałem odpowiedź.

Pan redaktor znikł, drzwi się zamknęły. Zostałem sam w przedpokoju.

— Obraził mnie,—mruzczałem schodząc po wschodach, przecie mógł przyjąć mnie w pokoju... Ha! każdy początek trudny, a Camoens? a Malczewski? a... dopiero po ich śmierci pomnik im postawiono. Tém lepiej, mogę zarobić na nieśmiertelność...

I widziadło cierpień, a po za tém ogólne uwielbienie przedstawiło się moim oczom. Rozpromieniony nadzieją, wracałem do domu. W domu marzyłem o sławie i liczyłem godziny tygodnia z niecierpliwością. Rómea kiedy się zbliżała umówiona schadzka z uwielbianym redaktorem, to jest, chciałem powiedzieć, z Laurą.

Minał tydzień. O kwadrans czasu później wyszedłem z domu aby już drugi raz nie odbywać rekolekcji na wschodach. Pan redaktor przyjął mnie w tenże sam sposób i w tymże samym kostjumie, co poprzednio a okrągła jak Dantona jego twarzyczka protekcyjnym skinięciem miłościwie kazała mi się zgłosić po wydrukowaniu.

— Po wydrukowaniu! więc to nie sen? moje pismo zostanie drukowaném a pod niém początkowe litery mojego nazwiska? Czemuz nie całe? Ale nie, wszakże ktoś powiedział, że skromność jest cnotą genjuszów—trzeba być skromnym, a nawet mogę zaciekawic tém bardziej.

Rozmaite są przysłowia na tego, co został mocno rozradowany. Jedni powiadają, że wygląda tak, jakby go kto na sto koni wsadził; drudzy, jakby mu złota w kieszeń nasypiano; inni znów to ostatnie przyjemnie trawersują, ale podobno na określenie mojej radości, wszystkie te przysłowia za mało miałyby siły. Nie wiem jakich tam uczuć doznawał Kolumb, gdy odkrył nową ziemię; jakich Kopernik z Newtonem razem wzięci po

przeprowadzeniu swoich systematów, i jakich wieszczu laurowani u stóp światowładnego niegdyś Watykanu, ale to pewno, że rozkosz ich nie była większa od mojej kiedyś otrzymał po pewnym czasie numer pisma, w którym się znajdowała moja recenzja. Czytałem ją raz po raz i ciągle mi się zdawała inna, rosła jej piękność, a drukowane litery już mi tak tańczyły przed oczami, że ledwie mogłem zliczyć, trzykrotnie zaczynając od początku aby się nie omylić, summę wszystkich wierszy.

— Sto szesćdziesiąt siódm! to znaczy rubel, kopiejek szesćdziesiąt siódm, to znaczy jedenaście złotych, groszy cztery, to znaczy bilet do krzeseł, rękawiczki i dwie bułek, to znaczy—jużem dalej nie wiedział co ma znaczyć.

Wydobyłem pugilares, wytrząchnąłem do czysta jedną jego przedziałkę, żeby była gotową na przyjęcie tej pierwszej summy pieniężnej za moje literackie prace, schwyciłem za czapkę i nie wiem jakim sposobem w pięć minut przeleciałem połowę miasta, co mię oddzielała od mieszkania pana redaktora.

Dzwonię; ów nosek w czépku pokazuje mi się.

— A! to pan... zaraz.

Zostałem w sieni. Po chwili słyszę głos.

— Pan powiedział, żeby za kilka dni przyjść—i drzwi znowu zamknięte.

— To źle, już mnie drugi raz obraża. Cóż on sobie myśli? to źle, przecieżem nie żaden jego krawiec... to bardzo źle... poczekaj! ale nie, *patientia sapientia*, należy cierpieć.

Za kilka dni znowu byłem przy dzwonku.

— Pan się dziwi, że pan taki niecierpliwy, kazał przyjść na pierwszego,—było ultimatum, jakie usłyszałem.

— Na pierwszego!—bełkotałem—ja na pierwszego mam przyjść! mniejsza o to, że teraz dopiero po pierwszym, ale mój honor, honor literata... jam przecie nie chłopiec co buty nosi... ja, ja... to zanadto!

Wróciłem do domu. Pierwszy kawałek czystego papieru com znalazł, zapisałem strasznymi wyrzutami a w końcu dodałem, że ja przeciwnie nie odkładając do pierwszego, zaraz dziś, dziś z rana daruję Imci panu moją należność. Zapieczętowałem i rzuciłem list do skrzynki.

Sądziłem w naiwności, że to będzie straszna zemsta z mojej strony. I była rzeczywiście. W kilka dni społkałem na ulicy mojego redaktora. Przeszedł koło mnie prędko i tylko szyderczy uśmiech jego pulchnego oblicza i na długo mi się odbił na retynie mojego oka.

III.

Sława to mrzonka, wielkość to urojenie a zysk materialny to oś na której ludzkość się obraca. I słusznie. Minęły te czasy kiedy na zdobycie dębowego listka łamano sobie kości i starano o popuchnięciu łydek na igrzyskach olimpijskich, lub zrywano sobie gardła po stentorowym krzyku i wysileniu na deklamacją rapsodu rycerskiego. Nie było to niczem innym, jak rodzaj *delirium tremens* atletów i wieszczów. Dziś lepiej. Siedzisz sobie spokojnie w gabinecie, kleisz model nowego rodzaju cyndonalówki lub piórem ze stali (ważna bo na długo starczy) swobodnie siedząc na fotelu, krészisz okropny dramat, ażeby potem stu-prasowy druk, nie jak dawniej zbyt często fałszywa stugębna fama, rozniosła imię twoje po świecie a że świata napędziła ci owęj podłej a poszukiwanęj tak jak wszystko tego rodzaju, mammony do twojej kieszeni. To jest tylko czémś co się daje dotknąć, wiaść i użyć fizycznie, reszta dobra także, ale na deser. Sława? i owszem: *post nummos*. Wielkość? a jakże *après souppé*. Bądźmy sprawiedliwymi: mój redaktor dobrze zrobił; trafił na nowiejusza, czemuż nie drzeć łyka? po drugie i ja tu nie bez korzyści

wysłem: nabyłem doświadczenia. Jedno z drugim: *absolvo te!*...

I z temi słowy zasiadłem powtórnie do pisania, ale już nie recenzji. Nie lubię powtarzanego, a co się już raz urwało nie umiem tego związać na nowo. Czuję jakiś wstręt do lutowanych przedmiotów. Rozprawa głęboka, pouczająca, na temat wielkiej wagi miała tą razą objąć missją wprowadzenia mię do grona świeczników piśmiennictwa. Poszukałem sobie innego redaktora, o całej szczebel wyżej stojącego od poprzednika, z tytułem uniwersyteckim, co już dawało gwarancję, że praca moja godnie zostanie ocenioną. W jakiś czas udałem się do niego po decyzję. Pan redaktor uznał za dobrą, ale cokolwiek za krótką, cokolwiek za zbyt naszpikowaną technicznymi wyrazami, cokolwiek za niewyczerpującą danego przedmiotu, cokolwiek za jakąś jeszcze a w końcu dodał, iż właśnie sam w tym rodzaju ma zamiar pisać i dla tego nie mógłby... to jest... jak sam to uważam...

Zauważałem więc i skłoniłem się chcąc odchodzić, ale we drzwiach otrzymałem zapewnienie, że jeżeli w innym rodzaju co posiadam to i owszem.. i owszem... bardzo proszę.

Wziąłem się do innego rodzaju. Etyka jest nie ujeżdżonem nigdy polem popisu dla każdego co chce zasłużyć sobie na nazwisko myśliciela. Uśmiechał mi się ten przydomek. A nuż jaką nową prawdę odkryję? Niemcy, Anglicy i Francuzi, mają swoich wielkich filozofów, my antypody tych istot wybranych nie posiadamy dotąd żadnego. Wprawdzie, śmiałkom ktoś tam golenie nadwyręza, być może jednak, że to mnie znaczone dojsć tam, gdzie nikt nie sięgnął: zresztą przez inieją czuję, tak, coś bardzo czuję, — spróbujmy. Jakież tytuł?

— „Opinja i moda“—czytał pan redaktor, cokolwiek zdziwiony, zem po raz drugi odważył się przyjsć— to coś...

— W rodzaju rozprawy—podpowiadam.

— Moje pismo wprowadzie ten rodzaj nie obejmuje, ale przeczytam.

Tydzień czasu jest koniecznym terminem do debatacji nad przyniesioną pracą. Uznałem tę konieczność i cierpliwie czekałem, żeby z końcem siódmego dnia znowu się zjawić po odpowiedź—na piśmie, bo snąc tytułowany kierownik czasopisma nie uznawał za stosowne więcej prowadzić ze mną dyskusji własnymi ustami. Tą razą nie weszłem do pokoju, ponieważ odebrałem mój rękopis przez uchylone drzwi do przedpokoju. Na ostatniej stronicy manuskryptu znajdowała się notatka ołówkiem, że autor, to jest ja, zapewne pisał pod wrażeniem przeczytanego Buffona i z tego powodu nie kwalifikuje się do czasopisma jego artykuł. Moja głowa nie mogła znaleźć na takie *dictum* żadnej odpowiedzi. Zacząłem się burzyć. Jak żyję Buffona nie widziałem, nawet na okładce, a ten mię o to posądza. Zacząłem przeklinać i Buffonów i redaktorów a rękopis jużem chciał rzucić do ścieku ulicznego, ażeby ten, jeżeli kto inny nie chce, nauczył się etyki, kiedym spostrzegł drugą notatkę, w której grzecznie mię objaśniał pan redaktor, że zresztą może dałby się artykuł zamieścić, ale kwestja tam poruszona, jest zbyt drażliwą, a nie chce znowu podnosić polemiki z obawy skandalu.....

Ciężkom westchnął. I to pole dla mnie zamknięte, a nie mam zdolności puszczać się na inne; poetą się nie urodziłem, o powieściopisarstwie mam złe wyobrażenie, cóż mi pozostaje robić?—wezmę się do tłumaczeń, ostatnia moja nadzieja.

Znałem jeden z starożytnych języków. Ani sławy, ani pieniędzy,—smutna perspektywa, ale druk taki miał dla mnie powab, że nie wiele myśląc przetłómaczyłem fragment z jakiegoś klasyka i zaniósłem go do trzeciej już z rzędu redakcji.

Pan redaktor bardzo grzeczny. Przyjął mnie nader uprzejmie, mile z emną rozprawiał a słodko upraszał,

bym się doń za kilka tygodni zgłosił. Nauczony doświadczeniem, odpowiedziałem mu, że zdaje się, iż nie będę potrzebował powtórnie się zgłaszać, ponieważ com przyniósł było tylko próbką i chyba inny większy jak przekład nadesłałbym kiedy do niego. Najzupełniejsza zgoda była odpowiedzią z jego strony. Co do honorarjów te, aczkolwiek słusznie, jak powiadał, należą się za pracę, dotąd jednak jeszcze stałej ceny nie oznaczył swoim współpracownikom.

— Ale nadziei przynajmniej mi nie odebrał—zawołałem oden wyszedłszy,—więc są jeszcze ludzie, co umieją cenić drugich i być sprawiedliwymi. Jeżeli już nie stać nas na rzeczywistą cnotę, sądzę, że pozor jej nawet jest dobrym i koniecznym dla społeczeństwa. Jawny przestępca częściej pociąga za sobą naśladowców, niż układny oszust. To fakt sprawdzony. Widać, że człowieczy charakter więcej jest pochopny do wilczej jak lisięj natury, i szczerze możemy się z tego cieszyć, a nawet nie płonąć mieć nadzieję, że złe nigdy na świecie zupełnie nie zapanuje. Gdyby ten ostatni człowiek, do którego się udał okazał siebie podobnym do swoich poprzedników, kto więc coby się stało zemną; literatura wprawdzie nicby na tém nie straciła, ale społeczeństwo mogłoby za to dostać jednego więcej trutnia, jednego jeszcze szydercę do niemałego już i tak grona...

Filozoficzne, jaksami widzicie, zaczęły mi pisać myśli po głowie, a pisały tak sobie i tańczyły rok cały i sześć niedziel, dłużej nawet, aż razu jednego, kiedym zamyslał znowu innego szukać czasopisma, coby moje elukubracje chciało zamieszczać, spotykam tego uprzejmego redaktora, który po zwykłych swoich grzecznościach, proponuje mi, czybym nie miał czasu, ot tak! zajrzeć do niego wieczorkiem pewnego dnia w tygodniu, na małą pogawędkę wraz z wielu innymi? Wymawiałem się jak mogłem, że obawiam się być dyszkantem w tém zebaniu, że niewielką pociechę będzie miał ze mnie i t. p.

Ale w końcu, naturalnie, obiecałem pamiętać o zaproszeniu, koniecznie łaskawém.

Był to fakt ogromnej doniosłości. Pękły nareszcie zapory—*nunc pectore firmo!* oto gwiazda mi błyszczy, gwiazda wielka, piękna, gwiazda blizkiej sławy. Będę jednym z tych co kierują publiczną opinią (zdanie wszystkich mających cokolwiek do czynienia z drukiem), jednym z tych co się nazywają mile brzmiącym mianem kollaboratorów, a co najważniejsza, co najpowabniejszym dla mnie wówczas było, jednym z tych, którzy wiedzą naprzód co będzie w numerze pisma jeszcze nie wydanego—! Dość, dość! *Sublimi feriam sidera vertice*—nie żądam więcej, kocham wszystkich i przebaczam za przeszłość,...

IV.

Cudneż to były te moje rojenia! Ja, com prawie zupełną stracił nadzieję, nie już błyszczenia, ale choć zostania czémśkolwiek bądź w życiu; com wpadał w niewiarę drugich i siebie, naraz wróciłem z krain zapomnienia, aby pójść i zaświecić na téj drodze o której marzyłem. Zebranie literackie, na którym czytają i prowadzą głęboko obczytane rozmowy; zebranie, które nadto ma pewien cel istnienia, które pośrednio wpływa na cały oświecony ogół i które w końcu posiada pod swojemi rozkazami organ, co myśli jego i tendencją streszcza i jako fakt spełniony stawia przed oczy potomności, miało dla mnie zawsze jakiś tajemniczy urok a uczestnicy jego wzbudzali moją zazdrość. Aż tu i ja w Arkadji! Zdawało mi się, że czoło moje wszystkim aż nadto wyraźnie mówi, iż ja jestem jednym z owych niewielu, co wścibiają swój nos bez uszkodzenia tegoż tam, gdzie tylko nie zwyczajne nosy mogą się znajdować; że, kiedym przechodził ulicą, to napewno wszyscy ci, co

mnie z przodu omijali, w tyle jeszcze raz na mnie musieli się obejrzyć, czyli, że byłem tego rodzaju osobą, na którą się nietylko z przodu spogląda, ale koniecznie trzeba spojrzeć, jak też ona i z tyłu może się przedstawiać, co naturalnie nie każdemu daném. Jednym słowem wałęsałem się z całą rozkoszą po siódmém niebie Mahometa; stawiałem sobie co najpyszniejsze budowle na lodowych płytach i w takich marzeniach, anim się spostrzegł kiedy się zbliżyło oczekiwane posiedzenie literackie, na które jam miał być po raz pierwszy inaugurowanym.

Godzina siódma wieczorem. Otwieram drzwi do apartamentów zajmowanych przez grzecznego redaktora. Salonik. Przy oknie biurko, a przy niém *sine qua non* koszyk na listy nadesłane, lecz nie nadające się do przewodniczój myśli czasopisma. W kącie szafka z dziełami, tylko co z druku wyszłemi, alem nie wszystkie tam dostrzegł. Na ścianie kollekcja rozmaitych fizysów, a między niemi *micat inter omnes... velut inter stellas... minores* sobowtór gospodarza domu. W drugiej stronie pokoju stół prostokątny, na nim lampa, przy niej paczka papierów, na paczce dzwonek, a do koła—sześciu kollaboratorów i siódmy pan redaktor. Apokaliptyczna liczba: było siódm świączników...

Następuje rekomendacja.

— Panowie się nie zniecie... Pan X¹ filozof; pan X² ultramontanin; pan X³ poeta; pan X⁴ poeta; pan X⁵ poeta; pan X⁶...

— Znam, wieszcz.

Wszyscy się kłaniają, każdy podaje rękę z dodatkiem: bardzo mi przyjemnie.

Siadamy. Pan redaktor w wolterjańskim fotelu jako prezydujący, reszta na krzeselkach. Powaga rozléwa się na całe szanowne zgromadzenie, oblicza poważne, ruchy poważne i słowa nader poważne. Prezydujący zabiera głos; mówi wolno, często się zacina w zamysleniu o czém inném, zresztą z pełném przejęciem się wygła-

szanym przedmiotem. Projekt już wszyscy znają; następuje głosowanie: rozmowa się ożywia; ożywia się bardzo, czasem mówi razem sześciu. Prezydujący wyciąga rękę, chwyta za dzwonek, woła do porządku i w końcu dzwoni—wcale nie poważnie: dzwonek ma głosik swych braci zawieszanych na szyjce angielskich pinczerów. Wszyscy się orjentują; każdy chce pierwszy umilknąć, ażeby nie dać poznać, iż to on jest przyczyną wrzawy, ale kwestja tak jest palącą, że każdy głos podwaja, a dzwonek tylko jak flażolet dodaje wdzięku i harmonji ogólnemu koncertowi kollaboratorów. Następuje jednak finał: barytonowy głos pana redaktora przemaga, reszta milknie, i oto usta prezydującego znowu swobodnie i bez współzawodnictwa się poruszają. Jeszcze pewne objaśnienie do projektu, zakończone przez ultimatum wnioskodawcy, „tak będzie.“ Czterech członków jest przeciw, dwóch za z poprawką—projekt przechodzi w całości i zostaje zatwierdzonym.

Pauza. Prezydujący podnosi się z fotelu, kroczy ku drzwiom, ogląda się, oblicza oczami ilość osób, wychodzi, po chwili wraca a za nim pokojówka z tacą zastawioną siedmioma szklankami herbaty i czternastoma rogalami. Każdemu z panów kollaboratorów, według brzmienia redaktorskiego regulaminu, dozwala się zjeść po dwa rogalki, nie więcej, a to w przewidzeniu fatalnego wypadku, że inny zjadłby za to jeden tylko, lub nic. Panowie kollaboratorzy znani są z rozsądku w tym względzie: abusum nigdy się nie praktykowało.

Ogólna konssummacja. Przyjemne dowcipy przepłatają swobodną rozmowę, ponieważ teraz zostawia się każdemu *ad libitum*, w milczeniu lub głośno spożywać dary gospodarza.

Po herbacie prezydujący poleca lektorowi *ad hoc* na to ustanowionemu (jednemu z poetów dla wdzięku), odczytać niektóre korespondencje i zostawia sąd o nich szanownym członkom. Członkowie rozmaicie o nich sądzą; prezydujący zszyderyczym, dystyngowanym uśmiechem wygła-

sza im dobitnie, że wszystkie na nic się nie przydały. Milczenie znakiem potwierdzenia. Bardzo dobrze; za to prezydujący objawia pewną myśl, którą radby zachować w tajemnicy szanownego zgromadzenia. *Conticuere omnes...* Pan redaktor postanawia na rok przyszły wydać—kalendarz. Pomysł pyszny! pieniędzy będzie *multum*. Wszyscy w błogiej nadziei tych ostatnich, jednogłośnie się zgadzają.

— Proszę, panowie, o artykuły, jeżeli który z was jakie posiada—odzywa się znów prezydujący.

Pięć zeszytów znalazło się na stole. Szósty kolaborator zapomniał. Pan redaktor to uwzględnia, ale szanowny członek czuje swoje upokorzenie: na przyszły tydzień obiecuje przynieść za to dwa. Wszakże herbatka zawsze kosztuje, a znowu aż nadto wystarcza ona na wynagrodzenie współpracowników.

— Z całego serca chciałbym już stałą cenę (nie-stała, z powodu swojej wadliwości wcale nie exystuje)—powiada prezydujący—oznaczyć wam, panowie, za waszą dla mnie pomoc...

Członkowie się mile uśmiechają.

— Ale dziś... dziś...

Członkowie od niechcenia posuwają nogi po posadzce.

— Dziś chociażbym, moi panowie, chciał z całej duszy... wiercie mi panowie...

Wszyscy wracają do porządku dziennego. Następują odczyty artykułów przyniesionych. Prezydujący słucha uważnie, uważniej głosi zarzuty, a już najuważniej niektóre rękopisa zostawia w zawieszaniu i chowa do swojego stolika.

Godzina dziesiąta. Członek jeden powstał z zamiarem natychmiastowego siadania. Pan redaktor uważa to za objaw chęci rozejścia się szanownego zgromadzenia; szybko więc powstaje, za nim koniecznie wszyscy. Następuje wyprężenie nóg i przyzwoite, nieznaczne przeciągnięcie się w krzyżach. Jeszcze coś wypowiada

ten i ów, pan redaktor stara się o dowcipne *môt de fin* i wszyscy się rozchodzą—ja z nimi.

Co się ze mną działo po wyjściu z tego literackiego posiedzenia—nie mnie oto pytać.

W on czas wierzyłem już we wszystko, w zbrodnią i oszustwo, ale o takiej bladej i eksploatacji *en gros* młodych ludzi nie miałem dotąd wyobrażenia. Widok tego okropnego terminowania przyszłych literatów na zawsze w pamięci mi pozostanie.

Tonący brzytwy się chwyta. Jeszcze raz, ostatni raz—mówilem sobie,—jeżeli się nie uda, dam za wygrane.

Napisałem powiastkę i posłem z nią tą razą do redaktorki. Kobięty są więcej uczciwe, może i redaktorki uczciwej wychodzą z pracującymi dla ich kieszeni.

— Zobaczę—odpowiedziała wzięwszy artykuł.

W kilka dni.

— Zwracam...

Po chwili.

— Nie zdaje mi się...

Ani słowa więcej nad ten dwójznanek! a wszak-żem ją z góry uwiadomił, że nie żądam honorarjów, nie żądam sławy już nawet, a tylko słowa uczciwego i wskazania drogi....

Czyż wszyscy są jak ci? nigdy nie uwierzę.

V.

Kapelusz mój znowum wy dostał z ukrycia. Stary mój przyjaciel nic się nie zmienił. Owalne kształty jego miękko ugiwały się pod moją dłoń, a skrzydła jak dwie jonickie woluty nadawały mu wdzięku prostoty, szczerości i swobody.

— Poczciwy mój druchu! znowuż ciebie oglądam? tyś jeden wierny mi pozostał, do ciebie w skrusze powracam i odtąd nigdy się z sobą nie rozstaniem. „Niech

się miota złość na cię i chytrość bezczelna" ty zostań sobą, załóż protest odważnie, śmiało stawiaj czoło wszystkim przeciwnościom, chroń mię od deszczu nienawiści, gradu szyderstwa i spieki obłudy, a tylko wtedy, gdy słońko prawdy, szczerzej serdeczności na głowę moją padnie, rozwiń swoje skrzydła i zatrzymaj ciepłe promienie miłości na mojem czole!...

Do dziś mnie on jeszcze nie odstępuje. Odważnie pod jego osłoną przesuвам się wśród tłumów i kiedy uszów moich doleci echo dalekiego pośmięchu, naciskam silniej go na oczy, przyspieszam kroku, dążąc do domu i tylko złamane pióro ex-literata zatknięte za jego taśmę, powiewem swoim wskazuje drogę, jak się coraz dalej obadwa usuwamy od ludzi.

17. III. 1868.

II.

NA KOSZU.

Z notatek bałamuta.

Czarnych włosów zwoje,
Czemu wy nie moje—?

Pieśń Indu.

Mon coeur, mon coeur point la faiblesse!
J'entend un ange me crie:
Roland! tu m'as fait la promesse,
D'avoir toujours un coeur d'acier.

Mermet.

I.

Trzy łokcie wysokości; ciało wiotkie i chude; cera blada; głowa niewielka choć dość foremna; czoło ścięsnione; oczy małe, jasne, z wyrazem tylko wtedy, gdy spoglądają na przedmiot (jedyny tylko! adnotacja pensjonarki) co obecnością swoją spowodowywa pewien rodzaj (sui generis, z zasady wyjątkowości każdej kobiety według jój własnego zdania) wibracji nóg i serca (co pierw, to rzecz fizjologów); nos prosty, ale na klas-

syczny za prosty (szczególniejsze podobieństwo z tymże członkiem opiekunki, nie matki, z lat przeddziecinnych); usta szerokie wzdłuż, ale wąskie wszérz; włosy jasne, a całość—panna Marja.

Spróbuj sobie czytelniku, z téj zajmującej postaci obniżyć wzrostu, powiększyć cokolwiek głowy, rozszerzyć czoła, a pod niém w miejscu poprzednich, osadzić parę dużych, wymownych o ślicznej oprawie błękitnych oczów, o jakich koniecznie musiał marzyć ś. Augustyn, kiedy pisał owo pamiętne zdanie, że one są zwiérciadłem duszy; spróbuj jeszcze ów zaklasyyczny nosek Panny Marji zamiénic na pospolity (jedyna wada), a resztę już sam, w jak najlepszy sposób dokompletuj w swojej wyobraźni; potém obejmij jeszcze raz okiem cały ten biuścik ozdobiony splotami ciemnych warkoczy, a pewno imię z ust ci się samo wymknie—Wincetyna.

Otóż było ich dwie. Jaka to szkoda, że mi nic nie pozostało z Homersko-Wirgilijskich komparacji w głowie! Byłoby to i okrągłej i łatwiej, jak to mówią, psim swędem wywinąć się ze studjów psychologicznych nad temi dwoma egzemplarzami płci niewieściej, na trzcinowym piedestale zdradzieckiego mężczyzn pochlebstwa od wieków się unoszącej. Porównałbym naprzykład pierwszą do wielko-okiej Hery (wyjawszy oczów, czoła no i nosa, zresztą prócz policzków i brody, ogromne podobieństwo), a drugą do—hm! możebym jój nie porównywał; nie dla tego iżby miała być nieporównana, ale—ale jakoś... albo ja wiem, dość, że nie.

Uważacie? ja sǎdzę, że serce musi należeć do stronnictwa konserwatystów, poniewaź wszelkiego rodzaju porównania, czy tam zrównania jak i komunizmy, które są zwykle objawami rewolucjonistów, nie przypadają mu do smaku. Szczególniejsza rzecz, a przecie z drugiej strony serce tak liczne przechodzi rewolucje, tak często jest bez pohamowania postępowém,—od jednego do drugiego uczucia, nawet miłości... No, ale wracam do rzeczy. Chciałbym wam coś powiedzieć o moralnej stronie moich dwóch

Ewianek, ale słowo daje, nie wiem jak się do tego mam zabrać. Tyle już napisano o charakterach kobiet, że mi cokolwiek będzie przytrudno w nowy sposób je odszkicować. At! podam wam fakta, a sami sobie ulepiecie z nich portrety.

Panna Marja ma lat szesnaście, i dopiero dwa razy się w życiu kochała. Piérwszym jój wybrańcem był—naturalnie mężczyzna, ale nad raz jeden nigdym go więcéj nie widział i dla tego co do jego postaci, mogę to jedno tylko zanotować, że nosił biały kapelusz. Nazywał się—jakoś bardzo ładnie, lecz nie pamiętam, czy od gęsi, czy od kaczek nazwisko jego pochodziło. Drugim szczęśliwcem, co zdołał pozyskać topliwę jój serduszko, byłem, niestety! ja... Widzimy z tego, że Panna Marja, aczkolwiek w wiotkiém ciele posiada wcale silne uczucia; skoro i piérwszy i drugi „jedyny,” dziś jnż zalicza się do *tempi passati*, a furtka do jój serca, jak wieść niesie, została osadzoną przez wartę jakiegoś pała X., o którym jednak bliższych nie posiadam informacji. Tyle o jój sercu. Co do główki—wiećcie jak n nas stoi wykształcenie kobiet? no, to do téj danéj dołączcie jeszcze ten fackik, że przed zaczęciem swojej szesnastéj wiosny, a przed skończeniem piérwszej klasy u Madame, pewnego brzydkiego poranku zawołany został antykwaryusz do domu opiekunki, który zakupił wszystkie książki szkolne jako już niepotrzebne, a pieniądze za nie wzięte nazajutrz ukazały się zmetamorfozowane w olbrzymi kok na główce panny Marji. Widoczna, że nauka nie poszła w las, bo tylko z głowy wlaźła na głowę... Ale fe! nie chcę być złośliwym, a nużby się o tém dowiedziała moja kuzynka, co mię za prawdę jój wyrąbywaną takim uznaje, to jużby mi napewno teraz czarńem na białém wytknęła moją wadę.

A panna Wincentyna? Już mi wisiało na ustach drugie „albo ja wiem,” lecz nie; powiem, a raczéj zapytam was o coś. Powiedźcie mi, w którym to roku mniej więcéj po raz piérwszy serce kobiety uderza, jeżeli je-

szcze nie miłością, to przynajmniej czémś do niej podobnym? He? trudna odpowiedź. Jabym wam chciał odczytać jój serce, ale jak na teraz nie sposób, bo mi, nie wiem kto, takie jakies powiększające na nos okulary wsadził, że, co się zabiorę do odcyfrowania jego (serca nie nosa) hjeroglifów, to mi tak wielkie się widzą, tak zagadkowe, a potem tak dziwne i ładne, że i odczytywać zapominam, a tylko gapię się i marzę—o czém? dalibóg, nie wiem.

Kiedym był bardzo jeszcze młody, pragnąłem kochać miłością Franciszków Salezycznych, a przedemną stawała postać anioła z piwnými oczami i ściągała jak niepysznego na ziemskie wesele. Był to pierwszy zawód. Kiedym dostał pierwszy znów postrzał w głowę od pigułki urobionój w fabryce sarkazmów Wolterjańskich, obniżyłem zbyt nadciągniętą kwintę moich uczuć i drgania jój zwróciłem do habrowych ocząt dziewczęcia—niewinnego, co nie zadługo wyszło za mąż i w zadziwiająco krótkim czasie zostało matką syna podobnego do swego ojca jak... pięść do oka. To był drugi mój zawód. Trzeciego nie miałem odwagi szukać, ale marzyć się nie wyrzekłem, tylko z pewnem zastrzeżeniem sobie, że odtąd zawsze bez celu. Ufny w siebie, biorę pierwsze lepsze, byleby zdatne tylko do téj operacji, serce, które spotykam na mojej drodze, oglądam je, pukam i marzę... Nic więc dziwnego, że nie wiem o czém myślę, kiedy chcę odczytywać serce Wincentyny. Jest ono zdatne na zasiów moich rojeń, ale o plonie nigdy jeszcze nie pomyślał,—czy pomyśle? a wszakżem się dwa razy sparzył... gdyby mi tak kto poradził?—

II.

Jeżeli ktoś ma lat dwadzieścia parę, nie nawidzi ckliwych wieczorków, gdzie grają w preferansa i walcuja

do upadłego, a lekturze, choćby ulubionej nie może się oddawać z powodu rozkosznej na przyszłość perspektywy, że się będzie prowadzonym za jedną rękę, a druga uzbrojona kijem przez obmacywanie drogi, ma spełniać posługę wzroku; jeżeli w blizkiem sąsiedztwie znajduje sposobność obserwowania dwóch zwyż opisanych roślinek starannie pielęgnowanych w doniczkach opiekuńsko-macierzyńskiej miłości,—cóż mu wtedy pozostaje robić? Pewno nie innego, jak to com ja zrobił. Skazany na długie zimowe nudy, pozbawiony jakiegokolwiek bądź znośnego towarzystwa, postanowiłem się zakochać, z terminem do pierwszego dnia wiosny. Obmyśliłem więc sobie naprzód całą strategikę miłosną, postawiłem na stopie wojennej wszystką amunicję mojego uczucia, obejrzałem pilnie warownią mojego serca, a przekonawszy się, że mogę być o nią spokojnym, przypuściłem odważnie pierwszy atak na całą armją uczuć panny Marji.

Spytacie może, dla czegoś tę wybrał, kiedy drugiej słusznie należałoby się pierwszeństwo? Bardzo proste powody do tego się przyczyniły. Naprzód brak sprzyjających okoliczności, a po drugie, przyznam się cokolwiek do tchórzostwa, i to brzydkiego, bo jakoś samo nawet imię *Wincentyna* trocha mię przestraszało, a po zatém coś, czego ja nie rozumiem i w co nie chce mi się wierzyć. Zabawni ci poeci! Nie pamiętam który to z nich z namaszczeniem raz utrzymywał, że miłość uszlachetnia, że, jeżeli jest prawdziwą, to ruguje z głowy wszelkiego rodzaju myśli dubeltowe, czy tam jakies, że to i owo, i inne rozmaitości wyrabia, których już nie pomnę. Otóż z tych to powodów nie skierowałem się do tej drugiej, chociaż prawdę mówiąc, nie mógłbym być sobie darować, gdybym choć jakiego lichego podjazdu i na jej serce od czasu do czasu nie wyprawiał.

Nie wiem czy to obmyślanemu planowi, czy też brakowi wyćwiczenia serca Marji przypisać należy, dość, że z szybkością jazdy kawaleryjskiej zacząłem zajmować

jedną po drugiej pozycje mojej przeciwniczki, i w niecały tydzień bliższej znajomości, już kroki nieprzyjacielskie zostały zamienione na pokojowe, przy otwartych drzwiach jednak, konferencje, i stosowną do tego na świsstkach ze starych kajetów korespondencją. Doszedłszy do takich rezultatów, uznałem za stosowne utrzymać ciągle już *status quo*, ponieważ wystarczało mi ono aż nadto do mojego założenia—zabicia nudów. Marzeń tam nie było... Serce Marji nie należało do tych rozkosznych cacek, jakie niektóre kobiety w swych piersiach posiadają, ani też do wzbudzających chęć chociażby sylabizowania tajemnych tyków swoich jak Wincentyny. Dawalo się ono podciągnąć pod wspólny mianownik powszednich, choć nie przeczę, może czasem i brużdzących spokój uczuć. Jednym słowem, było właśnie takim jakie przydaje się do romansu na zakręslony z góry termin, a co więcej wcale ono nie straciło na swojej dawnej ważkości po minionym czasie. Za cóż mi więc moja kuzynka do poprzedniego dodaje drugi jeszcze epitet bałamuta? Bałamut, to złodziej uczucia, a jam przecie nie nie ujął sercu Marji—możem dodał tylko—doświadczenia, co ważna, że nie boleśnego...

Mówilem, zem chciał po dojściu do zwyż opisanych rezultatów mojej kampanji, pozostawić wszystko *status quo*. Inaczéj się stało. Rubikon został przebyty, ale nie przezemnie. Plutonowy ogień całusów zakończył batalją i zgoda została podpisana—bez tytułów, tylko imionami. Od przybytku, powiadają, że się migreny nie dostaje; i ja tak sądziłem, alem się przekonał, że to tylko od dobrego. Złegom się nie spodziéwał, a tymczasem naraz przybyła nam ze swojémi pretensjami dotąd neutralna opiekunka, i, co powiecie, zażądała rewizji ostatnich traktatów! naturalnie zgoda natychmiast nastąpiła, ale nie z opiekunką, tylko między mną a Marją, ażeby trzymając się powszechnie dziś przyjętej zasady nieinterwencji, obrócić wspólne siły nasze przeciw niewczesnemu intruzowi. Walka stawała się

groźną tém bardziej, że i postronni zaczęli otwierać oczy, ale na szczęście i wiosna się zbliżała, a z nią koniec moich nudów. Wziąwszy tedy w zakład sojuszu od Marji promyk jej włosów (zapewnie nie mnie pierwszy), i kilka co wybrańszych piśmiennych dokumentów potwierdzonych pieczętką gorącego pocałunku, postanowiłem całą sprawę odroczyć do przyszłego sezonu zimowego; zwinąłem chorągwie i cofnąłem się—za granicę.

III.

Nuda, ta „rozpacz ziewająca“ jak ją trafnie najznakomitszy dzisiejszy anatom uczuć serca ludzkiego nazywa, nawet za granicą, zaraz po zaspokojeniu pierwszjej ciekawości upoczywie do mnie wracała. Ona to i pobytu przykróciła i myśl mi gnała do domu i przeszłość przywoływała do pamięci, przeszłość, co chociaż nie wiele różniła się od splenowatych godzin mojego flanowania po stolicach Europy, zawsze jednak zdawała mi się posiadać więcej wartości i zajęcia od stanu obecnego, a to prawem zwykłego reflektowania się światła oddalonych przedmiotów jak i faktów życia ludzkiego; ona zniewalała roić sobie niestworzone rzeczy po zniechęconej mózgownicy, nadziejowała przyszłością niemożliwą do urzeczywistnienia, a nawet...

Znacie berliński Thiergarten? ten ekliwy laszek za Brandenburgską bramą kończącą niemniej ekliwe i sztywne, mające pretensją do bulwarów nadsekwańskiej stolicy Unter-den-Linden? Znacie ten zwierzyniec, gdzie po napatrzeniu się na brzydkie fizjognomje mężczyzn i jeszcze brzydsze kobiet; na piramidalne omnibusy poważnie jak patentowane magistry tamecznego uniwersytetu sunące do Charlottenburgu na wypicie wykrzywającego usta garncowego kufła weis-bieru; gdzie nasłuchawszy się głośnych dyskursów opończoehowanych nianiek,

a wieczorem serenad z motywów Frejschütza wyśpiewywanych przez studentów na wszystkie nieludzkie głosy; nałaziwszy się nad uroczą sadzawką złotych rybek, kędy się odbywa sielankowe żywienie ich okruchami z rogalów niedokonsumowanych przez małych pluderków,—można swobodnie wyziéwać się od ucha do ucha, a jeżeli ma się pociąg do rozmyślań można wpaść w głębokie kontemplacje choćby nad nazwiskiem Thiergarten'u, gdzie zaledwie tylko wiewiórka czasem się ukazuje—? Pytam się was czy znacie ten rozkoszny park? Nudził mnie saski ogród, ale berliński zwierzyniec nie da sobie odebrać w tym względzie pierwszeństwa. Szukałem ucieczki od nudów i wpadłem z deszczu pod rynnę; co gorsza tam, o ile pamiętam, po raz pierwszy uczulem na swoim nosie te powiększające okulary, ilekolwiek razy zabierałem się do obserwowania serca Wincentyny, i niestety! dotąd zdrzecć ich sobie nie mogę.

Powiadają, że serce człowieka nic się nie zmieniło od przedhistorycznych czasów; że też same uczucia co niegdyś za Semiramidy i Sardanapala po ludziach broiły i dziś jeszcze nie zmienione wałęsają się po piersi Violet i tegoczesnych petit-creves'ów. Nie wiem, czy i ty czytelniku tego samego zdania jesteś, ale co do mnie, sądzę, że musiały one coś stracić na swojej głębokości, a wzamian szerszém korytem dziś sobie płyną wśród ludzi. Serce dawnych nie musiało chyba lubować się tak bardzo w detalizowaniu uczuć jak dzisiaj, ponieważ bywa ono tylko skutkiem zbytniego przesytu tegoczesnego społeczeństwa, jaki dawniej dostrzegać się tyle nie dawał. Jeżeli kochano niegdyś, to tak jak i nienawidzono, zawsze hurtownie: dziecię albo sztylet, musiało być owem *finis coronat opus*. Dziś słyszymy aż nadto często o trawersowanych Werterach, a starożytność nie zostawiła nam żadnej wspominki o zmikroskopowanej Lejkackiej Safonie. Rozdrabianie, wycieniowywanie uczucia jest zawsze owocem albo małości, albo bezrobocia naszego serca. Tak i mój duch próżnował, nudził się, i dla

tego najłatwiej mu było zajmować się komentarzowaniem miłości, skoro na splodzenie jój samój, bogdaj, czy mu sił nie starczyło. Brak zajęcia i nudota miejscowości do tego wiele mogły się przyczynić, dość, że kiedym wyjeżdżał z Berlina, wszelkie myśli dalszych stosunków z Marją pierzchły mi najzupełniej z głowy, a w miejsce ich w wyobraźni mojej postać Wincentyny, zaczęła coraz to okazalsze przybierać formy, w jakieś obłoczne marzeń odziwać się obsłonki, a co największa, naglić mię do przekonania się co żywo na miejscu o prawdziwości tego mamidła.

Wróciłem do kraju. Zdawało mi się, że wszystko zastanę po dawnemu i że zwolna będę mógł osłabić, jeżeli byłoby jakie, zbyt niebezpieczne usposobienie Marji, a zamiar powzięty sprawdzenia Thiergartenskich rojeń przywieść do skutku; tymczasem...

Więcie co, ci starzy ludzie, wprawdzie często lubią bając ni w pięć ni w dziewięć, ale zdarza im się, że mają racją. Znacie zapewne tę allegorją o dwóch srokach, i chwytaniu je razem obiedwie za ogon? Otóż ta fatalna przypowieść na mnie się sprawdziła.

Marja znikła z sąsiedztwa a wiatr przyniósł do uszów moich echo strasznego wyrazu—powiem wam, ale z warówkiem, że to włożycie między bajki,—echo jednego wyrazu: oszust...

No, to dosyć. Panna Marja znika z horyzontu mojej opowieści—i z pamięci mojej.

Raz jeden jeszcze ją widział zdaleka—w olbrzymich angielskich lokach. Może to był dowód rozpaczy po mojem przeniewierstwie...

Naturalnie z tym większym pośpiechem zwróciłem się do drugiej, a tam, wprawdzie nie tak źle, bo nie było powodu, ale też i nie wiele lepiej—tam zastałem trzykroć mur świeżuteńko wniesiony do koła serca i nową na niem kolekcją hjeroglifów, a nad tém wszystkiem piorunną chmurę nieufności.

Odwaga moja rozbiła się. Zacząłem mniej marzyć,

a więcej słucać i po jakimś czasie wiatr inne echo mi przyniósł, także jednego słowa, słowa wypowiedzianego ustami Wincentyny po owym ostatnim, wyeksekwowanym nazbyt dobitnie, nieostrożnym całusie, słowa wprawdzie nie do mnie i nie o mnie, ale tak drażliwego, tak syczącego, że od razu temperaturę moich uczuć obniżył o kilka stopni, a w głowie éwiékiem mi utkwilo, czy się czasami ś. Augustyn nie pomylił....

Dawne to czasy, jeżeli nie według kalendarza to według chronometru moich myśli—nie uczuć. Mierzyć życie biciem serca i trudno i niedokładnie i żal wreszcie bo jakaś zbyt szybka rachuba. Ja go zwykłem mierzyć myślą lub ideą jeżeli jest jaka, jeżeli ostała się pod taranem złowieszczych nudów; gdy nie ma jój—marzeniem; to zawsze dłużej, a ta jedna pociecha, że nie potrzebujemy obawiać się zawodu. I jam nie miał trzeciego; lecz gdybym u Thiergartenie, zamiast robić komentarze do miłości, porwał się na nią samą; gdybym potępił dzisiejszą płytkość serca i zatęsknił za przebrzmiałą potęgą uczuć jego—he? coby to było? dreszcz mię przechodzi—moja kuzynka by wygrała, bo dotykalnie przekonałaby mię, że „żyły kamienia iskrami płyną, choć ludzie o tém nie wiedzą.“

9. III. 1868.

III.

KUZYNKA

Sylwetka z galerji pospolitych ludzi.

Ce sont des petites faits, mais ils peignent le character.

Voltaire.—*Vie de Moliere.*

W historii świata i wiedzy i sztuki jednostkowe luźne objawy tak są zagadkowe, jak jednostkowe uczucia i czyny, rodzące się w sercu każdego z nas; toć przecie łatwiej, zrozumieć cały pochod dziejów ludzkiego rodu, niż historją psychiczną, wewnętrzną pojedynczego człowieka.

Kremer.—*Podr. do Włoch.*

I.

Spójrzała, a cofając wzrok natychmiast, powiodła nim z wolna w półkole po pułapie salonu, spuściła na sekundę powieki, i z lekka poruszywszy dolną częścią głowy naprzód i w tył, znowu spokojnie i bez celu zaczęła patrzeć przed siebie. Jest-to jój zwykły ruch, gdy w swojej myśli nie znajduje już odpowiedzi na czyjeś

ostatnie zdanie, a nie chce jednak aby ją o to posądzono. Dla czego ruch ten taki a nie inny? Mogę was z góry zapewnić, że nie jest on bezmyślnym. Kobięty w ogóle zawsze więcej zwracają uwagi na swoje postępowanie i choćby najłżejsze poruszenie ciała, niż to wyjątkowo mógłby uczynić jaki Don-Juan lub dyplomata. A i za drugie mogę stanąć do zakładu jeden przeciw dziesięciu, że wszelki ruch fizjognomji kobiet zawsze jest zgodniejszym z całością tężę, i lepiej obliczony na wyexploatowanie jak największych korzyści z darów, jakiegokolwiek byłyby, natury, niż to zwykły czynić najprzebieglejszy bankier w stosowném lokowaniu swoich kapitałów i ciągnięciu od nich możebnie największych procentów. Nie przesadzam: przyroda stworzyła kobietę do miłości, łatwo więc tój ostatniej przychodzi stosowanie swoich postępów do tego celu, a zawód bankiera jest zależny li tylko od woli człowieka; być bankierem iub pieczeniarem to mu jedno przy dobrej chęci. I ruch wyż opisany, aczkolwiek krótkotrwały (a może właśnie dla tego), jest najzupełniej zgodny z twarzą co-go wywołuje.

Perdita, wesoła moja kuzynka, ma oko ciemne, w podłużnej oprawie, zwanéj u ludu — ba! kiedy taki nie ładny wyraz, a tak dobrze rzecz malujący... Znacie tę allegorją szlachty w bajce Niemcewicza? No, to właśnie ona posiada oprawę oka istot tam podstawionych. Oko tego rodzaju powszechnie się podoba, ale ma jedną wadę, że mało posiada w sobie żywotności. Posągi dawnych Greków dobrze z niém wychodzą, ale tóż w niém prawie zawsze spokój panuje. Na dramat je nie stać. Jeżeli nie porównał oka mojej kuzynki do wyrobów dłuta starożytnych, to dla tego, że naprzód nie należy ono do klassycznych, a po drugie, właśnie różni się tём od nich, że wyż wspomnioną wadę umie sztuką, choć w części, usunąć. Moja kuzynka, tak jak bardzo wiele innych kobiet, lubuje się do tego stopnia w zwierciadłach (w czém zresztą zbrodni nie widzę), że korzy-

sta z najmniejszej sposobności, aby z nich użytkować. Obecność innych osób, nie mogąc ją zupełnie od przyzwyczajenia powstrzymać, zmusza przynajmniej do przelotnego spójrzenia w lustro, gdziekolwiekby ono było. W tak szybkim rzucie oka, pozbywa się ono zwykłego spokoju, nabiera więcęć wyrazu—

— A wyraz oczu jedynie zdolny jest frapować tych co chcą—dopowiadają usta (dość pospolite w obydwóch względach) kuzynki i przypadkowe odkrycie od-tąd zostaje umiejętnie stosowaném w danych okolicznościach.

Widzimy z tego, że owo nagłe spójrzenie, o którym na początku wspomniałem, ma zasadę swojego bytu. Idźmy dalej.

Po spójrzeniu tego rodzaju, mając na uwadze, że długotrwałe może stracić swój efekt, należy przecie z oczami coś zrobić. Perdita wyszukała sobie na to sposób, ale musimy przyznać, że jak w tym razie dość niezgrabny. Toczenie wzroku wpółokrąg po pułapie jest wprawdzie żądanym odwrotem, ale tak źle prowadzonym, że poprzedni efekt, jeżeli był jaki, koniecznie musi ginąć lub przynajmniej wiele tracić na swojej sile. Jest-to dowodem jeszcze nie zbyt wielkiej wprawności (pierwszy przymiot mojej kuzynki) wstrzelaniu oczami, a co gorsza spowodowała ona mimowolny komentarz jakiegoś niedyskretnego malca, że panna Perdita jak konający niemi przewraca. To całe szczęście że ten komentarz jakoś nie uzyskał „approbatur“ u osób których zdanie może ją obchodzić...

Trzecią sceną téj komedji oczów jest, jak wiemy, spuszczenie powiek. Perdita posiada długie, równe, czarne rzęsy. To dostatecznie tłómaczy.

Czwarta jest zwykłym jój przecinkiem w przerwanej rozmowie, może dla tego, że szyja Perdity choć nie łabędzia, ma jednak wartość z powodu pewnego stopnia białości. Może mimowolném jest to poruszenie głowy, dla czegóż wszystko podejrzwać o sztukę?

Piąta i ostatnia jest już naturalnym stanem oczów o podłużnej oprawie i zwykłym wyrazem tychże Perdity. Wyraz oczu jest miarą bogactwa ducha tego do kogo one należą.

Otóż mamy kładkę przejścia do moralnej strony mojej kuzynki.

II.

Zawsze-to malarze mają mniej do roboty niż literaci. Cała ich praca w doborze barw. Jeżeli dany przedmiot trąci melancholją, chiński tusz predomинуje; jeżeli skłonny do wesela, siódm kolorów tęczy zaczyna ją walkę z sobą toczyć. Potem oczy, nos, gęba lub usteczka, dalej broda, włosy, wreszcie cała głowa a pod nią, i to nie zawsze, kadłub. I skończyło się. Chcesz co zrozumieć, to musisz dopiero patrzeć i domyslać się w swojej głowie. Z portretem wykonanym literami, rzecz się ma inaczej. Skręślisz cielesną osłonę, no to będzie dopiero list gończy; skręślisz samą treść duchową, to zaraz cię zapytają, a jakiego to rodzaju fizys ją pokrywa? Podwójna robota. Jakby to dobrze było, gdybyście naprzykład mogli się sami domysleć ducha co ożywia oczy o którychśmy wyżej mówili. I mnie by to pracy ujęło, i może lepiej a korzystniej dla naszej heroiny, samibyście ją osądzi...

Mam zwyczaj, niewiem czy dobry, unikania opisu serca i rodzaju myśli osób, o których zamierzam mówić, a w jego miejsce podstawiania faktów, co mogą rzucić jakieś światło na charakter tychże. Bo wreszcie z czegoś, jeżeli właśnie nie z faktów urabiamy sobie opinię o danych osobach? a znowu mniemam, że lepszym jest poddanie ich pod sąd wielu, i zostawienie innych kompetentności wydanie wyroku niż gdybym się sam miał tego podejmować. Skręślając wam kilka wypadków z życia,

lepiej się wywiązę od własnego wyprowadzania z nich wniosków. A więc:

Perdita przybywa po raz pierwszy z prowincji. Wchodzi do salonu swoich dalekich krewnych. Ruchy dość swobodne, znalezienie się dość dzikie, oczy jej obiegają do koła i zatrzymują się na średniego wieku mężczyźnie.

— Kawaler czy żonaty? — pyta zcicha innéj, od godziny dopiéro poznanej osoby.

Perdita ma lat czternaście...

Mieszkanie na poddaszu. Ubóstwo przebija ze wsząd, choć je źle zrozumiana wystawność usiłuje pokryć. Stary, częstochowskiéj szkoły wizerunek Matki Boskiéj wisi na ścianie, a przed nim migocze się zapalona lampka. Świeca łojowa pali się na stoliku, przy nim wdowa, matka Perdity, naprawia spódnicę swojéj córki, śpieszy się bardzo z robotą, a w przestankach spogląda na obraz i ciężko wzdycha. Na stołeczku pod piecem siedzi moja kuzynka; oczy ma zamknięte i drżmie.

Perdita ma lat piętnaście...

Tamże. Godzina dziewiąta rano. Matka Perdity w spódnicy, która już dawno z praniem rozbrat uczyniła, siedzi na ziemi przy kominku. Głowy jej nie widać, ponieważ znikła w czeluści tego ostatniego, za to słyhać świst zeń wychodzący, a po izbie mocny swąd czuć się daje. Przy oknie stoi zwierciadło; przy zwierciadle kuzynka; przy niej korek opalony—brwi jej przepysznie czarne.

Perdita ma lat szesnaście...

Wieczór. Moja kuzynka exekwuje na fortepianie fantazją Haydna. Palce jej wprawnie wykonywają passażę, niebrak właściwego cieniowania; w oczach widać pełne zajęcie się swojną grą, a nawet przebłyski, że tu i owdzie zrozumiała myśl kompozytora. W przestanku dostrzega spójrzanie matki na siebie zwrócone; pojęła je od razu i lepiej od Haydnowskich portamentów.

Oczy jęj tracą poprzedni swój wyraz, dłoń chwyta za rękę obok stojący model mód paryzkich, a usta wymawiają —jakiś ekiwok w wyższym tonie.

Perdita ma lat siedmnaście...

Karnawał. Piąta figura lansjera. Na policzkach mojej kuzynki żywe kolory. Pięrs jęj szybko faluje. W oczach przebija namiętność Andaluzjanki w kankanie. Na ustach uśmiech pełnego szczęścia i nie tajonej rozkoszy; w ruchach (może bezwiednie) swoboda *mutatis mutandis* białych kamelji z Mabilu.

— Gdybym był Irokezem — mówi do nięj jakiś mizantrop—gdyby ta lampa stojąca na stole była ogniskiem, a te meble w dziewiczy las się zamieniły, pojąłbym wtenczas znaczenie tańca.

— Bogowie go wymyślili — odpowiada moja kuzynka tylko innemi nieco wyrazami—i dotąd nie znam nadeń więkšej rozkoszy.

Mizantrop spogląda na nią z niedowierzaniem, ona znika w wirze tańczących.

Perdita ma lat ośmnaście...

Dziś. Długa rozmowa o niczém: kuzynka moja rozmawia z zapalem; kobięta z dwóma barwami w ubiorze dość sobie nie przypadającemi dostarcza dla nięj pół godziny czasu śmiechu i naśladowań. Perdita śmieje się głośno, szczerze i długo. Dla malarza doskonały wzorek pełnej naiwności dziecka: moja kuzynka w tęg chwili jest samą sobą, o przepisach dobrego znalezienia się zupełnie zapomniała (drugi jęj dobry, acz chwilowy przymiot).

Jutro. — Panie! — mówi półgłosem do paryzkiego modelu—czyż wiecznie muszę żyć w tym fałszu, wiecznie udawać? czyż nie znajdzie się choć jedna osoba, coby chciała zrozumieć i zlitować się nad mojem cierpieniem? Ja się śmieję ale mi płakać chce się (moja kuzynka mówi prawdę, tylko nie dobrze rozumiała kolejność swoich uczuć)...

W oczach lży można dostrzedz. Sztuczny nastrój muskułów twarzy niknie; smutek na nią rozlany; powabu wiele się ulatnia, ale wszystko to zniewala podać dłoń pomocy... Paryzki model karmelkowo się uśmiecha, a nos i usta jego przypominają satyra z obrazu Rubensa.

Wczoraj. Grad obelżywych wyrazów rozlega się po izbie. Matka mojej kuzynki jakby w przemianie Owid'ego: kobieta zamieniła się w tygrysię. Jedną jej ręką wściekle przyciska głowę córki do podłogi, drugą z niej włosy wydziera... Lampka przed obrazem Matki Boskiej błyska jaśniejszym niż zwykle płomieniem.

— Zabij mnie matko!—słychać głos przytłumiony—
ja kochać go nie będę...

Perdita ma lat trzydzieści—goryczy życia...

Basta! cofam mój kalejdoskop. Dostyc faktów. Dobądźcie teraz swoich syllogizmów, wyciśnijcie wnioski i przewleczcie sobie ściśłą indukcją. Delikwent przed wami — osądźcie go; okoliczności łagodzących tu niema, owszem, ostatni fakt obciąża więcej niż inne, zarzutem—niepraktyczności w postępowaniu.

III.

Obłuda, ta królowa o miedzianném czole, swobodnie rządząca wszystkiemi człowieka czynnościami; ta macierz niewykorzenionego nigdy fałszu wśród ludzi; przyjaciółka oszustów; kochanka uczuć salonowych, elastyczném swoim berłem zarówno ciąży nad stosunkami najwyższych jak i najniższych warstw tegoczesnego społeczeństwa. Błaga została podniesioną do godności ochmistrzyni i przewodnika w wychowaniu młodzieży, a Don Juanizm obecny daleko po za sobą zostawił dobroduszną kreację Moliera. Zaczna trójca! wyprawia sobie na świecie sprynce o jakich nawet nie zamarzyli uczestnicy rzymskich bachanalji; na jej przyjęcie stoją otwar-

te wrota do niedomyślających się niczego serc ludu, a na swoją posługę posiada ogromną, rymowaną sforę anakreontów bryzgających natchnieniem salonowych synonimów. Tajemnicze Trimurti uzyskało władzę co przewyższyła najzuchwalsze porywy ducha bohaterów świata—stolicą jego żądza zdobyczy; tronem zgangerowane chucią serce; koroną rozpusta, a państwem świat cały...

Ale nie wszędzie występuje cała jego potęgą, chociaż, niestety! jakiegokolwiek-to przebranie byłoby, zawsze ma ona cel poprowadzić do jednego, bez rzeczywistej wartości, ogniska szału. Macedończyk obawiający się ażeby mu nie zabrakło ziemi do zwycięstw; długorybi biesiadnik ogrodu Epikura, i matka Perdity katująca swoje dziecko za opór w wyborze męża, zarówno powodowani są jedną i tą samą, nie zdającą sobie sprawy, żądzą użycia, zarówno nie umieją kłaść hamulca na swoje namiętności. Dla czego uwzględniając i starając się tłumaczyć wielkością założenia tego pierwszego, bez apelacji mamy potępić tę ostatnią (pominawszy, iż to kobieta) za złe zrozumiane szczęście swojego dziecka i zadowolenie własne? Czyż zawsze bąk ma posiadać przywilej bezkarnego rozrywania sieci pajęczej naszej etyki, a mucha głową nakładać za wadliwość jej praw?

At! co mi wchodzić w ułomności oryginału mojego portretu, lub uniewinniać przyczyny wytworzenia go takim a nie innym; kopją zdejmuję i za nią tylko biorę na siebie odpowiedzialność.

Początkowy sposób wychowania kładzie podwalinę całego dalszego rozwoju jednostki, a towarzystwo, tak jak klimat, urabia ją stosownie do swojej wewnętrznej wartości. Perdita staje się coraz więcej obłudną—umysł jej coraz mniejsze zatacza koło swojej działalności. Dziś wprawdzie posiada jeszcze świadomość swojej spaczonyj edukacji i fałszywego położenia względem innych (trzeci jej przymiot), lecz to obecne poczucie złego pokrywa się mgłą indferentyzmu codziennie się zwiększającą. Jutro ta obojętność może się

zamienić w konieczność w jój przekonaniu i w jedną z prawd którą należy się w życiu kierować, a potem?—nie uleczone zwichnięcie na drodze żywota i znowu jedno więcej stracone indywiduum dla zdrowia społeczności z jój strony, a doraźny sąd rzuceniem kamienia dokonany ze strony ogółu zakończy ten dramat życia nieznanj jednostki, który chociaż swoją popolitością nie może równać się w doniosłości tytanicznym tworum genjuszów, jednak, kto wie, czy głęboością i drażliwością swoich moralnych sytuacji ich nie dosięga. Dziwna rzecz, że kiedy stan wiedzy dzisiejszej przyszedł już do przekonania, że wielkość i małość są to pojęcia względne tylko i, że zarówno w drobnj kropelce wody badacz może znaleźć cały ogrom natury, jak i w obserwacji wielkości przechodzących granicę naszych pojęć; to w dziedzinie ducha uporeczywie, zastalczu trzymamy się odwiecznej, zmurszałej segregacji tegoż na małe i wielkie, na pospolite i genjalne umysły. Inaczj sądzę: jeżeli uznaliśmy względną tylko wielkość w materji, a jedność jój i jednaka doniosłość w swojej całości, to i jednostki ludzkie powinniśmy oceniać li tylko odpowiednio do ich stosunków z innemi, ducha zaś człowieczego zawsze jako jednego i tegoż samego w głęboości swojej wszędzie gdziekolwiek się objawia. Perdita jest tak dobrą jak najprzedniejsza kreacja Sofokla lub Szekspira; jeżeli ogół za taką ją nie uznał to nie wina jój ducha, lecz mojego, że nie mam takiej siły jak ci dramaturdzy. Ot! cała różnica, i całe nieszczęście mojej kuzynki, że ją nie odtwarza stylus greckiego pisarza, albo dłuto ateńskiego skulptora, ale moje pióro i mój blady pendzelek charakterystyki szkicuje jój sylwetkę...

Istnieje prawo, które odsuwa ludzi niezdolnych lub osłabionych na umyśle od zarządu chociażby swojej własności, jeżeli to może spowodować stratę dzieci tychże. Dla czego nie ma prawa na uwolnienie tych ostatnich od wychowania i karmienia fałszywemi zasadami życia, które choć nie są wprawdzie publiczną zbrodnią,

ale w ogólném znaczeniu przyczyniają się do zepsucia społeczeństwa?

Jeżeli kiedyś prawo tego rodzaju zostanie wprowadzonym do kodexu, to napewno indywidua z rodzaju matek Perdity pierwsze poczują jego ciężar. Moralność tej ostatniej jest zwolna przytłumianą a serce codziennie świeżym jadem obludy pojone przez własną matkę. Dawniej była zdolną kochać; dziś prawdziwie już nie, tylko świadomość istnienia miłości jeszcze jój pozostała; jutro może już będzie Messaliną. Jakież ratunek?... Ogół tylko do gotowego, nie patrzy przyczyn ale skutków; nie pyta czém możesz być, ale czém jesteś... Nikomu dziś się nie chce don-kiszotować za honor i godność niewieścią; messjaszów prawdy czekać nie sposób; najstalsza cierpliwość i wytrwanie mają swoje granice, a Perdita jest tylko młodą dziewczyną...

— Kuzynko! czy pojmujesz miłość bez nadziei? czy rozumiesz co to kochać bez żądania wzajemności, bez okazania tego wybranemu przedmiotowi, bez żądzy użycia?... kochać aby kochać?—pytałem niedawno.

— I do czego to prowadzi? — odrzekła mi, a po tych słowach dostrzegłem ów stereotypowy ruch oczu gładszej niż kiedykolwiek przedtém wykonany.

14. III. 1868.

IV.

KARTKI nie Kraszewskiego z PODRÓŻY nie Stern'a.

Allons, joyeux, de voyage en voyage,
Aux vents du ciel semons notre gaité—
Dieu fit trois dons aux oiseaux de passage:
Le grand soleil, l'art, et la liberté.

WYCIECZKA PIERWSZA.

Wiedeń, Kwiecień 1867 r.

Ludzie dzielą się na dwa rodzaje: ślimaków i latawców. Który z nich lepszy, nie moją rzeczą sądzić; wiem tylko to, że mam szczęście czy nieszczęście należeć do tego ostatniego. Liwingston, Baker a nawet Dumas lubili się także wałęsać po świecie, ale z ich pielgrzymek przynajmniej przyszło coś komu; z moich — *that is question*. Jeżeli już odważyliście się dobyć swojej kieski na kupienie tych świstków, ha! to czytajcie, i dałby Bóg iżbyście nie żalowali swoich pieniędzy i oczu tak, jak ja moich po każdej wycieczce, co miała mnie od nudów uwolnić. Lekarze stariej metody zalecają jazdę i zmianę miejsca jako kurację na spleen. Wszyscy im wierzą, nawet rozśledzieniowani lordowie Albjonu, ale chyba ten tylko uwolnił się od melancholji,

komu poprzednio zdawało się tylko, że na nią zapada, lub też komu zbyt utrudzenie ciągłą podróżą wystraszyło z głowy ospałość zrodzoną przez poprzednią wygodę. Dziwna rzecz, iż medycy trzymający się tak wiernie starych przepisów, i nie mający odwagi wypowiedzieć posłuszeństwa nazbyt już zleżałemu Hipokratowi, nie chcą jednak przyznać słuszności drugiemu z klasyków, że *coelum, non animus mutant, qui trans mare currunt* i jeszcze drugi raz, tylko innemi słowy, téjże saméj myśli odeń wypowiedzianéj. Zdrowie, chęć zysku w nauce lub handlu i prosta ciekawość, oto trójca która popycha nasze kroki do przestąpienia granic własnej siedziby; na nudę, jeżeli ona tylko w całym znaczeniu tego wyrazu istnieje, podróż nic nie nada, i prędzej, jeśli to możebne, na miejscu niż w próżnym błakaniu się, lekarstwo dla niej wynajdziem.

Snać jest-to cechą umysłu człowieka, że się nigdy, choćby najpiękniejszymi radami i przestrogią nie zadawalnia, i nie pierwéj czemuśkolwiek uwierzy (wyjawszy starych baśni, których się trzyma jak żaba błota), aż sam sobie przytnie ciekawego nosa, lub oparzy swoje natrętne paluchy. I jam nie prędzej przyszedł do tych pięknych myśli, aż po urzeczywistnieniu marzeń oglądania na miejscu cudów, które się zrodziły li tylko pod piórem przez różowe szkła patrzących, naiwnych, lub też nie mających co lepszego do pisania wojżerów. Więdeń w wyobraźni mojej raz mi się migał jak lekkuchna Sylfida w muślinowych obłonkach, filuternie przeglądająca się w błękitnych nurtach Dunaju, to znowu stara Vindebona z pretensjonalnemi do nabawiania grozą a drżącemi od strachu pod uderzeniem tureckich taranów basztami stawała przed oczy mego ducha. Dążyłem do stolicy Habsburgów w gorączce ciekawości który z tych obrazów zastanę skamieniały na ziemi; w gorączce tém większej, że Więdeń był pierwszém większém miastem, które miałem ujrzeć po rodzinnym grodzie...

Kościół Śgo Szczepana i Prater, są to dwa pen-

denty nierozdzielne do nazwiska Wiednia. Jeżeli ktoś zapyta, czy widziałeś stolicę Austrii? to nie co innego ma znaczyć, jak, czy przyglądałeś się osławionej wieży na Stefens-platzu i czy łąziłeś po Praterze. Mniejsza o resztę, chyba żeś jest artystą, to obowiązkowo musisz się znajdować w galerji obrazów, albo też głęboko uczonym to pod grozą brzydkiego indeferentyzmu obowiązany jesteś stawić się w bibliotece na Josefs-platz, gdzie musisz oddać jeszcze głębszy pokłon inkunabułom wszelkiego rodzaju, Tabuli Peutingeriańskiej z Mechiku, Senatus-Consultum na 186 lat przed Chrystusem, i Alkoranowi wielkości orzecha, zabranemu z namiotu Wezyra 1683 r. Piękne to rzeczy! jak dla kogo, co do mnie wolałem pójść za „vox populi“ i przypatrywać się żywym tomom wyskakującym sztejera na Praterze, niż bezcennym numizmatom i sławetnemu sarkofagowi amazonek w gabinecie starożytności, a ładna twarzyczka Wiedenki była dla mnie nieskończenie większej wartości, nad kameę ubóstwienia Augusta tamże się znajdującą. Naiwny-bo sposób mają Wiedenczycy wywijania walców Lannerowych. Kilkanaście par tańczących tworzy koło na pierwszym lepszym trawniku. Kawaler i dama, opierają sobie ręce na biodrach i na przestrzeni łokcia kwadratowego najpociesniejsze podrygi wykonywają. A już w tańcu tym są niezmordowani, chociaż i tu jak zawsze, dama dłużej dotrzymuje placu i niepomnie zziajana, bez chwili wypoczynku, na odbijanego służy kilku kawalerom. Taniec ten ma zawsze wielu spektatorów, i gdziekolwiek on się odbywa, publiczność na trzy sążnie szerokości zwykła amfiteatr tworzyć.

Swistek wytarty, na którym zaledwie dojrzysz napis „zehn-kreuzer“ w kwadrans czasu ma siłę odstawić cię omnibusem ztąd do środka miasta, na ciasny plac Szczepański (dalej nie warto jechać, chyba wyjątkowo do Opern-haus'u). Nie jestem ani architektem ani archeologiem ażebym mógł coś podziwiać w tej stariej katedrze co tu stoi, chyba jako profan mogę to jedno za-

komu poprzednio zdawało się tylko, że na nią zapada, lub też komu zbyt utrudzenie ciągłą podróżą wystraszyło z głowy ospałość zrodzoną przez poprzednią wygodę. Dziwna rzecz, iż medycy trzymający się tak wiernie starych przepisów, i nie mający odwagi wypowiedzieć posłuszeństwa nazbyt już zleżałemu Hipokratowi, nie chcą jednak przyznać słuszności drugiemu z klasyków, że *coelum, non animum mutant, qui trans mare currunt* i jeszcze drugi raz, tylko innemi słowy, téjże saméj myśli odeń wypowiedzianéj. Zdrowie, chęć zysku w nauce lub handlu i prosta ciekawość, oto trójca która popycha nasze kroki do przestąpienia granic własnéj siedziby; na nudę, jeżeli ona tylko w całym znaczeniu tego wyrazu istnieje, podróż nic nie nada, i prędzej, jeśli to możebne, na miejscu niż w próżnym błakaniu się, lekarstwo dla niéj wynajdziem.

Snąć jest-to cechą umysłu człowieka, że się nigdy, choćby najpiękniejszymi radami i przestrogią nie zadawalnia, i nie pierwéj czemuśkolwiek uwierzy (wyjąwszy starych baśni, których się trzyma jak żaba błota), aż sam sobie przytnie ciekawego nosa, lub oparzy swoje natrętne paluchy. I jam nie prędzej przyszedł do tych pięknych myśli, aż po urzeczywistnieniu marzeń oglądania na miejscu cudów, które się zrodziły li tylko pod piórem przez różowe szkła patrzących, naiwnych, lub też nie mających co lepszego do pisania wojzerów. Więdeń w wyobraźni mojej raz mi się migał jak lekkuchna Sylfida w muslinowych obłonkach, fluternie przeglądająca się w błękitnych nurtach Dunaju, to znowu stara Vindebona z pretensjonalnemi do nabawiania grozą a drżącemi od strachu pod uderzeniem tureckich taranów basztami stawała przed oczy mego ducha. Dążyłem do stolicy Habsburgów w gorączce ciekawości który z tych obrazów zastaną skamieniały na ziemi; w gorączce tém większej, że Więdeń był piérwszém większém miastem, które miałem ujrzeć po rodzinnym grodzie...

Kościół Sgo Szczepana i Prater, są to dwa pen-

denty nierozdzielne do nazwiska Wiednia. Jeżeli ktoś zapyta, czy widziałeś stolicę Austrii? to nie co innego ma znaczyć, jak, czy przyglądałeś się osławionej wieży na Stefens-platzu i czy łąziłeś po Praterze. Mniejsza o resztę, chyba żeś jest artystą, to obowiązkowo musisz się znajdować w galerji obrazów, albo też głęboko uczonym to pod grozą brzydkiego indeferentyzmu obowiązany jesteś stawić się w bibliotece na Josefs-platz, gdzie musisz oddać jeszcze głębszy pokłon inkunabułom wszelkiego rodzaju, Tabuli Peutingeriańskiej z Mechiku, Senatus-Consultum na 186 lat przed Chrystusem, i Alkoranowi wielkości orzecha, zabranemu z namiotu Wezyra 1683 r. Piękne to rzeczy! jak dla kogo, co do mnie woląłem pójść za „vox populi“ i przypatrywać się żywym tomom wyskakującym sztejera na Praterze, niż bezcennym numizmatom i sławetnemu sarkofagowi amazonek w gabinecie starożytności, a ładna twarzyczka Wiedenki była dla mnie nieskończenie większej wartości, nad kameę ubóstwienia Augusta tamże się znajdującą. Naiwny-bo sposób mają Wiedeńczycy wywijania walców Lannerowych. Kilkanaście par tańczących tworzy koło na pierwszym lepszym trawniku. Kawaler i dama, opierają sobie ręce na biodrach i na przestrzeni łokcia kwadratowego najpociesniejsze podrygi wykonywają. A już w tańcu tym są niezmordowani, chociaż i tu jak zawsze, dama dłużej dotrzymuje placu i niepomiernie zziajana, bez chwili wypoczynku, na odbijanego służy kilku kawalerom. Taniec ten ma zawsze wielu spectatorów, i gdziekolwiek on się odbywa, publiczność na trzy sążnie szerokości zwykła amfiteatr tworzyć.

Świstek wytarty, na którym zaledwie dojrzysz napis „zehn-kreuzer“ w kwadrans czasu ma siłę odstawić cię omnibusem ztąd do środka miasta, na ciasny plac Szczepański (dalej nie warto jechać, chyba wyjątkowo do Opern-haus'u). Nie jestem ani architektem ani archeologiem ażebym mógł coś podziwiać w tej starej katedrze co tu stoi, chyba jako profan mogę to jedno za-

notować, że ten dach mozaikowy, rozpaczliwie spiczasty strasznie trąci anachronizmem w dzisiejszych czasach, a ta chmuro-sięgna wieża, tak dla mnie jak i dla wszystkich prawych synów XIXgo stulecia, wygląda na jakieś „koes ompax“, którego znaczenia i celu dziś już nie pojmujemy. Że też to-Niemcy, jako wybrany naród do wszystkiego najlepszego, nie mogą się zdobyć na własnego Hugo, coby tę katedrę rozslawił, jak francuzką Notre-Damme-de-Paris — możeby lepiej dał się nam pojąć ten hjeroglif germański.

O reszcie niech inni mówią. Zbyt wiele zawodów naraz spotkałem. Ta lekka Sylfida com sobie wyobrażał, że się w topazowych falach Dunaju przegląda, mizdrzy się tylko w brudnych kanałach, a ową Vindebonę z feudalnymi basztami w kronikach tylko odnajdziesz. Jest to sobie miasto, miasto Europejskie tegoczesnego stempla, ruchliwe nie pomału, a jeszcze więcej gadatliwe bo aż łyka samogłoski na sposób mieszkańców Paryża i na tém koniec. *Former?*—a gdzie? do klassycznego z piwa i rozmaitych *tek* Mnichowa. Tam będzie więcej może „upojenia“. *Geltens?*...

Monachjum, Maj t. r.

Czy pamiętacie jeszcze ś. p. Zofjówkę? Apostrofa wypalona tam na początku, z małą tylko trawersacją miodu na piwo (tempora mutantur...!), doskonale może się przydać na powitanie Aten niemieckich. Bawarja jest jedynym krajem co sobie pozyskał rzeczywiście europejską sławę, a jabym nawet proponował ażeby na jęj cześć wystawić kolos z niedotłuczonych kufłów i butelek wszystkich krajów, coby przewyższył osadziłą jakby opila, lecz przez to samo doskonale wyrażającą ideę i znaczenie swoje, ową granitową dziewicę z po pod stołecznego miasta zdala już się widzieć dającą. Nie myślcie żeby to było ironją; wszakżeć lepiej stawiać pomniki tym co nas obdarzają najniezbędniejszém w życiu, jakim jest jadło i picie, niżeli tym co zwykli i to odbierać. W tój

myśli i ze smakiem słodu na języku przed tą statua, jaka obecnie stoi pod Monachjum, uchyliłem mego kapelusza, ale pamiętam, że się potem nie skłonił przed inną na placu Vendôme...

Bawarczycy dobry i słodki naród tak jak ich piwo, a to ostatnie fizycznie, chemicznie, zarówno jak i finansowo o całą przestrzeń między stolicą Bawarii a browarami warszawskimi od naszego jest oddaloném. Zdrowe ono tu i tanie; piją go téż bez miary (średnio tysiąc kwart rocznie na jednego mężczyznę wychodzi). Freindlein stawia ci kufle jeden po drugim bez prośzenia i, jeżeli zaraz po pierwszym nie zawołasz halt! gotowa cię niemi częstować choćby do dnia sądnego i wyczerpania źródeł piwo-dajnych. Cudzoziemiec nie znający tego zwyczaju, chcąc nie chcąc wychodzi z Bier-hall'u jak heidelbergska beczka opojony.

Teki tutejsze każdy zna a przynajmniej o nich słyszał, a wszystko to co one zawierają tysiące fotografii na wsze strony świata w kopji roznoszą. Ze skulptur „ambester schlafender Satyr“ w rozmaitych formatach odfotografowany ledwie nie z każdego sklepu po ulicach do ciebie wygląda a obok niego na pewno znajdziesz nieodstępny Jazon. Monachijczycy nie mogą się nacieszyć temi dwoma exemplarzami sztuki rzeźbiarskiej. To téż co rusz masz tu artystów, którzy gapią się, podziwiają, przerysowują, przemalowują i przedkuto-wują na wszystkie boki wzory trzy-kroć w tygodniu otwartych galerji.

Na mieście ruch nie wielki, a i ten co jest nader z poważnego zakrawa. Wieczorem dopiero cokolwiek więcej ulice się ożywiają, bo jakże może być inaczej, jeżeli po rogach tego rodzaju afisze dzień w dzień są rozlepiane: „Dietrich-koncert... entrée 12 kr.“ lub „Caffé-koncert... entrée 6 kr.“ i t. d. Za dwadzieścia groszy możesz obsłuchać się muzyki (Żyrardyści Litolfa wychodzą bez kontuzji), wypić dwa kufle piwa, wypalić cygaro i nagadać się do syta w wyborowym towarzystwie. O jedé-

następ godzinie miasto zwykle głucho jak w średnich wiekach kiedy-to ulice kratami były zamykane. Paryżanin wściekłyby się tu... Dziewczęta, tak jak wszędzie—skromne, tylko na swój sposób. Studenci butą nie chcą ustąpić berlińskim i innym. Wszyscy dość grzeczni, a nikt darmo nic nie da — jak gdzieindziej. Resztę *ad libitum* wyceniujcie sobie w swojej wyobraźni.

Strasburg, Maj t. r.

Kommissjener bierze mój tłómaczek, prowadzi mnie przez kilka ulic i przychodzi do hotelu vis-à-vis dworca kolei—z którego wyszedł, każąc sobie franka zapłacić za swoją fatygę. To dało mi poznać, że już jestem w granicach ojezyny figlarzów, dowcipnisiów i oszustów. Niemiecki dowcip nie zdobyłby się na taki pomysł.

Gamin tutejszy, współzawodniczący z Gawroszem paryżkim, objawia mi chęć swoją oprowadzenia mnie po mieście. Zgadzam się. Łamanym językiem przeciągając z niemiecka, podstawiając *k* za *g*, *é* za *oeu* i *t*. *p*. objaśnia mi ledwie nie każdą ulicę, w dziesięć minut oblatuje tu i owdzie, prowadzi do katedry, każe podziwiać szczególniej i jedynie zegar Zwelke'go zbudowany z rozmaitemi figlami, oddaje mię pod dyspozycją jakiegoś „*vieux garçon*“ a sam żąda najspokojniej „*o-men-de-fran*“. Domyśliłem się: dwa franki przepłynęły z mojej do jego kieszeni. Gamin znika natychmiast, a jego następcza zaczyna mi długo, dobitnie objaśniać zegar i niektóre obrazy. W końcu kłania się—i tu nie zabrakło mi domysłu.

Paryż, Maj t. r.

Tak, to on — ów Paryż... poczekajcie; czuję w sobie natchnienie — jakże o nim pisać bez odpowiedniej ekstazy?...

Paryżu! — nie, to zbyt pospolite — Lutecjo! Stolica świata (Londyn się na to nie zgadza, lecz mniejsza o niego)! czarowna czarodziejko zaczarowanych czarnych i białych rozkoszy! kraino upragniona, obmarzona i ob-

wzdychana milionami piersi, którym nie dano ciebie oglądać! zaklęty labirynt bogactw i nędzy! kryształna kropło dobrego, niewyczerpany źródło zepsucia i zbrodni! niewyexploatowana kopalnia mody, reklam i dowcipu! osławiony grodzie wesela i mordów, uwiecznionych boeufs-gras'ów i igraszek s. Bartłomijskich! Ciebiez-to, obiecana ziemię złotęj młodzieży, ciebiez-to, powiewna rusalko o sypiącym się jak perły uśmiechu, o płynnym, mile-nosowym języku, ciebiez-to... i jakież wyraz tu postawić, coby godnie określił, że widzę, patrzę, podziwiam, pochlaniam i tykam oczami ten Paryż?!...

Pozwólcie, niech ochłodnę cokolwiek, ażebym mógł więcej z zimną krwią pisać o mieście, którego nazwisko świat cały (myślę tu o Europie) nosi na ustach.

Jak każdy, mający oglądać stolicę Francji, urobiłem i ja sobie naprzód o niej pojęcie, abym łatwiej mógł się potem zorientować. Wyobraziłem sobie—wstyd mi wyznać—że jadę do grodu zamieszkałego przez półtora miliona—jakby to powiedzieć?—„owczym bieżąc pędem...“ coś w tym rodzaju; i będąc przekonany, że bardzo dobrze pojąłem charakter Paryżanów, postanowiłem mocno trzymać się na nogach, ażeby podmuch nadsekwańskich pojęć nie wyrzucił mię w katońskich (z wyjątkiem tego i owego) życia zasadach. Sądziłem trzy-kroć naiwny, że na każdym kroku będę musiał straszliwe walki staczać z przekonaniem tutejszego ogółu, a już wszystko to co do mnie należy, począwszy od ideałów mojej duszy, aż do cholew mojego obuwia, będzie ściągало na siebie nieustanny atak francuzkiego prozelityzmu i obkalemburowanych docinków. Na pierwszy spodziewany nacisk wymierzony na moją osobistość zebrałem cały zapas mojej odwagi i zasobów moralnych, ażeby ódrazu opanować właściwą sobie pozycją; wsparłem się na powadze jak Herakles na swojej maczudze i z bijącym sercem oczekiwałem zaczepki — o której nikt nie myślał; czekałem starcia nie mającego mi nigdy się przytrafić; walki niebezpiecznej, z nadzieją

jednak wyjścia z niej całym a jam i bez niej został zwyciężonym!.. Ruch na pół szalony, wir okołoający i wrzawa niezrozumiała naraz mię zewsząd tak obskoczyły, że nie wiedząc co robię, ale z pełnym przekonaniem że dobrze, ponieważ wszyscy tak robią, żwawo wyprężyłem skurczone jazdą pedały, wpadłem z niepojętą werwą do jakiegoś *boutique* gdzie mnie przystrojono w *wściekle* rękawiczki i z rozkosznym uśmiechem na zakurzonych jeszcze dymem lokomotywy ustach, ruszyłem wzduż lśniącego, szumiącego i kipiącego życia bulwaru sewastopolskiego. Gdzie się podziały wtedy spiżowe życia mojego zasady? nie wiedziałem, i dopiero później, po długich rozmyślaniach nad tem niespodziewaném zjawiskiem, domacałem się, że zasady pozostały sobie po staremu zasadami, ale na bruku bulwarowym uznały za stosowne poważną lecz nie na czasie swoją togę zamienić na żakiet, a pełen wartości lecz cokolwiek wiekiem stetryczały skalpel swojego purytanizmu na lekkuchny, za franka bambusik, bez najmniejszego mimo to przeniewienia się samym sobie.

Savoir vivre, ta niewykonalna nigdy dla wielu, ogromnej nawet wartości zkadinnad ludzi, maxyma, jedynie zdaje się być właściwie zrozumianą przez tych w których-to języku została wypowiedziana. Paryżanie wynaleźli i oni tylko umieją jak należy ją wycekwować. Tém się tłómaczy owo predominowanie ich wszędzie tam, gdzie tylko kwestja sposobu i urzadzienia życia tak społecznego jak i indywidualnego zostaje podniesioną. Epikureizm, który tak wielu umiał sobie zjednać zwolenników w starożytności, był niczém inném jak szczęśliwém trafieniem w najczulszą stronę zmysłowości a zarazem we właściwą dążność téjże w życiu człowieka. Senzualny ustrój tego ostatniego od zamierzchłych wieków do dnia dzisiejszego pozostał jednakim, więc i epikureizm, z małą zmianą zastosowaną do dzisiejszego ducha wieku, powtórnie powołany do życia przez umiejętnych uczniów jakimi są Paryżanie, musiał i musi z natury swojej po-

ciągać za sobą, tak jak ongi, tłumy zwolenników tego-
czesnych. Szczególniejsza perceptowność, bez utraty je-
dnak odrębności swojego charakteru, narodu francuzkie-
go; umiejętne téjże zastosowanie i wprowadzenie do po-
wzedniego życia; zdolność jemu tylko właściwa przed-
stawiania wszystkiego w najpokuszeńszy sposób a zara-
zem nie tak głęboko jak sprytnie obliczone, nie tak
rzeczywiste jak powabnie mamiące pogodzenie choćby
najszczuplejszych materialnych zasobów z najwygórowań-
szemi zachciankami wyobraźni, a przedewszystkiem żą-
dzami człowieczych namiętności, sądzę, że jest tajemnicą
owego wpływu francuzów, jaki wszędzie daje się odczuć
gdziekolwiek doleci echo płynnej ich mowy lub się uka-
żą skrajane poły ich fraka. Dużo blagi, jeszcze więcej
na optykę tylko wymierzonych wszelkiego rodzaju fabry-
kacji, ale mądrze to wszystko na wabi udatności i pe-
wnej konieczności używania tegoż osadzone, przynosi
im daleko więcej ekonomicznie obrachowanych korzyści,
niżeli złote prawdy lecz w całej swojej szorstkości wy-
powiedziane i uczciwie dokonywane wyroby lecz bez utu-
dnych, mimowoli popychających rękę do kieski obśc-
nek, ich sąsiadom z za Renu. Piérwsze lepsze miaste-
czko niemieckie z łatwością zwyciężyłoby Paryż, gdyby
ten chciał się w powadzę, w głębokości zasad i w bez-
reklamowém przeprowadzaniu swoich wyrobów wiedzy
i przemysłu z nióm ubiegać. Paryż wie o tém bardzo
dobrze; podobno nigdy się o to nie pokusi woląc na za-
wsze pozostać pokupnym reklamistą niż bardzo mądrym,
pełnym wartości i godnym czci ale nie praktycznym
z brzęczącego względu statystą germańskim. Myśl, do-
wcip i sposób życia społeczeństwa francuzkiego uznane
są za lekkie i powiewne, ale bądźmy przekonani, że gło-
wy co wymyśliły i umiały tak ogromne ekonomiczne po-
żytki z nich wyciągnąć, pewno nie do pozłoty ani pudru
tylko się rodzą.

Trzeba posiadać niepomierną dozę zarozumiałości,
aby chcieć, potem wszystkiém co już napisano, jeszcze

coś nowego dodać o stolicy Francji. Tak z poważną jak i niepoważną jej stroną, sto-kroć lepiej mozem się obeznać z niezliczonych prac naukowych i z niezliczeńszych jeszcze tomów Kock'a i Terail'a niżeli choćby z najlepszego opisu jakiegoś podróżnika. Zresztą to co stanowi moralną ważność Paryżanów i nie każdego zajmie i nie moja jest rzeczą. Gnała mię nuda i chęć nowości, flanjung więc bez celu, a jeżeli się uda gdzie uciąć więcej zajmującego gapia — *utere mecum*.

Wystawa powszechna — nie jestem specjalistą a zjeść i wypić wolę u Duval'a niż w chińskiej pagodzie.

Biblioteki, galerje i muzea — kłaniam; panowie lingwiści, artyści i archeolodzy, to do was należy.

Teatra — zgoda, ale zawsze przekładam dramata i komedje bez poprzedniego na pamięć wyuczenia się ról — chodźmy... do Mabilu; miliej się o nim słucha niż o Luvrze.

Przedewszystkiem zanotowynam, że Mabil dziś już wiele stracił na swojej popularności, nie daje wyczerpującego obrazu niewinnych uciech pewnych warstw tutejszego społeczeństwa i dla tego samego, aby nie obrazić skromnych lecz niemniej przeto ciekawych uszu fałszywój pruderji, jęgom-to wybrał.

Zachód słońca w Paryżu jest godziną wschodu ruchu więcej ożywionego na polach Elizejskich. Za kilka susów możesz sobie zasiąść na wyplataném krzeselku pod drzewami a bezpłatnie już co chwila to nowy wzorek chwytać do swojego porte-feuillu. Processja nie mająca końca, złożona z przeróżnaitych typów i fizysów, jak różnobarwny łańcuch brzęczący niemniej różnojęzycznym odgłosem przesuwa się przed oczy twojemi, a im się więcej noc zaczyna zbliżać, tém coraz rzadsze jego ogniwa rozpryskują się i nikną w setkach przeróżnie oświetconych budynków, z kąd ci do uszu tylko śmiech i muzyka dolatują. Wartoby wszędzie zajrzeć, ale na to czasu by nie starczyło, weźmy się więc ku l'Arc-triunphal, skręćmy cokolwiek na lewo i oto jesteśmy

już przy kassie — *Cinque francs pour vous, monsieur, trois pour votre dame!*... Pięcio-frankówka złożyła świadectwo, że byłem sam jeden.

Mabil jest-to ogród w rodzaju naszej Szwajcarskiej Doliny. W środkowym jego punkcie stoi estrada a do koła niej mocno ubita ziemia służy za salon, którego pułapem gwiazdziste niebo. Tysiące świateł gazowych pozwalają zapomnieć o nocy, a muzyka, taniec, woń perfum i rozkoszne uśmiechy o rzeczywistości, utarczках z biedą, miłym zapachu dymu fabrycznego i płaczu zgłodniałych...

W pewnej odległości od estrady migocze jakieś tajemnicze antrum o błękitnym świetle, snąc na pamiątkę Dydony i Eneasza tutaj wystawione, ażeby wrazie niespodziewanego dészczu mógł się powtórzyć figiel Afrodytiany... Z tém wszystkim, jak uważałem, jaskińka ta nie wzbudzała należytego podziwienia i mało kto przechodząc tamtędy zaledwie rzucił w nią okiem. Fiaker stojący na pogotowiu bez wątpienia więcejby zwrócił uwagi i znalazł uznania.

Muzyka przegrywa jakieś rozkoszne etiudy. Słuchacze siedzą do koła ale więcej okiem niż uchem na ten raz się posługują—*cocots* rozmaitego gatunku zaczynają się ukazywać w oddali. Muzyka zmienia tempo, kamelje swoje ruchy i oto—kadryl. W okrąg tworzy się galerja po większej części z cudzoziemców.

A teraz patrzcie. Studenci i eleganci zsuwają kapelusze w tył głowy (*sine qua non*), wielkie palce u rąk wtykają za kamizelki a na twarzy ich ukazuje się mizdr szczególniejszego rodzaju; *les dames* podnoszą w górę ogony sukien, te zaś mocno obeiskają w około siebie. Oczy widzów opadają ku ziemi ale nie ze skromności: teraz będą patrzeć tylko na nogi tańczących a raczej tancerek, ponieważ mężczyźni zwykle dość niedbale odbywają swoje *pas*.

Najglówniejszą rzeczą i zasadą jest podnoszenie nóg do możebnej wysokości. Tancerka, co z nadzw-

czajną szybkością, nie myląc przytem taktu muzyki, zdołała jednemu ze spektatorów, wysoko-żółtawemu synowi Albjonu, pięć-kroć z rzędu nakiwać stopą pod samym nosem otrzymała powszechne *bravo*, i już do samego końca balu została uznana za najgodniejszą podziwienia wszystkich. To spowodowało pewną zazdrość w reszcie dam, tém bardziej, że już na nic oryginalniejszego nie można było się zdobyć. Mimo to, jedna z nich szczególnie, bądź co bądź, postanowiła koniecznie wyrwać palmę pierwszeństwa tej wybrance. Ruch nogi dopiero co opisaney zostaje powtórzonym ale dla zupełnego zwycięstwa nad pierwszą, w chwili najwyższej *exageracji*, obciśnięta suknia, snać przypadkowo, zostaje wolno puszczoną... Powszechny oklask i głośne uwielbienie zagrzmiało ze wszystkich stron. Twarze obecnych kraszają się uśmiechem zadowolenia, prócz jednej — *sergent du ville*; niezgrabna ręka tego profana znalazła się na ramieniu zwyciężczyni... Widzowie cokolwiek chłodną, reszta tancerek powstrzymują zbyt ni zapal, towarzystwo zostaje pozbawionem jednej uczestniczki zabawy.

Wszak prawda, to bardzo zajmujące? Musi być zajmującym, skoro anglicy, zwykle tak obojętni nawet przy cudach wystawy wszech-swiata, nie mogą już ukryć wewnętrznego zadowolenia na widok tego rodzaju ekspozycji.

Północ jest końcem balu. Niechęć daje się widzieć na twarzach gości, jednak niedłuzej jak w pół godziny Mabil zostaje zupełnie opróżnionym. Pola Elizejskie kończą to czego Mabilowi nie dozwolono. Nie tam, to tu a zawsze na swoim.

Na drugi dzień pojechałem na Père-Lachaise. Chciałem cokolwiek kontrastu, alem go nie znalazł. Nagrobki wyglądają tu jak domy, aleje jak ulice; ogromna ciasnota, drzew mało, zaledwie czujesz, żeś na cmentarzu...

Paryż daje wszystko: naukę, zabawę, doświadczenie, poznanie ludzi a nawet pieniądze jeżeli do tego wziąć się umiemy — natchnienia nigdy.

Calais, Maj t. r.

Miasto łązi i gada; port rucha się i pracuje; zégar na ratuszu co chwila kuranty wygrywa a morze pieni się i szumi...

Wszystko to bardzo zajmujące, ale nié mam cierpliwości trzech dni czekać tutaj na parowiec do Londynu.

Boulogne, Maj t. r.

Miasto jak hermafrodyt: anglo-saksony za poły tu się biorą z gallami. Parowiec co ma mnie zawieść do stolicy Brytanji pochodzi z warsztatów angielskich; osada angielska i passażerowie, wyjąwszy mnie i jednego francuzika, sami anglicy.

Londyn, Maj t. r.

Niewiém, sianem czy cygarem wywinąłem się od złożenia hołdu Neptunowi.

Tamiza cuchnie jak kanał; domy czarne jak kominy; powietrze brudne jak zakurzony muslin a słońce podobne do talerza pomalowanego na żółto. Mężczyźni sztywni, kobiety brzydkie. Ulice wąskie i niezajmujące; w Hyde-parku zwykła rejtszula a ś. Paweł okurza się i obmywa... Jadło nie smaczne, *ale* dobre i zdrowe.

Pod tą brzydką lupiną ma być sliczny orzech—tak mówią i piszą. Nie sprawdziłem tego bom nie miał czasu i—pieniędzy.

Bruzella, Maj t. r.

O godzinie siódmój po południu zwyczajny pociąg, idący tak szybko jak niemiecki sznelcug, wyrwał mię z mglistej stolicy Brytanji aby zaraz po za jéj obrębem ujrzyć prześliczny dzień e ciepłym słońcu. O dziewiątej dostawił do Dower'u, a ztąd dwu-koninowy parowiec w półtóry godziny do Calais, gdzie już gotowym pociągiem wyruszyłem natychmiast i stanąłem tu o piątéj zrana. Bodaj-to jazda w XIX wieku! Zdrzymnąłem się cokolwiek a tymczasem, jak w baśni Szecherazady, morze i trzy kraje przemknęły się przedemną. Trzeba mi

było już spać dalej... Bruxella, *petit Paris*, ładne miasteczko, a nadewszystko, że czyste. Holenderskie ochędóstwo sąsiadów wyraźnie na nią działa. Kamienice tu-tejsze, jak elegantki, codziennie się myją od stóp do głów—to bardzo dobrze; gdyby tak można jak z brudu wymyć się i z czego innego—niedaleko ztąd naprzykład Waterloo... gdyby go zmyć do szczętu, zachodni pobratymcy byłiby za to bardzo wdzięczni.

Berlin, Maj t. r.

Kolonja, Hanower mignęły mi przed oczami; Postdam poważnie się przesunął i otom w stolicy północnych Niemców, *ja wohl*—na słowiańskiej ziemi.

Nadsprewiana stolica wygląda arcy-poważnie. Ruch wprawdzie dość ożywiony, szczególnie w najpiękniejszej dzielnicy miasta, ale w nim samym dostrzega się coś nader systematycznego. Karety i powozy toczą się z namaszczeniem jakby w głęboko-filozoficzném przekonaniu o wielkiej ważności w ustroju społecznym swojego „ich“. Dróżki i omnibusy zawsze w jednako-miarowém, nigdy się nie zrywającém choćby do skromnego *vivace*, posuwają się tempie a przechodniów nie zdarzyło mi się widzieć izby idąc dokąd mieli zwyczaj zbyt częstego przystawania dla obejrzenia jakiegoś cacka w wystawie sklepowej; prędzej już zatrzymują się przed księgarnią, jakby dla kontrastu z naszym gapieniem się po ulicach. Dopiero o zmierzchu liczniejsze zbiorowiska dają się widzieć pod Lipami, a już prawdziwe processje płyną po za brandenburgską bramą albo aż do Minorytów na przeróżnaito koncerty ogródkowe oblewane cieniutką kawą z mlékkiem w dzbanach (sic) zastawianą i ulubionym weiss-bierem w kufiach trzymających oniemal całą stopę w średnicy.

Jedno szczególnie mi tu uderzyło. Bezwątpienia że Berlin, tak jak każde wielkie miasto musi posiadać nie mały kontyngens „zdechlaków“ ale, powiedzcie mi, dla czego mniej jakoś czuć się oni w nim dają niżeli

w cztery-kroć mniejszej odeń w Warszawie? Jest-to fakt dość dziwny, chybaby go bajką *de rupta rana* tłómaczyć.

Drezno, Czerwiec t. r.

A któż nie pisuje ztąd korespondencji? któraż gazeta jeżeli nie zkaąd, to z téj mieściny nie musi mieć koniecznie wiadomości? i gdyby one były tak ważne, dałoby to się jeszcze pojąć, ale wiecznie na jeden temat śpiewać o tutejszej galerji, to coś zakrawa na anegdoty Jowialskiego. Alboż ja lepszy od innych? chodźmy podziwiać arcydzieła—dzis się nie nie płaci.

Osób ogromna ilość,—trzy najpiérwsze języki Europy z każdego kąta dają się slyszeć a nowy, oryginalny sąd przy każdym obrazie. I ja się patrzę, wolnoć mi także popisać się z mojem zdaniem choćbym miał obrazić wszystkich na raz artystów i tak zwanych kompetentnych znawców sztuki.

Naprzód, *in medias res*, według mnie sztuka jaką uprawiała starożytność w rzeźbie a wicki średnie w malarstwie jest dziś najzupełniejszym, w całym znaczeniu tego wyrazu (slysze już straszliwy syk i oburzenie panów znawców a nawet recenzentów moich świstków) — i jeszcze raz, najzupełniejszym anachronizmem. Dziwna zaiste rzecz, iż gdy bez ceremonji rozprawiamy się z tém wszystkiem co pozostało nam z przeszłości a nie kwadruje z duchem tegoczesnym, dla sztuki zachowujemy jakies nie dające się niezem usprawiedliwić względy, i choć we wnętrzu przyznajem się, że ona jest czasem dla nas zupełnie niepojętą już dzis, nie śmiemy jednak głośno z tém się cdezwać. Jeżeli staniesz naprzykład przed tą osławioną na świat cały Madonną Syxtyńską w tutejszej galerji, musisz już z obowiązku albo milczeć w głębokiem podziwieniu, albo co najwięcej, od czasu do czasu jakimś wykrzyknikiem zachwytu objawiać swoje zdanie, a nawet wtedy nie wolno ci się znaleźć inaczej, gdy w głębi serca swojego najszczerzej sobie przyznajesz, że widzisz tylko płótno osadzone w prze-

pysznych ramach a na niem wymalowaną ludzką postać dość zgodniami z sobą barwami. Sprobuj jednak choćby ramiony jak najnieznaczniej ruszyć w dowód, że nie rozumiesz tego arcydzieła, to napewno w zamian ujrzysz stereotypowo szyderski uśmiech na wszystkich twarzach przytomnych wyciśnięty i bijące w oczy, iż mocno cię żalują, żeś taki profan i niedołęga skoroś ślepy a nieczuły na czary rozlewające się z tego bosko wykonanego obrazu. Biedacy! ganią cię za to, za coby sami zostali zganieni od innych gdyby choć cokolwiek chcieli być szczerzy. Nie będę zbyt zuchwałym utrzymując, iż *ani jeden* z podziwiających Rafaelowskie arcydzieło nie zachwyca się z głębi przekonania ale na zasadzie, jeżeli ukształcony, oklepanych formułek znawstwa sztuki lub też, wedle przysłowia „za panią matką paciércz“, na wiarę i okrzyk uwielbienia innych.

Fanatyzm jaki sztuka wzbudzała w średnich wiekach miał powody swojej exystencji. Wiara-to, żywa i głęboka wiara owych czasów była przyczyną nie udanego zapału i przejęcia się widokiem odtworzonych zmysłowo ideałów tamtowiecznych przekonań. Jeżeli dziś małeńki, choćby najnieudatniejszy obrazek przypominający nam jaką ukochaną osobę, wzbudza w nas szczególniejsze zajęcie się nim i gotowi jesteśmy oddać zań o wiele przewyższające go wartością przedmioty, toć i ongi, łatwem jest do pojęcia, że wizerunki przedstawiające to co najświętszém wówczas dla ludzi było, musiały do ogromnej wznosić się wartości i ogólną, nieklamana, cześć sobie zjednywać. Nawet takie bohomyzy (przepraszam może za zbyt drażliwe wyrażenie) jakie bizantyjska szkoła wytwarzała, mogły z tego powodu *moralną* wartość posiadać, ale czyż za tém idzie abyśmy i dzisiaj jeszcze hołdy składali temu co żadną miarą nie chce i nie może przystawać do naszego przekonania? Czemuz naprzykład indyjskie potwory sztuki tamecznej nie uwielbiamy podobnie jak wyznawcy Bramy? podobno nie dla czego innego jak, że nie pojmujemy ich znacze-

nia i nie potrzebujemy przybierać na się fałszywego zachwytu. Sztuka, tak jak wszelki wyrób człowieczego pomysłu, miała powody do zjawienia się i miała swój czas w którym dokonała swojej misji, w ogólnocywilizacyjnym pochodzie ludzkości—dziś jest ona pięknym zabytkiem i nabytkiem dla muzeów archeologicznych—nic więcej. Jest ona jedną z liter któremi są spisane dzieje ludzkości; bez niej trudno może nawet dałyby się zrozumieć niektóre wypadki historii świata; należy więc ją szanować jako pamiątkę zamarłych wieków ale wzywać powtórnie do życia a co gorsza, osłaniać jakimś karogodnym, fałszywym holdem i z godnością ducha ludzkiego i z ekonomją nawet tegoczesną najzupełniej się nie zgadza.

„Co do nas tu i owdzie szanujemy przeszłość, wszędzie ją oszczędzamy byle zgodziła się być trupem; jeżeli chce żyć napadamy na nią i usiłujemy zabić“ — powiada autor *Miserables'ów*, tylko i ten nie zawsze zgodnie z sobą.

„Człowiek raczej na pocztyljona niż filozofa stworzony, gotów jest przyjąć wszelkiego rodzaju błędy byleby uniknął trudu ich sprawdzania“—dodaje Fryderyk W. i temi-to powagami kończę moje zuchwalcze odezwanie się względem wiarogodności uświęconych prawd sztuki w szczególności religijnej.

Popatrzym teraz na licznych kopistów i spektatorów malowideł sławnej galerji.

Przed Chrystusem Guido-Reniego siedzi przebrzydka angielfka i z zajęciem przependzlowywa wyraziste rysy *Ecce-hom'a*: za nią dwóch *comme il faut* młodzieńców zajętych przenoszeniem wzroku z oryginału włoskiego na brytańską kopją. Pod pendzlem angielfki twarz Jezusa Reniego, dająca myśleć nawet temu coby niewiedziały czy wizerunek ma przed sobą (wyraz twarzy, jeżeli tylko umiejętnie oddany zawsze będzie na czasie), przetwarza się w jedno z arcydzieł jakimi tylko częstochowska szkoła szczyści się dotąd i wcale by nie straciło na wartości gdyby po ukończeniu było sprzedawanem, tak jak i wyroby téjże, na łokcie.

— Jak uważasz—odzywa się pół-głosem jeden z młodzieńców—jest podobieństwo w tój kopji?

— Oo! jest, nawet ogromne a zupełne byłoby gdyby ten kolec z ciernia po prawej stronie był cokolwiek mniej pochyło namalowany.

Jakto? więc nawet w tój twarzy dziś już nie odgadujemy myśli a podobieństwo zasadzamy na wierném odmalowaniu akcesjorów? Wprawdzie, mamy tu do czynienia tylko z jednym exemplarzem trutniów społeczeństwa ale zdaje mi się, że nic podobnego ongi, za czasów płomiennie tryskającej wiary nigdyby się nie zdarzyło...

Pojmuję teraz rozpacz (z desek scennicznych) znawców i artystów *ex professio* nad upadkiem (?) estetycznego (chyba etycznego) poczucia.

Praga Czeska, Czerwiec t. r.

Germanizm potężnie się rozsiadł w dolinie Czeskiego kraju, nawet sama jego stolica jakoś strasznie z niemiecka wygląda. Biédaczka! na przedniej straży słowiańskich krajów stojąc musi wszystkie ataki wytrzymywać cywilizatorskich *drang-nach-Ost'ów*. Samo miasto wcale udatne a już z Hasenburg'u patrząc pysznie się rozkłada przed oczami. Możesz się w niém obejść wprawdzie bez niemieckiego języka, ale w powietrzu czujesz zbyt bliskie sąsiedztwo „wybranego narodu“. Zresztą jesteś jak u siebie—ba! toć i w całej Europie dziś już tak samo. Para cię przenosi z miejsca na miejsce po sto mil jakby tylko z ulicy na ulicę jednego i tegoż samego miasta. Język, o! cała różnica a co do reszty nie zdaje ci się iżbyś od siebie wyjechał. Cywilizacja zacięra różnice narodowe (czas już nareszcie) a jedną część świata zamienia w jeden tylko kraj Europejski. Jeżeli chcesz widzieć coś nowego, musisz już po za jego granicę płynąć—w Europie wszędzie jedno i to samo. Tém lepiej; mozem mieć nadzieję, że nie daleki czas w którym i inne części świata zabiorą z nami bliższą znajomość.

26. III. 1868.

WYCIECZKA DRUGA.

Wenecja, Maj 1868 r.

Wenecjo! kołysko wielkich wspomnień, zaklęty kraju bogactw, piękna, miłości i pieśni! Któż o tobie nie marzy? któryż student susząc sobie głowę nad zmuśnionymi nazwiskami krajów i miast, twój imienia najlepiej nie pamięta, sto-kroć je nie powtarza, myśli swoich nie śle na kołyszącą się gondolę, oczami duszy nie widzi romantycznej twarzy księżycy odbitej w zwierciadlanych toniach uspiętego morza, a obydwoma już, najczęściej niepomiernej długości, uszami nie chwyta rozkoszne „io t' amo“ wygłoszone w pieszczonej mowie południa? Wenecjo! Wiotka dziewica z przyczepionym kokiem dla równowagi lekkuchnej swojej główki, spoglądająca smutnie na śnieżną zadymkę pod pięćdziesiątym drugim stopniem szerokości północnej; chwiejny laskonogi młodzieniec, całą swą młodą pierś oddechający w przestankach rozkadrylowanego baliku; zwistowany pan radca; ziewająca pani prezesowa; wszyscy chórem nucą o twojej chwale, jeżeli tylko znajdzie się kto taki co rzuci zapytanie o najpiękniejsze miasto na świecie... Jeszcze tedy raz—Wenecjo! ojczyzno dożów, fakinów, Veceljów, Aretinów, tych bożków i „jadowitych krost na uroczym ciebie twojem“, sarkofagu trzech stylów, matko słonecznego kolorytu, trzy-kroć witaj i bądź pozdrowiona!...

Za łomne moje pióro, za sztywne myśli moje abym śmiał cuda stolicy Adrjatyku kręślić zuchwały. *Procul, o procul este profani!* tu słusznie możnaby z kapłanką

Hekaty krzyzcć wszystkim do ucha, ale niestety szy-
piący język Germanów najklassyczniesze wezwania zdo-
len jest zagłuszyć, a na zagładające w krater dymiących
się wulkanów, z Foersterem lub safjanowym Hachettem
pod pachą, dzieci Albjonu, czyż naiwne treny wieszczów
mogą mieć wpływ jaki? To téz ze wszystkich stron
wielką processją suną niepoświęceni, a ta Italja pono
nie lepiej się ma od grochu przy drodze. Kogo tylko
łechczą ruble, talary, franki lub szylingi, ten już poczy-
tałby sobie za grzech śmiertelny ażeby widząc to i owo
nie zobaczył i tego co jest za Alpami. I gdyby to choć
dla miłości przependzlowania widoków południa na pół-
nocne płótna, lub dla pofolgowania zmarzłym a częściej
zbytнім ciepłem wysuszonym pieriom pędziło się do
tego kraju bogów, jeszczeby to wyszło na pół biędzy,
ale kiedy się zwykle jedzie po to tylko ażeby poplu-
skać na lagunach, zjeść kopę pomarańcz i zajrzeć czar-
nym oczom niegdyś złotowłosych Wenecjanek, to jakby
to nazwać? Ale mniejsza o morał; jest jeszcze coś dru-
giego co gorzej drażni. Każdy wojażer, jakiby-to nie
był bierze sobie za zasadę popisywanie się z odrębnym
sądem o tym biédnym geograficznym bucie. Naturalnie,
że wszyscy z obowiązku muszą go uwielbiać, ale niktby
tego nie zniósł, iżby mu nie miał choć pokryjomu no-
wój jakiej łatki przyszyć; popytaj tylko artystów, ku-
pców, bon-tonów i blazów, a pewno nie przyjdiesz do
słowa słysząc tę różnorodność zdań co spadnie na cie-
bie, a już nos swój na wysoką kwintę naciągniesz je-
żeli sobie weźmiesz do głowy, że ziemia co wypromie-
niowała dzisiejszą cywilizacją, dotychczas jeszcze nie
może pochwalić się ustaloną opinią. Ha! użyję wspól-
nego wszystkim prawa—popatrzcie-no przez moją lorne-
tkę na tę piękną Wenecją.

Czarna jak kruk, wysmukła jak gazella, z miękié-
mi poduszkami i lekkim płócienném nakryciem gondola
przez podwójne usta fakina i wiosłarza zaprasza cię do
siadania. Pierwszemu dajesz solda, drugiemu pięć lir

i oto masz powóz na twoje rozkazy przez całe dwanaście godzin. Sadowisz się tedy jak najwygodniej, zapalasz cygaro a oczy puszczasz w ruch... Jeżeliś artystą, nowość i odmienność budowli tutejszych od innych miast mocno cię zastanawia; podziwiasz wschodnie wejście kąpiącego się grodu, uśmiechasz się do maurytanizmu, kłaniasz przed renesansem i mówisz sobie w duchu: niech ją djabli! to znakomite. Jeżeliś zwyczajnym śmiertelnikiem, mającym cokolwiek nie jasne pojęcie o różnicy sztuki architektonicznej od mięsnej, pierwój od oczu węch twój zaczyna działać, cokolwiek się krzywisz, spluwasz i dymem cygarowym starając się załagodzić miłą woń kanałów, szukasz oczami sławnej piękności stolicy mórz. No, rzeczywiście, niéma co... duże, wysokie domy, ba! wszakżeć to pałace, ale... hm! jakoś... gdyby cokolwiek nie tak stare... tak brudne, fi! tak odrapane. A co to tam takiego? Jakieś widać franki!... nie! no proszę, to bielizna! ale gdzież tam? To ktoś sobie swoje manatki przewietrza, cóż dziwnego? Nie miał gdzie, powiesił więc na gźemsie Sansovina. No mniejsza, ale te okna tak pozabijane deskami? Także rzecz bardzo prosta — Wenecja w trzeciej części stoi pustkami. Jedziesz dalej — Ponte-Rialto. Trzeba go obejrzeć. Wsiadasz. Ciasne, oh! ciasne uliczki jakichś nigdzie nie widział, a przez porozstawiane kramy rozmaitego rodzaju jeszcze ciaśniejsze. Ludzie chodzą, kupują, jedzą owoce i krzyczą. Ty się patrzysz, oglądasz, podziwiasz obszarpane budowle, nakiwujesz smutnie głową i nos sobie zatykając powracasz do łodzi i—do domu, bo galerja obrazów, wnętrza kościołów bardzo ładne, ale jak dla ciebie, nie konieczne do widzenia. Czekajmy wieczoru—plac ś. Marka za toć wynagrodzi.

Słońce coraz więcj schyla się ku morzu, piazza coraz bardziej zaczyna się roić. Pod kolumnadą Prokuratorij i na samym placu pełno krzesel i stołów. Na krzesłach przedstawiciele różnych narodowości, na stołach kawy i chłodniki, a pomiędzy tém wszystkiem uwi-

jają się chłopcy z czasopismami, przekupnie rozmaitych cacek, zbieracze ogryzków cygarowych i z koszyczkami kwiatów, młode, częstokroć elegancko ubrane *fioraje*. Jedna z tych ostatnich uśmiecha się, daje ci mały bukiecik i odchodzi nie żądając nic za to. Idylliczne czasy! No, wprawdzie jutro albo pojutrze parę franków za jej grzeczność nie zawadzi, albo... można i w inny sposób.... lepiej nawet w inny... zresztą zwykle w inny sposób...

Ze zmierzchem piazza jaśnieje tysiącem światła. W środku niej wojskowa muzyka, dokoła przechadzka, rozmowy w późną noc a nad tém wszystkiem gwiazdziste, bez chmurki, spokojne bez najmniejszego podmuchu wiatru niebo. A nuż jeszcze księżyc zechce przyłączyć się do wspólnej zabawy? O panowie amatorzy bładych promieni! jeżeli czasem przesadzacie w swoich czułościach ku „wiernemu towarzyszowi nocy“ i tém samém już w śmieszność podajecie marzenia po księżycu, to Wenecja—schylcie czoła czciciele słońca! — ma jeszcze powab, ostatni może dzisiaj, przy tém nocnym świetle i ten widok jaki ona przedstawia nigdzie więcej podobno nie znajdziemy.

Oto pani Adrjatyku w dzisiejszym kostjumie. A niegdyś? Pytajcie dziejów, podań i pieśni, czém-to ona była ze swoją marynarką uwieczoną bucentaurem (dziś tylko w modelu); ze swoim złotem; sławą ośmdziesięciu, licząc z gruba, malarzów; dramatami Foscarich i Bianek, dachem ołowianym, studniami godnymi współzawodniczkami tegoż i maskaradą...

I gdyby na tej tylko dzisiejszej metamorfozie wszystko się skończyło! Ba, coś gorszego grozi stolicy morza —powódź, straszna powódź—z piasku. Jak wielkość i sława onych świetnych czasów co niby spłoszone jaskółki umknęły het! za góry, na zachód, tak i te romantyczne nurty kanałów weneckich (płaczcie kochankowie!) swoim dworem, jak to mówią, w drugą stronę ku wschodowi gdzieś się wybierają. Królowa mórz pe-

wnego (pewno nie pięknego) poranku na błocie osiedzie. Bez wątpienia, że nie będzie to tak prędko jak się to mówi i pisze, ale że będzie, to możecie się spytać na przykład stariej Akwilei lub Adrji co niewiadomo z jakiej przyczyny pognięwały się z morzem i aż o kilka mil od brzegu w głąb' ładu się przeniosły. Albo i ten zmurszały Padus co zamiast przyzwoicie z góry na dół sobie spadać, coraz to więcej sunie do góry, a płynąc nim możesz sobie powiedzieć, że to ładny akwadukt na kilkanaście stóp po nad ziemią wzniesiony, czyliż także nie dość głośno „*requiescat*“ śpięwa Wenecji? Co tu robić w takim stanie rzeczy? Według mnie (pozwólcie na małeńką radę), zaciągnąć wodną Wenecją do akt, zostawić ją legendom a zamiast czyszczenia kanałów które pomagają im tak dobrze co umarłemu kadzidło zasypać je żwirzem, gondole puścić na wolę wiatrów a natomiast wiedeńskie naprzykład omnibussy sprowadzić... He? to zakrawa na bluźnierstwo, ale czyż głową mur da się przebić albo zatrzymać morze pod pałacem dożów?...

Rzym, Maj t. r.

Są na świecie trzy miasta które w żaden sposób nie mogą się obejść bez podniosłej apostrofy, skoro zamierzamy o nich pisać: Paryż, Wenecja i Rzym. Musicie więc tej trzeciej jeszcze posłuchać.

Vos, o Caliope, precor adspirate canenti...

Wybaczcie, niewczesne-to może popisywanie się z łaciną, ale stanąwszy na gruzach stolicy świata nie podobna nie uczcić ją mową jej założycieli. Dziś wszelkiego rodzaju cytaty szczególnież z detronizowanych klasyków nazywacie szkolarstwem lub zarozumiałą erudycyjnoscją. Być może, że i szlusznie, ale być może, że i z bojaźni ażeby komu nie przyszła ochota examinaować was z umarłych języków, wcale nie na czasie przy tylu kłopotach z nowożytnými a szczególnież z tym obowiązkowym, pod grozą banicji z wielkiego świata,

językiem francuzkim... Nie kończę więc klassycznego
mojego zapędu z tego powodu jak dla was, a z innego
dla filologów i retorów, i z całą przyzwoitością postanawiam
dalej już pisać.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu (możeby kto
zechciał wytlómaczyć dla czego?) i ja też obrałem sobie
pierwszą lepszą a na pociechę moich członków, nieźle
już ujeżdżoną z Wenecji przez Medjolan, Genuę, Liworno
i Florencję, cywilizacyjną — parowcem i po relsach.
Z tych innych miast nié mam co napisać, bo na to musiałbym
być albo korrespondentem politycznym albo artystą, a na moje
szczęście żadną z tych ofiar naszego wieku nie jestem. O
Rzymie przeciwnie, już każdy może coś powiedzieć, czy
podziwiając wszystko po staremu, czy przeklinając także
ledwie nie wszystko co w nim napotka. Jeżeli-bo nie jesteście
zwolennikami zasady pulchnego Flakka, ażeby niczemu się
nie dziwić, to już całými piersiami *a bocca aperta* możecie się
nasycać widokiem tego co jest i dalekośnými wspomnieniami
o tém co było. Tu-to owe sławetne siedm pa-górków, których
dzisiaj się zaledwie domacasz; tu nigdyś największy dramat
dziejów się rozstrzygał; tu Cezary, Brutusy, tu koryfėj
petites crevées ów rzymskich ów Jeremjasz z Tomi przed
wiekami rej wodził; tu to i owo i t. d., albo: tu wszystkie
wielkie, godne czło-bijni arcydzieła Sanziów i Michel-Angelów;
tu groźny Watykan wstrząsający niegdys złąką Europą; tu etc.
Możecie całą litanją co najpiękniejszych wykrzykników
z siebie wyrzucić. Jeżeli znów nie urodziliście się wcale
z tak elegicznym charakterem to i na inny sposób antyfonę
można zaśpiewać.

A naprzód jest-to miasto, jak dziś, wcale nie za-
czystością, a co za tém idzie, i sanitarnym
kańców. Nieczystość posunięta tu do gra-
lecają... daje się w wschodnich miastach
stanem mies... wcale, wyjąwszy jedną
nie w jakich zaledw... kościołowi s. Pio-
widzieć. Rzym nie posia...
główniej ulicy i drugiej wiodącej

tra, chodników; w czasie więc deszczu ludzie i konie gręzną w jednej kałuży. Brak lub nadzwyczajna ciasnota podwórzy zmusza wszelkiego rodzaju śmiecie wyrzucać na ulicę, wprawdzie nocną porą ale to w żadnym razie, sami przyznacie, nie może przyczynić się do upiększenia miasta. Ciasnota ulic tutejszych może się ubiegać o lepsze z weneckimi przejściami dla ludzi tylko, a owo sławne na świat cały ze swojego karnawału *Corso* węższe od Nowego-Swiatu w Warszawie. Jakto będzie wyglądać kiedyś stolica Włoch?... To pierwsza zwrotka.

Zaiste, szczególniejsze to miasto — co krok to żebrak, co dwa to ksiądz a co trzy to kościół. Klasa biedna jest tu rozleniwiona *summo gradu*, a te dwadzieścia tysięcy mnichów, z których możnaby ładny korpusik wojska utworzyć do reszty wyciska z niej wszelką nadzieję dobrobytu innych miast europejskich. To też ś. Michał zawsze zapelniany a niema dnia żeby nowy kontyngens rzezimieszków i wprost zbójców doń nie przybywał. W Rzymie, naturalnie jako w księżym grodzie, domy publicznych zabaw wcale się nie znajdują a uprawniona z konieczności bo mogąca przez to lepiej być kontrolowaną, prostytucja także nie istnieje; to też i niema podobno drugiego miasta, w któremby zepsucie kobiet tak dalece się rozwinęło. Rzymianie tegocześni, prawie potomki dawnych po niecnocie, do dziś jeszcze o Horacjuszowém *ore allaborandum* nie zapomnieli, a co gorsza tak dobrze je uprawiają jak za czasów Tyberjusza. A i te „planetniki“ jak Polacy bawiący tutaj nazywają księży z powodu ich wielkich, czarnych, trójgraniastych kapeluszków, niepomierne, jeżeli tylko nie głównie przyczyniają się do tego zgorzenia. Mają oni, jak wszędzie zresztą, wielki wpływ na kobiety, a gorący klimat i jeszcze gorętsze namiętności południa każą im niegodnie zeń korzystać. Już-to dowiedzioną jest prawdą, że klasztory skoneczyły swoje zadanie, a Europa nie potrzebuje już scholastycznych morałów z sutann wytrząsanych, ani też tak ogromnej liczby, zwykle wcale pulchnych

i okrągłych *mediów* co ją z niebem mają łączyć. Kardynałowie tutejsi jeżdżą olbrzymiemi złożonemi karetami, częstokroć aż z trzema lokajami z tyłu. Żołnierze muszą przed nimi salutować, i jak mnie jeden z nich zapewniał, jeżeli oni się czasem nie odклонią, to ich kamerdynier jakimś przecuciem wiedziony uchyla za to cylindra. A chodzą tu jeszcze jak w średnich wiekach lub na maskaradzie, jakieś szczególniejsze w rozmaite barwy przystrojone indywidua, którym tylko otwory na oczy w kapturach zostawiono. Pełnią oni kościelne usługi a przypomnieniem widm Holbeina przestraszają nieświadomych cudzoziemców. Że jednak i w samej stolicy świata daje się czuć pewien postęp, temu zaprzeczyć nie podobna. Słyszałem, że Papież nie daje się już w nogę całować będącym u niego na audjencji—ręka teraz odbiera pocałunki. Oto macie drugą zwrotkę rzymskiego *de profundis* w obec ogólnego postępu i cywilizacji europejskiej. Teraz, święta Cecyljo! dopomóż mi na inną nutę śpiewać chwałę stariej Romy, a już jak najmiłszy akord w akompanjamentcie memu hymnowi weź na swoim kontra-basie jakim cię Domenichino udarował.

Grace au dames!... Rzymianki, pominąwszy, iż jak Chinki nie ruszą się ani kroku bez wachlarza, iż mają lekką słabość do jasnych trzewików i czarno politurowanych drózek, iż wcale nie grzeszą zbytnią skromnością, posiadają, rzecz do nieuwierzenia! w nader niskim stopniu rozwiniętą w sobie zalotność. Więcej one zajęte sobą niż drugą płcią, i zresztą sędzę, że nawet nie przystałaby francuzka koketerja do tych klassycznych buziaków. Dobrą ona jest przy małoregularnych, owych ekliwo-miłych twarzyczkach środkowej Europy, ale w żaden sposób nie mogłaby się pogodzić z rysami które na żywo zdają się być Praxytelesową ręką dłutowane. Brak ten nadaje im cokolwiek sztywności i dla tego nie wszystkim podobają się owe przechwalane piękności południa. Mają one drugą jeszcze wadę, a to na złość miéjSCO-

wym i podróżującym Lowelasom, że się nie zapalają jak hubka i nie są tak srogo kochliwe jak kobiety innych narodowości. Polka np. gotową jest na poczekanego się rozkochać; Rzymianka—ty pono musisz czekać i długo czasem, ale za to raz rozdmuchany płomień jój serca nie tak łatwo już zgasić jak czulą iskierkę uczucia naszych polnych makówek... Lecz zostawmy w pokoju te niewiasty czternastoletnie jakie tu nie rzadko spotkać można, te dojrzałe twarze szesnastoletnich wyrostków do rozpacz przywodzących nas synów północy—jeszcze kilka słów i pożegnamy Romę.

Rzym, ta obiecana ziemia artystów i entuzjastów, ta *Gerusalemme del nuovo patto*, ta *stolica di popol romano prediletto di dio*, jak ją nazywają dzienniki tutejsze, nie więcej ciekawego nie daje. Myślałby kto, iż to żarty, a jednak tak jest rzeczywiście. Jest-to miasto, może jedyne w Europie co tak fatalnie zizolowało się w ogólnym postępie przemysłu i wynalazków. Przemysłu-bo chyba w przeszłości szukać tu należy a wynalazków w gruzach. Nie podobna Rzymowi jednego tylko odmówić—jest on najznakomitszym zgliszczem minionych wieków. Pałac Cezarów, Collisseum i łaźnie Caracalli nawet nie znawców muszą zadziwić swoim ogromem, a Muzeum Watykańskie niezliczonym zbiorem wykopalisk i pamiątek artystycznych przechodzi wszystkie inne znajdujące się w Europie. To cała jego chwała—dziś. Jak rząd włoski usunie takie *Santescale* po których chodzą (*mirabile visu!*) na kolanach i te tłumy Madonn narożnych jak to zrobił w Neapolu; jak rozszerzy ulice i wymyje je wodą której Rzym obficie posiada nie umiając użyć stosownie; jak osuszy bagna okoliczne i przetrzebi ten las klerykalny, podźwignie proletarjat, zwinie bezczelnie ogolającą z pieniędzy tombolę, tę namiętność Rzymian, i wypłeni (co najtrudniej) wrodzone wałkoństwo (gruby ale dobrze malujący wyraz) potomków światowładnych Romulidów—Rzym przejdzie w nową erę, nowa mu gwiazda zaświeci, i kto wie, zważając geografi-

czne położenie całego półwyspu, czy znowu kiedy choć w *innych warunkach* nie opanuje piedestału na który się wznosił przed wiekami, a z którego tylko czasowo, koniecznością wypadków i postępu całej ludzkości, teokratyzm go stracił.

Neapol, Czerwiec t. r.

Dziwna rzecz! ujrzałem Neapol a jednak wcale mi się nie chciało umierać. Widać włoskie przysłowie sprawdza się tylko na Włochach, bo miałem nawet sposobność obserwować jednego Niemca, co przełknięm oszustwem i niechlujstwem mieszkańców południa, chciał się już wyrzec chęci oglądania romantycznego grodu i umrzeć sobie nawet nigdy go nie widziawszy.

Jedźcie-bo trzecią klasą (wstyd nie wyznać); szukajcie godzinę jak najtańszego hotelu; dostańcie potem na piątym piętrze gorącą jak czyściec, ciemną jak zmrok wieczysty a drogą jak apartament izdebkę; płacicie co krok po franku za najmniejszą usługę rozleniwionym Italjancom; zwiedzajcie piechotą najodleglejsze punkta miasta a zgłodniałi i zmordowani liczcie się jeszcze żeby budżet wasz nie stracił równowagi, a to pod grozą osięścia na cuchnącym bruku którego z miast włoskich; to słowo wam daję i podziwiać bezdaszny Neapol i unosić się nad widokiem z lekka dymiącego Wezuwjusza i poić się romansowemi sytuacjami na Chiai i marzyć na kołyszącej się barce po szafirowych toniach golfu, od razu wam się odechce. Dobrze-to pisać w powieściach lub w sentymentalnych podróżach o cudach kąpiącej się w morzu Partenopy, kiedy-to albo gorącą, nie ruszając się z miejscsa, ma się wyobraźnią, albo pełną kieszeń co się nie obawia wyschnąć tak prędko, — ja zdjąłem, a może musiałem zdjąć te różowe szkła z oczu i wszystko notować sobie tak tylko jak mi pod nie gołe podpadło, bez najmniejszej przyprawy, zupełnie zmieniającego postać rzeczy, obfitego *nervus rerum*.

Pominąwszy poetyczno-uczuciową stronę stolicy Włoch południowych, mało ona daje do widzenia trzeźwym podróżnikom. Samo miasto dość nudne, i jak wszystkie inne na Apenińskim półwyspie, dość brudne. Z budowli niczem się szczególnem nie zaleca a wyjąwszy Muzeum nic więcej ciekawego nie posiada. Ogromna ilość odkopalisk Pompejańskich i innych ma wielką wartość dla archeologów; dla zwykłej publiczności chyba, w zwykłej pożądlivosti zakazanego owocu, jeden tylko gabinet do którego przeniesiono niektóre przedmioty obrazające oko Pjusowe, gdy ten zwiędzał tę znakomitą kolekcję sztuki starożytniej.

Lecz jeżeli Neapol sam jako miasto nie wiele daje zajęcia, to lud go zamieszkujący każdemu choć cokolwiek myślącemu umysłowi dostarcza ogromnego materiału do debatacji. *Paese di dei abitato da diavoli* sprawdza się tu lepiej niż *veder Napoli e poi muori* (chyba z żalu za tą piękną ziemią pod tak nieuczciwymi panami zostająca). Przyznać należy, iż-to już ogólna cecha wszystkich południowych narodów farnientyzowanie o ile to da się (co wzbudza świątobliwe oburzenie w północnych, skurczających od zimna, więc już dla samej rozgrzewki biorących się do pracy — z wyjątkiem moralistów), zrodzona ztąd niedbałość pod każdym względem i, czém się wiele daje wytłomaczyć, gorące, niezające hamulca umiarkowanej choć czasem zbyt tetrycznej Europy, namiętności. Na rozbójnictwo w tułtejszych górach grassujące, na oszustwo co prawie przeszło w charakter Włochów, przyznaję, z czasem znajdzie się może lékarstwo; ale chcieć tych opalonych, wolnych i niepotrzebujących troszczyć się o nie synów południa zaprządz do pracy na sposób naszych północnych wołów, chcieć nakazać o spienionych, jak potoki gór tułtejszych, uczuciach ich sercu ażeby biło tak miarowo i mdlejąco jak te nasze kawały mięsa ciepłą zaledwie krwią nasiąknięte (choć może uczciwsze za to)— to po-noć ani mądry rząd włoski, ani zarozumiała cywilizacja

zachodu, ani nawet wieki całe nie dopną. Włoch może być tylko Buonapartem albo Macchiavelim; handel to jedyne zajęcie co go nie zbyt nudzi a przemysł u niego chyba tylko w uprawie wina. Zrozummy wreszcie, że Italja to nie Holandja. Tak jak świetny koloryt szkół włoskich odbił się zaledwie w bladym pendzlu mistrzów północnego kraju, tak i nawzajem ogromna praca i przemysł tego ostatniego tylko w lekkich zajęciach mogących ścierpieć klimat tutejszy mogą być naśladowane przez południe. Ekonomisci zdaje się zawsze będą na to jedno chromać, że nie chcą widzieć téj różnicy dwóch sfer Europy i że ich franko-anglo-germańskie systemata w żaden sposób nie mogą się nadać dla greko-italo-hiszpańskiego społeczeństwa. W kontradycji temu mojemu zdaniu nie można stawiać Rzymu i Italji Cezarów, ponieważ tam przy bliższém rozpatrzeniu się, łatwo dostrzeżemy, iż cały przemysł i handel starożytny nie przez mieszkańców półwyspu ale przez postronnych, Greków w szczególności, był uprawianym i prowadzonym. Włochy a Rzym *per excellentiam*, były tylko olbrzymim konsumentem, na którego cały ówczesny świat się składał, i dziś, kiedy środek ciężkości tak politycznej jak i handlowej przeniósł się na zachód ku brzegom Atlantyku, Włochy osiadły na mieliźnie a ich obecne istnienie wygląda na pyszne mauzoleum, które potem raz jeszcze średnie wieki, jak wieńcem grobowym, sztuką przyozdobiły. Półwysep Appeniński skończył swoje zadanie i nedorzecznoscą jest, powiedzmy szczerze, zmuszać jego mieszkańców do tego, czego oni zrobić nie zdolni.

Zguba „podłego kruszczu“ przy szczupłych już i tak moich funduszach, nie dozwoliła mi zwiędzić pobliskiej Pompei; odłożywszy więc na kiedy indziej podziwianie zamarynowanego w popiele grodu zawróciłem nazad ku północy.

Trjest, Lipiec t. r.

Portowe miasto, — to dosyć i wszystko co o niém przy najlepszych chęciach w takim jak ja charakterze podróżujący może powiedzieć. Chyba coś tak — rozumiecie? kilka frazesów błyszczących, bez treści, w ten sposób, naprzykład:

Uroczy widok z portu na morze przedstawia się naszym oczom. Błękit nieba dwakroć ciemniejszy odbija się w falach Adrjatyku, a tam w dali ~~nie~~ mgłę wieczoru daje się widzieć Miramar... Tęsknie on spogląda w lazurowe tonie i duma o zmiennych losach, ku nauce przyszłych wieków, swojego założyciela... *Fax vobis obydwóm!*

Wiedeń, Lipiec t. r.

A jednak, po Paryżu, Wiedeń to najpiękniejsze miasto w Europie. Najpiękniejsze, powiadam, ale chcielibyście zrozumieć w jakim to ma być znaczeniu. Według mnie to nie romantyczne i nie malownicze, coby artystów pendzla i czułych wierszo-robów do się ściągało, położenie, ale samo miasto, jego budowle, ulice, place i sklepy stanowią piękność tegoż. Wiedeń w tym względzie z Paryżem może się współubiegać — nawet i w innym. Złe strony nowego Babilonu odbijają się tu jak w zwierciadle; brudy stolicy Francji osłonięte tak pachnącemi i błyszczącemi pozorami są téjże saméj ciężkości co grodu Habsburgów. Jest-to *malum necessarium* wielkich a pięknych miast. Nie widziałem nigdzie tak wielkiej a jawnej prostytucji jak tu. Wieczorną porą, ba! w dzień białą nawet, ulice całego miasta a Stadt'u szczególnie roją się motylami nocy. Wiedeńczycy chodzą tu jak w haremie... Ilość illegitymów nowonarodzonych przewyższa prawną, jak statystyka opiewa. Piękna przyszłość *iuris matrimonii!*

Skończyłem moją Odysseję. A teraz kilka łaskawych rad chcę wam tu udzielić i przyzwicie, jak przy-

stoi, starym zwyczajem, nową zasadą, zakonkludować sensem moralnym.

W dzisiejszych czasach, dzięki lokomotywom, można tanim kosztem zwiędzać obce kraje. Jeżeli ktoś czuje się na siłach wytrzymać kilkomiesięczny post, to z małą dokładką o tych samych funduszach jakie w kraju posiada może jeździć i siedzieć za granicą. To więc dla podróżomanistów.

Jeżeli gwałtem chcesz wiedzieć i widzieć co to tam jest po za twoją miedzą, zamiast jechać, trząść się trzecią klasą, kłócić z hotelowym o ździerstwo i suszyć jak fanatyk pierwszych wieków chrześcijaństwa, kup' sobie jakie podróże, choćby Tripplina, i album widoków. Będzie-to jeszcze mniej kosztowało a więcej pożytku ci przyniesie niżbyś sam widział, jeżeli tylko nie jesteś jakim specjalistą.

Dla Don-Juanów: Kobiety wszędzie jednakowe. Stwierdza się podanie, że one są robione na jedno, z braku czasu (cóż chcecie? było tylko sześć dni) kopyto.

Dla blazów: Jedźcie do gór księżycowych albo ziemi Grahama—Europa nie wam nie poradzi.

Dla wszystkich: Święte przysłowie: „wszędzie dobrze a w domu...”

Rawa, 16. VII. 1868.

V.

FIGLE MIŁOŚCI.

Z KRONIK KULAWEGO PRAWA O MAŁŻEŃSTWIE.

— miłość! urojenie!

Boski wymysł serc wielkich, ich głód i cierpienie;
Rączką kobiet w zdradliwe przemieniony sieci,
Rozumny je potarga, szalony w nie wleci.

Baliński.

Improbe amor! quid non mortalia pectora cogis?...

Maro.

I.

— Nie, mój przyjacielu; jeżeli utrzymujesz, że jeden tylko jest rodzaj miłości, zostajesz w błędzie i żaluję cię, żeś na zawsze pozbawiony tych uczuć serca człowieka, jakie on jedynie ze wszystkich stworzeń tej ziemi posiada. Miłość małżonków jest inną od miłości pierwszych kochanków, a ta o całe niebo się różni od cielesnych popędów naszej zwierzęcej natury, które, niestety! tak szeroko, kto wie, czy i nie jedynie zapa-

nowały dziś w naszym społeczeństwie. Serce człowieka to jedna wielka stronica przyrody; jest ona podzieloną (wybacz za zbyt może płaskie porównanie) na trzy olbrzymie szpalty uczuć, z których pierwsza jest tylko bezwiednym prawem natury, zarówno wszystkim istotom naszego świata rozdzielonym; druga uczuciem nieskręślonem i nieporównanem, nam ludziom tylko właściwem, a trzecia spokojną i na zawsze trwałą sympatją dwojga istot, zasadzoną i wzrosniętą na niepojętym do dziś przez nasz rozum instynkcie zachowawczym. Każdy z nas, że tak powiem, odczytuje wszystkie te trzy działy swoich uczuć, ale nie wszyscy zarówno dobrze je rozumiemy i godnie odpowiadamy przepisom w nich zawartym. Są tacy, którzy już na pierwszym przestają, kwitują nieszczęśliwi z reszty i w całym swoim żywocie nic nad ślepą niecną rozkosz ciała nie znajdują miłszego: ci są wyrzutkami ludzkości. Są inni, co wznosząc się do pewnego uszlachetnienia swojej miłości, sądzą, że dostatecznie odpowiadają przyrodzonym obowiązkom naszego rodu, kochają, mają nawet pojęcie o wielkości i godności serca ludzkiego, ale nie są oni zdolni do zupełnego zadośćuczynienia swojemu przeznaczeniu. Są wreszcie, a takich bardzo mało, którzy mężnie powściągając wodze swoich namiętności, umieli bez szwanku przebyć dwa pierwsze popędy serca, zrozumieli cel i zadanie jego uczuć i trzézwi a nieskalani stanęli tam, gdzieśmy wszyscy dążyć powinni, gdzie tylko zająca, godna miłość i chęć zachowawcza swojego rodu panuje. Ci są ludźmi; ci Noe'imi i Pygmaljonami nowych a coraz szlachetniejszych społeczeństw; ci sternikami wzburzonych namiętności, którym bez oporu tłum zwykły się poddawać i im to należy się wdzięczność, że świat ostał się do dzisiaj i, że błąka się przynajmniej między nami idea szlachetnej miłości, która jest początkiem a matką stworzenia. Słuchaj Racjuszu! Kiedy po raz pierwszy myśl moja zrzuciła z siebie powijak jakim ją skrępowało pierwotne wychowanie; kiedym raz pier-

wszy próbował lotu moich marzeń bez jedwabnego sznurka rad i przestróg krótkowidzących choć poczciwych zresztą przewodników mojego życia; harmonja wszystkiego co mnie otaczało i wzajemna ku sobie sympatja stworzeń najbardziej oddziałała na mój umysł, najgłębiej w nim zakorzeniła ideę konieczności swojego bytu i już odtąd na zawsze złała się z mémi przekonaniem i jakiemi duch mój później został napojony. Tak jest: harmonja i sympatja; wszędzie je tylko widzę, wszędzie staram się szukać i wszędzie, wierz mi, znajduję...

Kordjan zamilkł na chwilę, zamyslił się i w końcu dodał:

— A jeżeli nie znalazł tego co szukam tak dawno, jeżeli, gdy mi z łatwością przychodziło odkrywać w około siebie te dwa czynniki wszechświata, w sobie i dla siebie odszukać ich nie mogę...

— To cały twój piękny systemat—podsunął Raccjusz—runie jak ów tasak Damoklesowy na pajęczej nitce rojeń zawieszony na biedną rozmarzoną twoją mózgownicę i, jeżeli nie ubije cię na śmierć, co lepsza, to z pokiereszowaniem ciemieniem, co gorsza, przyprawi cię o bezpłatny lokal u Jana Bożego.

— Jeżeli, powiadam—ciągnął dalej pierwszy nie zważając na konkluzję swojego przyjaciela—nie znalazłem jeszcze to nigdy nie powiem, że dla mnie tylko tego nie było co wszędzie jest i dla wszystkich, ale, żem tylko szukać nie umiał.

— Brawo! Święty Piotr trzykroć się zaparł, a jednak został pierwszym z apostołów; jaka to szkoda, żeś nie żył za jego czasów; pierwszeństwo musiałoby koniecznie tobie przypaść. A teraz słuchaj mnie. Miłość jest-to udatny pomysł bogów. Jeżeli to i owo wymyśliłi ni w pięć ni w dziewięć, to, na Bachusa! niech mię djablił miłość ładne cacko. Oto masz jęj definicję. Miłość jest jedna i jedyna i taż sama, tu, tam, wszędzie, zawsze, przed wiekami i na wieki. Dzieli się na trzy

kategorje (pozwól, że użyję twego podziału): rojenia młodocianne; szaleństwa z celem i bez celu; i rozsądne, beznamętne wykonywanie głupiego jak mój kamasz, rozkosznego jak siedm nieb koranowych z dodatkiem Olimpu i z przyléwką duchowych rozkoszy platonistów, prawa natury. Ów on, co poprzestaje na roidłach studenckich uczuć (co mówiąc nawiasem, niemożebne jeżeli nie udane), trzy-kroć nieszczęśliwy: umrze nie żyjąc. Ów ten, co w szale nieobrachowanym nadużywa miłości, dwa kroć głupi i nieekonomiczny: mógłby i żyć i rozkoszować dłużej. Ów, z przeproszeniem ja, co rachuję ilość moich ofiar złożonych na oltarzu Afrodyty, co z zegarkiem w ręku liczę minuty uczty tego życia, co umiejętnie rozkładając uczucia moje, całe życie za to przyoblekam w jeden pachnący, wonny welon rozkoszy; ów ja, powiadam ci, wybacz szczerości, najlepiej pojmuję zadanie i cel życia człowieka i wysokie jego stanowisko w łańcuchu stworzeń tego mizernego globusiku. He? burzysz się? to dobrze, i ja nie kłamię przed tobą i tobie posłuży to za pewien rodzaj *purgatum* zbyt stwardniałym zasadom życia w które ślepo, na rachunek blagierów-Katonów o których nam dzieje czy bajki doniosły uwierzyłeś. Wiem, że szydzisz ze mnie, łaskawie zaliczasz do pierwszej a co najwięcej do pierwszej połowy drugiej szpalty swojej illustrowanej miłością stronicy przyrody, ale i to wiem, wierz mi, że jeżeli nie pełną prawdę osiągnął (boć zresztą warjaci tylko chcą tego czego niéma), to i ty, na Jowisza! niech mię piorun! takżeś jeszcze nie stanął na jej szczycie.

— Przystań; powiedz mi raczej, cobyś robił z kobietą coby cię zdradziła?

— A to pytanie! Naprzód, wtedy tylko zdrada mogłaby nastąpić, gdybym której kobiecie kiedykolwiek zawierzył, co niemożebne. A ty?

— Nie rozumiem zdrady i nie przypuszczam. Jeżeli uwierzę kiedy kobiecie, będzie to taka co mię nigdy nie zdradzi.

— Wiész co? dobraliśmy się. W naszym miłośnym słowniku zdrada wykréslona; to znakomite! innemi słowy, kobiety w naszym pojęciu nigdy nie zdradzają.

— Ależ nasze właśnie pojęcia różnią się o całe piekło! — zawołał Kordjan.

— Pal ich trzy, skoro skutki jednakowe. Do jednych rezultatów przychodząc moglibyśmy się pomięniać z naszymi przekonaniem, a raczej, ze względów praktycznych, mógłbyś ty przejść do mojego obozu.

— Słuchaj—mówił Kordjan ujmując rękę swojego przyjaciela i przygryzając wargi z niecierpliwością—słuchaj! Są jeszcze kwestje serca naszego których rozwiązać nie mogę i są chwile w których z łatwością, nawet przez ciebie gdybyś miał więcej siły ducha zostałbym zwyciężonym; ale chociażbym upadł wraz z moim przekonaniem i widziałbym zwycięzki sztandar ślepój, zwierzęcej, okrytej tylko błyszczącemi lachmanami ideałów miłości powiewający nad ludzkim społeczeństwem, zawsze tam, tam w głębi serca pozostałoby się coś, coby mi o możności istnienia lepszych, szlachetniejszych uczuć mówiło...

II.

Kordjan się ożenił. Znalazł co szukał: Aniela, śliczne, niewinne dziewczątko o modrych oczach i różowych usteczkach, o ciepłym serduszku i szczerzej miłości urzeczywistniała jego marzenie, i miała wraz z nim „dokonać ostatecznego, najwyższego celu i przeznaczenia człowieka.“

— Wygrałem—mówił do Racjusza—kwinterno w tej loterii życia naszego, a moje przekonania o harmonji i sympatji rządzących wszechświatem nowe a głębsze

zapaściło korzenie w moim sercu i umyśle. Odemnie już teraz zależy stanąć tam gdzie się człowiekiem, rozumiesz? zostaje. Jestem szczęśliwy i żadnej chmury nie widzę na horyzoncie mojego żywota: chyba śmierć jedna—konieczność.

— I zdrada—podszeptał Racjusz.

— Nigdy! —zawołał Kordjan a po chwili drżącym dodał głosem—gdyby... gdyby jednak... to zawsze tylko śmierć.. ję i moja, *konieczność*.

— Hm!—uśmiechnął się szyderczo Racjusz—byłaby to zawsze harmonja—piekielna, i sympatja—djabelska...

Oczy Kordjana zaiskrzyły się, ale jego przyjaciel podając mu cygaro dodał:

— Przypuszczenie, mój drogi. Czemuż zresztą mamy tak źle wszystko widzieć? Wprawdzie, przygotować się nie zawadzi... Przypadki chodzą po ludziach...

Stare przypadki. Powiedźcie mi, w którym-to romansie, choćby najlichszy autor, zapomniał przymieszać krzyknę zdrady? Miłość bez zdrady to błękitne, bez chmurki, bardzo ładne ale cokolwiek nudne niebo. Choćby maluchny obłoczek, dla różnaitości.

Przyjaciel Kordjana był-to ładny chłopak. Aniela była-to śliczna, młoda mężatka. Racjusz nie należał do zbyt wielkich skrupulatów. Żona Kordjana nie była znów tak ślepą iżby przymioty jej męża nie dozwalały już jej widzieć tychże u innych mężczyzn. A przyjaźń tych dwóch przyjaciół? a zrodzona ztąd poufałość Racjusza z domem Kordjanów? To zawsze coś znaczy; sposobność nie do odrzucenia, jak dla Racjusza; cokolwiek rozrywki, jak dla Anieli... Nic tak znów złego! Jeden uśmiech więcej, jeden silniejszy uścisk dłoni po stariej znajomości, jedno grzeczniejsze niż zwykle „dobra-noc“, choćby jedno niewinne „rendez-vous“. Grzechże-li to?....

Stary przypadek. Był-to ciepły, lipcowy wieczór-Cisza i spokój w naturze skłaniają do marzeń; marzenia budzą uczucia; zbudzone uczucia krew' rozgrzewa-

ją, a krew' rozgrzana — któż jój nie zna?... Kordjan wyszedł na miasto za interesem, Aniela tylko sama z maleńkiem pieścidełkiem w domu została. Pieścidełko usnęło sobie w kołysce, a właścicielka jego przekonawszy się kilkakrotnie, że już nie potrzebuje jój „spij aniołku już, oczki czarne zmróz...“ siadła w oknie, podpierała główkę białą rączką, puściła oczy w daleki krajobraz i zamarzyła się... o tém i o owém, jak-to bywa, o dawnych panięskich czasach, o piérwszój znajomości z Kordjanem, o piérwszym pocałunku, o nowém swoim życiu, zajęciach, znajomościach, a co za tém idzie, o bliższém poznaniu Racjusza, wesołego chłopca, przyjemnego w towarzystwie...

Drzwi się otworzyły. Była to zwykła wizyta przyjaciela Kordjana.

— Mąż pani?

— Wyszedł, niedługo powróci. Możesz pan zostać; właśnie myślałam o panu—mówiła z naiwną szczerością żona Kordjana.

— I zapewnie w dobry sposób?

— Nie inaczej.

Zwykła wstępna gadanina. Nawet wielkie mowy, nawet eposy częstokroć zaczynają się od zużytych frazesów.

Zmiérzch co raz większy zapadał; zajmująca rozmowa spowodowała zapomnienie o zapaleniu dwóch świec stearynowych zwykle dla gości w rezerwie zostających. Tém lepiej: ręka Anieli mogła swobodnie zostawać w dłoni Racjusza, ba! nawet rumieniec jój przemknął niewidziany po licach, kiedy się raz przypadkiem usta Racjusza spotkały z łabędzią szyją żony Kordjana.

— Dziwne téż panie jesteście!—szeptał Racjusz—rzadko która z was dobrze pojmuje swoje prawa i umie zużytkować to co jój dano i pozwolono. Panie winiecie zapatrywać się na nas i najzupełniej macie téż same przywileje co my. Mężczyźni lubią swobodę, dla

czegoż więc i kobiety jój zakosztować nie mają? Czyż to się życiem nazywa własnowolnie przykuwać się do jednego? Choćby dla poznania innych...

Aniela drżąc słuchała karmelkowych wyrazów przyjaciela swojego męża; w głębi ducha znajdowała ich potwierdzenie, ale zasady i płynący dotychczas potok jój życia powstrzymywał ją, coraz słabiej, od przechylenia się ku żądaniom Racjusza. Zostać wierną Kordjanowi, było jednak niezłomnym jój postanowieniem; uścisk, całusów kilka innemu udzielonych, toć przecie jeszcze nie zbrodnia...

Ręka Racjusza objęła kibić Anieli; falująca jój piérs przylgnęła do Racjuszowej, a wargi przyjaciela Kordjana znalazły różowe usteczka jego żony. Odgłos pocałunku i... trzask rozwartych drzwi razem dały się słyszeć.

* * *

— Wstań—mówił Kordjan do klęczącej przed sobą żony—wstań, i posłuchaj mnie... raz ostatni.

Stał w oknie, rozpiął chustkę cisnącą mu szyję, odetchnął głęboko kilka razy, popatrzył błędnie w dal i cichym głosem, jakby do siebie, zaczął mówić:

— Sny moje... złote, dziewicze sny moje! rozwiane marzenia szczęścia! ideale życia! dziś was mam na zawsze pożegnać? Czyżem żądał tak wiele, lub coby z tobą prawdo, zwodnicze widziadło! w zgodzie nie było?... Anielo! raz piérwszy ujrzawszy ciebie, ukochałem miłością nieba... Ty miałaś uwieńczyć mój cel życia, ty pogodzić ze światem, być mi latarnią po ciemnych jego drogach i niezagasta gwiazdką coby mi zawsze mówiła, że moje przekonania o dobrem, o prawem nie są chorobliwymi rojeniami mojej duszy... Stało się! Piekielne sztyderstwo rządzi tą ziemią. Wy! wy co w bydłęczych na-

miętnościach pędzicie życie, wy plugawe robaki téj ludzkości, wy, o tak! wy tylko prawdę poznaliście... Nie wierzyłem. At! co tam—dodał ze spokojem rozpaczy—człowiek uczy się całe życie... Słuchaj Anielo... rozstaniem się! zaraz dziś... na zawsze. Anielo! ty, ty moje niebo—wołał składając ręce i wpatrując się z miłością w odrętwiałą, klęczącą jeszcze żonę—szczęście moje! o! kocham cię, ty nie wiesz, nie rozumiesz... kocham cię! ty zostaniesz na zawsze gwiazdą mojego życia, ty... ty skalana!

Wstręt i gorycz rozlały się na twarzy Kordjana, odsunął się wtył, powiódł błędnym okiem do koła a spostrzegłszy swoje dziecię w kołysce, klęknął przed niem, przytulił twarz do jego ciała i łkając wyszeptał:

— Nawet ty, niewiniątko moje, nie powstrzymałaś swojej matki od hanby!...

Stary dramacik zaraz będzie koniec.

Kordjan powstał, zadzwonił, wydał rozkaz zapakowania wszystkich swoich rzeczy, z przykładowym spokojem zapalił świecę, stanął przed zwierciadłem, zawiązał chustkę na nowo, poprawił ubrania, okrył się płaszczem i wzięwszy dziecię z kołyski, wyszedł z pokoju.

Aniela teraz dopiero się ocknęła ze swojego odrętwienia. Miłość macierzyńska przywołała ją do przytomności. Wybiegła za mężem i chwytając go za suknie głosem rozpaczy zawołała:

— Dziecko mi zostaw! Zabij mnie, ale ci dziecka wzięść nie pozwolę...

Kordjan należał do flegmatyków, ale jak wszyscy choćby najpowolniejsi ludzie mają swoje chwile wściekłości, tak i na niego przyszła teraz kryzys boleści. Gwałtownym uderzeniem pięści odepchnął żonę od siebie. Aniela padła na ziemię a on znowu spokojnie, z pieczołowitością nianki otulając dziecię w fałdy swego płaszcza, siadł do przygotowanego powozu i wkrótce znikł w zmroku zapadającej nocy.

III.

— Co się ze mną robiło? a co się miało robić? Wiesz, że żyję, musiałem więc jeść, pić, spać i. t. d. rozumiesz? To trudno. Jeden prędkiej drugi później do rozumu przychodzi. Tyś mędrszy, kanaljo, no! ale i ja przecie jużem nie głupi. Maryś! wydostań-no jeszcze jedną butelką. Filut, stary przyjaciel zawitał, trzeba podać dawną znajomość.

Po tych słowach Kordjan spójrział na Racjusza i wskazując oczami na swoją o tęgięj tuszy gospodynię, mrugnął znacząco, uśmiechnął się jak stary satyr, sztukał swoją o szklanekę gościa i jednym tchem wychylił ją do dna.

— A ty? pewno nie próżnujesz, ba! młodszysz ode mnie, u mnie już siwe włosy a ty jeszcze z czarną czupryną. Niech cię djabli! miałeś słuszną; jednego tylko żałuję, żem się... jak to mówiłeś? żem się do twojego obozu nie przeniósł.

— Cóż się robi z twoją córką? zapytał Racjusz smutnie spoglądając na swojego przyjaciela.

— Co się ma robić? Wydałem ją za męż..

Kordjan popatrzył na gościa, uśmiechnął się i dodał:

— Nauka w las nie poszła; zgodziłem się w części na twoje zasady: wychowałem córkę postępowo, nauczyłem ją liczyć, wykorzeniać zbyt wielkie uczucia, umiejętnie rozwałkować rozkosze życia i zostawiłem jęj zupełną swobodę... Żyła rok z jednym, dwa lata z drugim, a teraz, jak słyszałem, z trzeciego bardzo zadowolona, wcale się nie gniewając na dwóch pierwszych. To dobrze; niech dziewczyna świat pozna, po kiego djabła okuwać ją w kajdany małżeństwa. He? prawda? gdybym i ja się był nie żenił, wszystkiego tego by nie było i Aniela, czy tam inna, dziś mogłaby tobie służyć.

Ej! łotr z ciebie, dobrze żeś trafił na mnie, choć w pierwszej chwili serdecznie chciałem ci pogruchotać kości.

— Aniela jest niewinną.

— Tém lepiej, może sobie spać spokojnie, jeżeli ty jój nie przeszkadzasz, gagatku!

— Przestań tych żartów. Ta nieszczęśliwa istota, którą porzuciłeś dla takich wytrykátów jak ta — odpowiedział Racjusz wykazując oczami na kręcącą się gospodynią—do dziś o tobie, niegodny, pamięć zachowuje. Na tożes pozabawił ją dziecka, iżby i matkę i córkę nieszczęśliwými uczynić?..

— No proszę! a odkądżeś-to taki moralista? dawniej tego nie było...

— Słuchaj przyszedłem tu do ciebie w tój myśli, ażeby na klęczkach błagać twójego przebaczenia i wrócić męża niewinnój, bo z mojej tylko winy nieszczęśliwój kobiecie...

— Ależ głupstwo! co ci mam przebaczać? nie bądź dzieckiem. Co do powrócenia męża, jak mówisz, to do niczego nie podobne. Bardzo jestem zadowolony z mojej nowój żony i wcale nie gniewając się na Anielę pozwalałam jój także poszukać sobie nowego męża... jeżeli jeszcze nie miała... po tobie. Filut chłopak! no, napijmy się jeszcze. Za zdrowie Anieli!

Racjusz odsunął podaną sobie szklanke, ujął rękę dawnego przyjaciela i rzekł:

— Posłuchaj mnie chwilę. Od owój fatalnej nocy jedyném mojem życzeniem było odszukać cię, przebłagać i wrócić tobie i Anieli dawne szczęście. Sądziłem, że rana, którą ci tak nierozmyslnie zadałem, jeżeli nie została dotąd zagojoną, to przeszła w ciężki tylko smutek, który zwolna da się załagodzić i, że potem będę mógł choć w części naprawić złe tobie wyrządzone. Przypuszczałem wszystko: rozpacz twoją, lub co gorsza odrętwienie z boleści, ale to co widzę, nigdy mi przez myśl nie przeszło. Tyś idjota!..

— Ho! ho! ho! nie wiedziałem, żeś taki dowcipny, mój przyjacielu. Nie masz czego się tak obawiać: lubię wino i dziewczyny, ale bądź przekonany, że rozum mi jeszcze pozostał.

Kordjan powstał z siedzenia. Odgarnął siwiejące już włosy z czoła, ściągnął brwi ku sobie i zlekka uderzając po ramieniu Racjeusza odezwał się pewnym, równym głosem:

— Słuchaj przyjacielu. Życie człowieka to krzew, młodość jego to liście wiosenne; miłość to kwiat, owocem— jego czyny. Jeżeli krzew ten bujnie się rozzieleni, jeżeli ogrodnik-matka osłoni go od wichrów i mrozu zimy, możesz się spodziewać pięknego bukietu uczucia. Jeżeli rozum pokieruje dalszemi laty, jeżeli nie rozprzysysz tych pachnących kwiatków młodości i nie rozrzucisz je po błyszczących wiérzchem, smrodliwych wewnątrz bagnach, zamienią się one w jeden wielki, wonejący rozkoszą, czarujący wdziękiem prostoty kwiat miłości. Jeżeli szczęśliwym trafem, kwiat ten dostanie się pod opiekę i osłonę szklarni-spokoju i nie zostanie nigdy zerwanym ręką chwilowych, dorywczych, niegodnych rozkoszy, wyda on owoc, co zrodzi krzew i kwiat jemu podobny. Jam wahał tego kwiatu, owocem już się spodziewałem—tyś dotknął go niezręcznie, kwiat opadł, owoc nie dojrzał i oto pozostała sucha łodyga—niewiary. Tyś tu zawinił, na tobiem winien się odemścić, gdyby nie to, żeś mi więcej dał jak wziął. Wiara i uczucie jest słodką rzeczą; mają one urok niewypowiedziany, ale sceptycyzm wyjąwszy chwilę swojego narodzenia się, stokroć powabniejszy, lepszy, miłszy, korzystniejszy i pewniejszy, bo daje spokój, jaki nie dać nie może. A cóż szczęście stanowi? Spokój ducha. Sceptycyzm niczego się nie spodziewa, więc niema tych drzeń i niepokojuów zwykłych, roznadziejowanych uczuć serca. Prawda, lepiejby było nigdy nie doznawać rozkoszy, nie patrzących w przyszłość, nie liczących chwil swoich, wierzących zawsze i wszystkim, uczuć, aby uniknąć po-

tém smutnych wspomnień, przebrzmiałego szczęścia; lepijby było odrazu obrywać liście młodości i zdmuchnąć te stokrotki uczuć, którými zasiewają nas od kolebki, lecz czyż to w naszej mocy? czyż ten, kto doczekał się owocu, chciałby tak własnowolnie niszczyć swoje szczęście? Czy sądzisz, że znajdzie się kto, szczęśliwy, żyjący sercem, coby zechciał jedno uczucie swoje, jedno z najmniejszych, najprostszych, oddać za zimny, równo szczęśliwy spokój całego życia sceptyka?... Okropna to była chwila, kiedym ujrzał opadły kwiat mojego szczęścia—rozpaczne jest narodzenie się zwątpienia—śmierć twoja wtedy ani w miljonowej części nie wynagrodziłaby mojej straty, lecz była-to tylko chwila, wszystko zamieniło się w przeszłość, zostało wspomnienie i nowo zdobyty—tobiem zań wdzięczny—spokój mojego ducha. Powiedz teraz, co chcesz? znowu mi odebrać to drugie szczęście? Ani twoja, ani całego piekła moc już tego dokonać nie potrafi...

Kordjan uśmiechnął się szyderczo, pokiwał głową i dodał:

— Jeszcze na ciebie kolój nie przyszła... Może nie przyjdzie nigdy. Są ludzie, którzy ani pełnego owocu szczęścia doczekać się nie mogą, ani zimną, obojętną, kamiennie szczęśliwą, suchą łodygą zostać nie potrafią. Racjusz! tyś nieszczęśliwszy odemnie. Ja-to winienem podać tobie rękę, lub ktoś z posiadaczów dojrziałego owocu uczuć, a tyś chciał mnie znowu wrócić raz na zwsze przemijającemu szczęściu miłości!.. A teraz jeszcze słowo o uczynach tego nowonabytego przezemnie szczęścia. Pytasz się o córkę? Wolalżebyś, iżby była ona tak nieszczęśliwą jak Aniela, gdybym ją wydał za męża i kazał czekać na swojego Racjusza?... Pytasz się o moje życie? Czystsze ono i szlachetniejsze od wielu innych, może i od twojego. Nie pożądam skrycie—to dosyć. Widząc cię wchodzącego przybrałem maskę, bom chciał uniknąć rozdrażnienia rany co się zablizniła. Teraz wiész o wszystkiém. Oto mój finał..

l wskazał ręką na drzwi.

— Opuść mnie na zawsze! Pamiętasz, powiedziałem ci to samo owęj nocy, sądzę, że po raz trzeci tego ci nie powtórzę.

Wiedeń, 3. VII. 1868.

VI.

PO CAPSTRZYKU.

JEDNA ZWROTKA Z EPOSU ULICZNEGO.

Nie trzeba społeczeństwa oczerniać, ani mu
schlébiać; potrzeba je tylko malować. Nie
trzeba się czepiać jego zewnętrznych objawów,
jego kostjumu, ale jego serca...

Któs tam.

— Przepraszam panią...

Młoda, sama jedna szybko idąca kobiéta spóźnioną
wieczorną porą, usunęła się cokolwiek na bok chodnika
i pytające wejrzenie posłała wymawiającemu do niéj te
wyrazy nieznanemu mężczyźnie.

— Jeżeli już idziemy w jedną stronę, może pani po-
zwoli sobie towarzyszyć?...

Młoda kobiéta milczy.

— Miałabym panią obrazić moją zaczepką?

Młoda kobiéta jeszcze milczy.

— Hm... nie sądzę przecie, iżbyś pani należyć miała do instytutu głuchoniemych...

Na ustach młodej kobiety daje się widzieć lekki uśmiech.

— A więc milczenie pani biorę tylko za dyplomatyczne przyzwolenie towarzyszenia sobie, odsuwam się na przyzwoitą odległość i odważam się wszcząć z nią rozmowę—z lepszym skutkiem, spodziewam się, niż dotąd.

— Bardzo dziękuję—odzywa się wreszcie młoda kobiéta—ale...

— Ach! pani zapewne obawiasz się, iżbyś czasem na impertynenta nie natrafiła?... Przykro mi bardzo, bo jak widzę, pani masz nienajlepsze wyobrażenie o mężczyznach. Wprawdzie muszę przyznać, że najzupełniej uzasadnione... Jest wielu, bardzo wielu, nawet w ogromnej większości, co nie dość, że śmia, jak ja naprzykład, zacząć kobiety same idące wieczorną porą, ale nadto w nieprzyzwoity sposób poczynać sobie z niemi. Ale jest lékarstwo na takich—policjant na rogu... Jednak, wierz mi pani, zdarzają się rzadkie wyjątki, nie śmiałbym przypuszczać, wyjątek... ze mnie. Mogę panią z góry zapewnić, że nad prostą, najprzyzwoitszą pod słońcem rozmowę, nic więcej od niej nie żądam.

Młoda kobiéta uspokojona cokolwiek tonem mowy nieznanego mężczyzny, odważa się po raz drugi nań spojrzeć. Cała postać, ubiór czarny, porządny, ale bez elegancji, a szczególnie szczérość i uczciwość malująca się na twarzy mówiącego ośmiela ją jeszcze więcej i zniewała do odpowiedzi.

— Myślę, że jeśliś pan tylko dla rozmowy mnie zaczął, to przecie z jaką inną... znajomą sobie lepiej osobą mógłbyś to samo uczynić...

— Bezwątpienia i zapewniłbym to uczynił, gdyby nie jedno, że nie znam żadnej innej osoby. Może pani nie

zechcesz temu wierzyć, a jednak tak jest. Towarzystwo kobiet mało mi znane, a mężczyzn zawsze... cokolwiek nudne. Nie mając sposobności zbliżenia się do pierwszego sam sobie postanowiłem je wyszukać. Może znajdę, możebym już dotychczas znalazł nawet, gdyby nie to, że panie w ogóle, albo zbyt łaskawe, albo zbyt lękliwe i odpychające od siebie. Wybacz pani, ale wyznam jój, że to kardynałna i powszechna wada kobiet, że nie umieją miary i środka przestrzegać...

— Posądziłeś pan mnie,—odzywa się z uśmiechem młoda kobieta,—że mam złe wyobrażenie o mężczyznach, a widzę, że i pan nie wiele lepsze masz o nas.

— A to już samych pań wina: jakiemi nam się przedstawiacie, za takie was uznajemy.

— No, ale pan musisz i względem nas wyjątek jakiś przypuścić?

— Z najmilszą chęcią, nawet zaraz, od pani to w tej chwili zależy, ale cóż z tego, kiedy i pani ukazałaś się z samego początku należącą do drugiej, tych lękliwych i odpychających kobiet kategorii i, że ogólniej wspomnionój wadzie przezemnie podlegasz.

— To prawda, ale...

— Chciałabyś pani naprawić moją opinią o swojej płci i okazać jój fałszywość przez dowód na samej sobie, podając mi, na przykład, swoją rękę, abym ją mógł ze względu na zły bruk i gorszych jeszcze brukowców, bezpiecznie dalej poprowadzić?...

— Ależ nie to—żywo odparła zafrasowana nieco młoda kobieta—wcale nie to, a pan, jak widzę umiesz podchwytować za słowo.

— To przymiot tych, co nie umieją podchwycić za...

— Za co?

— Niech będzie, za serce.

Nieznajomy zamilkł i popatrzył pilnie na swoją towarzyszkę. Było-to jeszcze młode dziewczę o prostych,

zwyczajnych rysach miłej twarzyczki i nie więcej—chyba coś w oczach, gdyby nie to, że każda młoda kobieta, choć cokolwiek przystojna, ma albo stara się zawsze coś w nich mieć, co w braku reszty przymiotów ciała i duszy zwykło chwycić młokosów.

— Pozwolisz pani zrobić sobie jedno zapytanie?— odezwał się po chwili nieznajomy.

— Jakie?

— Może ono będzie niewłaściwe, ale zostawiam to już do jej uznania, jeżeli ma dostać odpowiedź. Dla czego pani tak późno i sama jedna wychodzisz na miasto, wiedząc zapewne o tym, jak niezbyt bezpieczną może być każda młoda kobieta o tej porze ze względu na napastliwą i grubijańską galanterję naszej młodzieży—nie zawsze młodej nawet?

— Ja bardzo rzadko...

— I zapewne tylko za ważnym interesem?

— Tak jest.

— To i w takim razie, sądzę, że przecież mógłby się ktoś taki znaleźć, coby towarzysząc pani, mógłby przez to samo zapobiedz nieprzyjemnym zajściom.

— Tak, ale... nie mam nikogo, coby mógł...

— A długo też pani potrzebujesz poznawać osobę, zanim jej dozwolisz rozciągnąć nad sobą opiekę w wieczorniej przeprawie przez ulice?

— Ja... nie wiem...

— No, ale mniej więcej, rok czy dwa lata, lub też kilka dni tylko?

— To stosownie... hm! jak kto... nie wiem...

— A tak gdybym ja się ofiarował z obroną?

— Pan mi wcale nieznajomy...

— A jakże pani mogłabyś mię poznać, gdyby to nasze spotkanie na dzisiaj miało się zakończyć?

Młode dziewczę milczy.

— Nigdy już tedy nie miałbym sposobności z nią rozmawiać?

Młode dziewczę ciągle milczy.

— Widać pani jeszcze się mnie obawiasz skoro po raz drugi nie chcesz się ze mną spotkać?... Słusznie, mogę mieć wysuwane tygrysie pazurki, które na dziś tylko schowałem... A! pani się uśmiechasz? Snać trafiłem w to co ją niepokoi...

— Ależ ja rzadko z domu wychodzę, chyba... do kościoła... w niedzielę...

— I do którego? jeżeli mogę wiedzieć.

— Do św. Alexandra...

— A więc mógłbym panią...

— Zwykle jestem na ranniej mszy po prawej stronie... ale oto, nie daleko już mam do domu...

— I zapewne masz pani jaki skrupuł, ażebym ją do samych drzwi nie odprowadzał—bardzo słusznie—żegnaj panią...

I nieznajomy zatrzymując chwilę podaną mu rękę, dodał:

— Jeszcze jedno słówko... maleńkie.

— Co takiego?

— Pozwolisz pani wręczyć sobie mój bilet... w zamian prosiłbym o jej imię — nazwisko swoje możesz pani zachować do chwili lepszego poznajomienia się, gdy przeciwnie moje może jej być zaraz przydatnym...

— Karolina.

* * *

— Matylda... Natalja... Alexandra... a dziś miła Szarlotka!—mówił do siebie nasz nieznajomy zawróciwszy w drugą stronę.—Pierwszą sam odsadziłem, druga nie dotrzymała słowa, trzecia nie taka jakiej chciałbym, a ta?... Jakże te kobiety czasami dziecinnie ostrożne! przy-

puściwszy, iż mi uwierzyła com jęj mówił o uczciwości niektórych mężczyzn—dla czego? Wszakże mogłem inaczej mówić, a inaczej myśleć i zamierzać w duchu... Niech będzie spokojna! Uczciwa znajomość, co najwięcej, pocałunek przyjaźni złożony na jęj czolo... jeżeli warta. Czemu, do licha! nie może istnieć braterska miłość między dwóją pći, przedstawioną w dwóch młodych indywiduach? Znalazłoby się może kilku, coby chętnie na nięj poprzestali, ale dziewczynom małżeństwo tak ómi w oczach, iż w żaden sposób nie mogą patrzeć na drogę stosunków swoich z młodymi ludźmi, jeżeli ta na końcu nie zamyka się bramą na łańcuch ze złotych obrączek. Gdyby nie ta fatalna hallucynacja, ileżby-to młodych ludzi wołało przepędzić wieczór w ich towarzystwie, niż w knajpach w pośród zniszczonych huryszek bufetu... Albo i ta panna Karolina—no! dam szyję, jeżeli już jęj po głowie nie przemknęło małżeństwo skromnie namalowane na ostatnim planie...

— A o czémżeś-to tak się zadumał?—wrzasnął do ucha naszemu nieznanemu jeden z dwóch młodzieńców prowadzących się pod rękę—jak się masz i bądź zdrów! nie mamy czasu! wzięlibyśmy cię z sobą aleś tetryk, a takie jałówki, jak ta co przed nami idzie, nie lubią podobnych tobie!

Nieznanomy podniósł głowę, popatrzył za dwóma elegantami, których znał widać i pokiwał głową. Eleganci jeszcze raz się za nim obejrzel, przesłali mu powietrzem całus i równocześnie, każdy po innęj stronie, zrównali się z idącą samotnie przystojną blondyną.

— Niech mię djabli!—wołał jeden—co za oczy... służę pani! razem będzie weselęj...

Blondyna odsuwa się na bok i przyspiesza kroku.

— Ach! jakżeś pani okrutna—odzywa się drugi— a buzia taka ładna...

Blondyna schodzi z chodnika na środek ulicy.

— Zwykły manewr—szepcze pierwszy drugiemu—
droży się.. idźmy za nią!

— Niewiniątko!—dorzuca drugi pierwszemu—my-
śli, że przez to nas więcej zafrapuje.

Blondyna widząc schodzących podobnie z chodnika, zawraca nazad. Wytrwali w swoim przedsięwzięciu eleganci podążają za swym zbiegiem. Blondyna przyspiesza kroku coraz więcej: lakierki młodzieńców skrzypią tylko w pogoni i kto wie czyby biedna kobieta znowu nie została obdarzoną jakim kawiarnianym komplimentem, gdyby nie zetknięcie się dwóch naszych bohaterów brukowych z dwiema innymi kobietami, które ogniste rzucając spojrzanie zatrzymały ich w biegu i zawróciły za sobą.

— A zjedz diabła całego!—woła zadyszany jeden z elegantów—popadniesz ty jeszcze w gorsze łapy!...

— La, la, la! la, la!—śpiewa drugi zaglądając w oczy dwiém damom—ona mnie woła, to głos anioła, naj-
milszy mi!...

— Jak pan ładnie śpiewa—odzywa się jedna z dam z przymieszką wschodniego akcentu, gdy druga zachwycającym mizdrem otynkowanej buzi, stara się zwrócić uwagę na siebie.

— A ba! wiem o tém, moja luba, ale w kwartecie daleko lepiej wszyscy się wydamy.

— Brawo! masz rację! a ty aniele—dodaje drugi biorąc pod rękę jedną z dam—czy zgadzasz się na propozycję mego przyjaciela?

— Dobrze, ale po śpiewie zwykle w gardle zasécha...

— Będzie biba!... Jazda!—huknął elegant na drżmiącego dróźkarza.

— Jazda panie!...

Dwie pary wsadowiły się do powozu, woźnica emoknął na konie, cokolwiek turkotu i kurzu i wszystko znikło na zakręcie ulicy.

— Nasz nieznajomy idąc w pewnej odległości za dwó-
ma towarzyszami uciechy, wszystko snąc dobrze musiał
zauważać, bo przyszedłszy do miejsca z kąd znikła dróż-
ka przystanął, popatrzył w ziemię i jakoś zamyślił się
o czems. Przechodnie oglądali się nań ciekawie, a było
nawet dwóch takich, którzy zawyrokowali pomiędzy so-
bą, że albo pijany i boi się ruszyć z miejsca, albo fixat—
bo jakże można po nocy patrzeć się w jeden punkt na
ziemię i to na ulicy jeszcze?...

— To kwestja jednak mój chłopcze—mówił do sie-
bie ocknąwszy się z swego zagapienia—tyś sobie uroił
jakiś szczególniejszy porządek i „tak być powinno“ w gło-
winie i gwałtem don chcesz naciągać wypadki, a raczej
zwykły bieg rzeczy na tym świecie. *Non e bel quel che
e bello ma quel che piace!*... A jabym powiedział, że i nie
to dobre, co dobre lub co sobie wyroili marzyciele, ale
to co zgodne z potrzebami i z upodobaniem ogółu. Ka-
żdy zresztą człowiek ma swoją oddzielną a właściwą je-
mu, moralność, to jest, jego naturze, wychowaniu i okoli-
cznościom w jakich się znajduje, w sam raz odpowie-
dniej rozciągłości, a która zaledwie tylko kończynami
swojemi i najwyższem swoim napięciem zgadza się z mo-
ralnością innych i schodzi do wspólnego mianownika prze-
pisów kodexowych. Wzdrygasz się na rozpustę? Wej-
rzyj w głęb siebie, a przekonasz się, że więcej tego
wstrętu przyczyną niemożność twoja, niżeli cnota. Jeżeli
są ludzie, którzy by się nigdy za nic w świecie zbrodni
nie dopuścili, których nawet na samą wzmiankę o niej
dreszcz przechodzi, tak również bywają inni, co nigdyby
się nie zdobyli na to, iżby mogli złożyć wstyd swój na
stronę i z pełną swobodą, a spokojnem sumieniem pu-
ścić się na bachanalje. To zależy od większej lub mniej-
szej czułości naszego serca, albo téż mniejszej lub wię-
kszej drażliwości naszej kości paciérzowej. Nie byłżeby

ten szalonym, ktoby cię chciał wsadzić za to do więzienia, żeś się z krzywym nosem urodził? Możesz-li człowieka karać lub potępiać za to, że mu natura kochliwe serce dała, a wychowanie początkowe, które on bezwiednie musiał przyjmować, kochliwość tę na złą drogę poprowadziło, gdy tymczasem i dalsze okoliczności jego życia nie dozwoliły mu przejrzeć jaśniej, odnaléć w sobie granicy pomiędzy dozwoloném a bezwstydném i pohamować w sobie to, czego on dziś nie uznaje za konieczne do pohamowania?... Początkowe wychowanie, to rola, co stosownie do swojej uprawy, wydaje złe lub dobre płody, dodawszy to, co już chcąc nie chcąc, na złość moralistom, przynosimy w sobie z urodzenia. Prozelityzm cnoty na pełnoletnie krwi i pieniędzy swoich a upadłe indywidua wymierzony do niczego nie doprowadzi: są to jednostki stracone dla społeczeństwa, są to konieczne wióry, co muszą odpadać przy wyrabianiu się całego towarzystwa ludzkiego, a które, co najwięcej, możem rzucić na ogień—ich własnych namiętności. O nawracaniu niéma co tu myśleć, a owa maxyma, że jeden grzesznik pokutujący stanie za stu wiernych, dobra w bilji, ale nie w ekonomji naszego wieku. Dobrze funkcjonująca maszyna o sile stu koni, zawsze i wszędzie, czy to pod prosty chłopski rozum, czy pod matematyczną krédkę wzięta, będzie lepszą i pożyteczniejszą, niż nareparowany, zużyty w połowie tłók o sile jednego. Tu niéma o czém myśleć!...

Nasz nieznamy zapiął suknią na guzik, przyspieszył kroku i z podniesioną głową podązał do domu, gdy w tém, snąc spóźniona myśl jakaś przebiegając mu po głowie osadziła go nieruchomo na środku chodnika.

— A jednak... zawsze to strata... jest drugie prawo ekonomji: niéma odpadków!... Al głupstwo, co mi do tego. „Tam sięgaj, gdzie nikt nie sięga“ dobre w odzie, dobre i dla mnie było, gdym się z Platonem borykał, a Kant mi straszliwe sny sprowadzał, w których zdawało mi się, że się cały rozpląnął w transcendental-

nych krainach, a tymczasem ja tylko transcendowałem z łóżka na ziemią... Co za szczególniejsza manja, że wszyscy, co choć cokolwiek liźnęli tego i owego, zaraz muszą z kwestjami społecznymi przed się wyjeżdżać, bez względu na to, że cały ich faeton moralności zrobiony został na model *biedy* umysłowej... No, basta! tylko ty panno Karolino dotrzymaj słowa w niedzielę, bo... bo inaczej to gotowi mnie zachęcić ci dwaj poczciwi chłopcy, którychem dzisiaj spotkał.

14. VIII. 1868

VII.

ZDECHLAKI.

DWIE CHWILE Z ZAPUSTNEGO WIECZORKU.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj!.....

A. M.

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty.
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!...

B. Z.

I.

— To, panie, z szykiem kobiéta!—wołał Galwjas z lekka oblizując małe wąsiki, kończące się jednak na sporych angielskich bokobrodach, które zwykły na siebie zwracać uwagę spacerujących po Krakowskiem-Przedmieściu *dames aux Camelias*.

— Bierz się do niej—podszeptywał wymokły Werzys, przymróżając jedno oko i gładząc jasne, porządnie jak potrzeba, upomadowane włosy na głowie.

- Co chcesz? dobry interes; dwakroć jak ulał...
- A nuż się co zmieni i mąż...
- A co mi do tego? to już jój sprawa.
- Probuje, a zaprosz mię na wesele.

Werszys z głupowatym uśmiechem, mającym pretensją do szyderezno-intrygującego, spoglądał jeszcze chwilkę na swego towarzysza, mrugnął parę razy drugim nieprzymrużoném okiem, podkręcił wypłowiałego wąsika, z charakterystyczném wydęciem ust zapatrzył się chwilkę przed siebie, a w tój chwilec przebiegłszy myślą swoje stanowisko i znaczenie w stosunku do Galwjasu i do reszty osób w kolo niego się znajdujących, strzepnął elegancko wyłogę swojego żakietu i zlekka podsunął się do Inwidji, jak teraz samotnie siedzącej, matki młodej panienki, na której-to ostatniej spoczywał ciężar opinii publicznej, iż jest kandydatką do trzydziestu tysięcy złotych Werszysa, ulokowanych na fabryce jego pryncy-pała.

Galwjas widząc ten postępek swego przyjaciela nie mógł się powstrzymać od lekkiego parsknięcia śmiechem, pokiwania litośnie nad nim głową i zakonkludowania ubolewajacém: ojl ty, ty, głuptasiu!... Następnie Galwjas zmarszczył do przyzwoitego stopnia czoło, poprawił angielskiego, cokolwiek pijącego mu szyję kołnierzyka i z całą pewnością siebie zasiadł do konsumowania stojącej tylko kolacyjki, którą gospodyni domu, a szanowna mama Werszysa gościom karnawałowego wieczorku łaskawie zastawiła.

— Jaki on głupi—myślał zmiatając buttersznyty jeden po drugim—co mu z niej przyjdzie? ani grosza... młody, a później żałuj... ja nie taki... kanalja ma brzękadła, wartoby się zawinać. To, panie, rubeljony, a przy tēm młoda i tęga jeszcze...

— Głupia baba!—mówił do siebie Werszys po chwilowój o tēm i o owém rozmowie z Inwidją—myśli, że mi w głowie małżeństwo... a to bym się wybrał nie tędy kozy gnali... córka ładna dziewucha... mogę ją uszczę-

śliwie—biedactwo! A Galwjas ciekawym co wygra, chudeusz... nie dla psa kielbasa.

— Daj-no mi się zaciągnąć—chrząknął mu nad uchem Galwjas wydfubując szpilką zęby—zapomniałem wziąć z domu...

Werszys wy dostał czerwoną paczkę papierosów.

— Jakie-to?

— Laferma najlepsze.

Galwjas wziął jeden, powąchał, zapalił u świecy i głęboko się zaciągając zasiadł obok kolegi z ławek szkolnych.

Dobre chłopcy (sąd całego towarzystwa), umieją się znaleźć i mile zabawić gości (opinia amfitrjonki), czasem, jak to młodzi, przeskrobia cokolwiek (uwaga Inwidji z uśmiechem i ze znaczeniem wygłoszona), ale za to poczciwe serca (dodatek kandydatki do kapitału Werszysowego). Jeden z nich dowcipny chłopak (uwielbienie Werszysa dla swojego kolegi), drugi bardzo przyzwoity i co się rozumie umiejący żyć (uznanie Galwjasa dla swojego przyjaciela), obydwaj zawsze i wszędzie pożądanymi (chór matek z córkami bez posagu i z echem Inwidij zgodnie wtórującym).

Stary, z czasów sławy wiedeńskich fabryk klawikord, uroczeni tony lansjera grzmotnie wydobywającymi się z pod tłustej ręki byłego kapelmistrza, zawiadomił zgromadzenie, że po kolacji, dla strawności panny i panie są gotowe do niemęczącego przetańczenia francuzkich balansów.

Nasz Kastor i Polux stanęli w pary z przedmiotami swoich uczuć, ale dwaj inni młodzi ludzie zmuszeni są dla kompletu kontentować się Inwidją (lat 41 i pół) i amfitrjonką (lat 67 i miesięcy dwa).

Werszys lubi lansjera,

— Można dziewczynie dużo gadać i wykładać...

Cós tam z geografji starożytnój napomknął. Miałżeby wiedzieć, że istniał kiedyś kraj co wydał sławnego po wszystkie wieki Alexandra Wielkiego? Miałżeby w przeciągu odtańcowywanego lansjera aż tak uczoną rozmowę z damą swoją prowadzić?

Galwjas woli polkę albo walca.

— To, panie, tańczy się i ściska dziewczynę.

— Sakrestil—podmrukuje mu Werszys z nieporównaném skrzywieniem twarzy i przymrużeniem oka—ale, ale...

— Potém o tém—odpowiada mu Galwjas ze zrozumieniem o co chodzi.

Werszys zaczął rozmawiać ze swoją damą. Taniec dużo uwzględnia i rozmowa może być swobodniejsza i ruchy mniej skrepowane niż w zwykłym, nieroztańczonym stanie rzeczy. Naszój kandydatki ucho otrzymywało co raz to nowe jakieś wyrazy—wyrazy co wywoływały czasem rumieńce na lica—pewno ze zmęczenia a dłoń jój i kibić inne jakieś ścisnięcie, dwakroć mocniejsze od rękawiczki i sznurówki.

Tłuste palce ex-kapelmistrza spoczęły nieruchomie na popękanych klawiszach fortepjanu. Lansjer się skończył. Invidja spogląda na zégar i uznaje za stósowne objawić chęć zabrania się do domu ponieważ to już po dwunastój a tu kawał drogi.

— Czas jeszcze proszę pani—woła Galwjas—jeszcze jednego walczyka. Panie ten tego!... prosimy o walca.

Sławetny *Leit-artickel* zagrzmiał, zadudnił, posadzka zatrzeszczała i oto znów nasze dwie pary w różnych przegonach.

Kandydatka do kapitału Werszysowego nie lubi walca.

— Zaczekajmy na polkę—odpowiada inwitującemu ją po raz drugi koledze Galwjasu.

Kobięta z szykiem po raz trzeci zadawalnia lubownika niemieckiego sztejera.

— Bodajto z panią tańczyć—szeptał na ucho Galwjas swojej damie.

— Aj! nie przyciskaj... pan mnie... tak mocno—jąkała zmęczona dama:

— Jestem w niebie... a mąż pani?

— Przecież-to nie pańskie... wesele!...

— O! pani... gdybyś...

— Dość, dość... jestem zmęczona.

Galwjas sadza swoją damę i kontynuuje dalej już ekiwokami swoją rozmowę. Dama podobnież mu odpowiada, a tymczasem Werszys z kandydatką swoją rozkoszuje się z uproszoną jeszcze jedną u ex-kapelmistrza i Inwidji polką.

— Idziemy córuchno—odezwała się wreszcie stanowczo Inwidja.

Amfitrjonka dziwi się, że tak prędko i wcześniej do domu się wybięrają, pomaga kłaść salopy i z czułym uściskiem życzy dobrej nocy. Jeden z młodzieży odprawadza damy do domu, reszta...

II.

— Werszys! przecież jeszcze spać nie idziesz? — zawołał Galwjas skoro sami mężczyźni tylko zostali.

— A naturalnie—odpowiada uśmiechnięty kolega szkolny—przecieżem nie kura, iżbym chodził spać o zachodzie słońca.

— Oj! ty kogucie, widzieliście jak się brał do córki Inwidji?

— Pachnie mu ładny pyszczek—dodał inny.

— Widzisz go! a ty to nie—odcina się Werszyszt— a wdówka czy tam..

— Milczenie! co ci do tego? za młodyś, uczyć się trzeba.

— Daj mi parę lekcij nauczycielu.

— No, no, ty byś jeszcze mógł mnie poprowadzić, a zapomniałeś o... o...

— Dalibyśta pokój dzieciństwow i czasu nie marnowali na próżno—odezwał się bas ex-kapelmistrza— jeżeli mamy co robić, to siadajmy a nie to lepiej spać.

— Ma racją—potwierdza Galwjas—panie dyrektorze! jest recht. Werszys! podaj karty.

Malenki (punkt po kopiějce) preferansik zostaje zgodnie przez wszystkich przyjęty.

Niech się bawią—młodość ma swoje prawa, a my tymczasem przyjrzyjmy się lepiej naszym bohaterom.

Natura tak jak sztuka ma swoje twory oryginalne i ma swoje kopje. Jest ona wprawdzie niewyczerpaną w pomysłach, ale częściej (jeżeli nie jedynie) można w niej spotkać modyfikacje płynące w nieskończoność niż nowe, odrębne zupełnie wytwory. Przypuściwszy, że Darwin nie wszystkim się podoba, skleiła ona człowieka jako oryginalną kreacją, ale nie nawykłszy zaraz jak on po stworzeniu czegoś spoczywać na laurach, nieustaje w ciągłym przerabianiu, wykończaniu i kopjowaniu swojego dzieła. Zbudowawszy Adama co miał st. 123 i c. 9 wysokości, jak ją zdradził jakiś arcyuczony akademik francuzki, obniżyła go dziś do 6 stóp i mniej; pomalowawszy swoje dziecię słońcem na czarno pod równikiem, wymyła go potem do alabastrowej białości śniegiem biegunowym; dawszy mu zrazu krwio-żerco

popędy Manongoa przekształciła w końcu na wybrédnego Brillat-Savarina, a mistrzowsko wykuwszy jakby z jednego kawału kararyjskiego marmuru naszego Galwjas, przesłiecznie, nigdy dość podziwienia nie mogąco wzbudzać skopjowała go w Werszysie.

Galwjas to ucieleśniony ideał młodzieńca *comme il faut*.

Werszys to jego obraz odbity w najlepszém zwierciadle z fabryk staro-weneckich.

Galwjas to dziecię postępu mody, prawy syn szyku tego nieprawego spadkobiercy zgaslój hiszpańskiej etykiety i admirator wyzwolonej sztuki krawieckiej.

Werszys to moda chodząca, szyk żyjący i mecenas krawców warszawskich.

Galwjas to artysta rozkoszujący się genialnemi pomysłami mistrzów a szczególniej mistrzyń choreografji.

Werszys to uczeń jego specjalnie studjujący mysterja i tajniki bodoarów baletnic.

Galwjas brzydzi się sensacją, niecierpi uczonych i nienawidzi literatury.

Werszys obawia się siwizny z głębokich myśli powstającej, ucieka od rozmów o jakiej takiej essencji a bibliotekę jego składa „Zdobywca serc“ i „Sennik“.

Galwjas nie wie co to nauka, nie słyszał nawet o jój jakichś gałęziach i niema pojęcia o malarstwie lub muzyce.

Werszys zna tylko jadło-logją, wertuje pijo-zofją, a w sztuce ciemny jak tabaka w rogu.

Galwjas szydzi z moralności i kpi z ludzi.

Werszys protektor lupanarków i plwacz cnoty całą gębą.

Galwjas tańczy, rozbija się dryndami, gra w karty i billard.

Werszys hula do upadłego, jest bożyszczem wagnerek i przegrywa co może.

Galwjas goły jak święty turecki.

Werszys —

No, i koń ma cztery nogi a jednak czasem się potknie, natura także ma swoje anomalje i jej przecież wolno czasem nie dopisać. Nie masz nic doskonałego na tej ziemi, i ta przepyszna kopja ma jedną tylko wadę, jedno coś, co się nie zgadza z oryginałem, a tém jest — zamożność Werszysa. Nie jest ona zbyt wielką, nawet wcale nie wielką, ale w stosunku do majątności Galwjasasa ma się zawsze jak 0,31:0,001.

Natura chybiła, to prawda, ale jeżeli lepiej się przypatrzymy umiała ona zręcznie załagodzić feler swojej kopji. Dostatek Werszysa jest tylko przeciwstawieniem i niejako zrealizowaniem żądzy dostatku i umiejętnego blagowania fałszywej tegoż exystencji w Galwjasiasie. Takie udawanie i tak udatne pokrycie braku owej kradzieży Proudhonowej raz się tylko, nawet naturze udaje stworzyć, jak raz tylko genjusz ludzki płodzi arcydzieło, a więc i kopji choćby przez naturę wykonanej, trzeba przebaczyć to, co właściwém jest wszystkim kopjom — ich niedostateczność. Wszędzie to widzimy.

— A toś zię załapał! — wrzeszczał Werszys do ucha swojego wzoru — chciałeś naśladować dyrektora, ale tylko dyrektorom udaje się *totus!*...

— Miałeś co najwięcej siódm kier — pocieszał ex-kapelmistrz.

— Tak to cheiwym bywa! — wrzeszczał dalej Werszys, skacząc jak opętany na kanapie.

— No, to przegrałem. pal cię trzy! rozbiórzmy się a w łańcuniu odbiję.

Ex-kapelmistrz zgarnął ze stolika wygarnięte z kieszeni partnerów pieniądze, a Galwjas pociągnął sztosą.

— Rubla na waleta!—brzmiał ochrzypły głos ogranego w preferansie.

— Biję—krzyczał Werszys.

Po rublu poszło dwa, dalej trzy a w końcu zegarek, ale tylko idealnie z kieszeni Galwjasą, snąc mającego przeznaczenie dziś wszystko przegrać.

— Będę winien—wołał zbladły a zarazem rozogniony Galwjas—biję co jest!

— Goły rozboju się nie boi—brzmiała odpowiedź amfitrjonki, która aż dotąd pozostawała świadkiem niewinnej zabawy młodzieży.

Galwjas uczuł się obrażonym. Człowiek nigdy tak nisko nie spada, iżby zupełnie w sobie zacięrał godność i poszanowanie siebie. Ta godność i poszanowanie mogą być dziwnego częstokroć rodzaju, zawsze jednak one istnieją i przypominają, że można być czémś lepszym niżli się jest.

Czoło Galwjasą zmarszczyło się, krew' zbiegła mu z policzków, pięście się zacisnęły...

— Po kiego djabła tu się mama wtrąca?—zapytał Werszys zrywając się z kanapy, który znał dobrze swojego przyjaciela i zauważył w tej chwili jego fizjognomję—to nasza rzecz: mama, powinna iść spać, już późno. Basta! basta! panowie—dodał zwracając się do swoich gości—napijem się wódzi, pan dyrektor nam co zagra na dobranoc i na dziś kwita.

Galwjas wziął kapelusz.

— At! głupstwo—szepnął mu Werszys—niéma co, później się będziem rachować. Chodź, przelecim się kawalek, bośmy cokolwiek za dużo dziś...

Tu palcami trzepnął parę razy pod brodą, mrugnął na Galwjasą i obadwa wyszli na ulicę a za nimi reszta partnerów preferansowych.

— Galwjas dziś nie miał szczęścia jakoś, panie dyrektorze—zauważył jeden z gości prowadząc się pod rękę z ex-kapelmistrzem.

— Kto niema szczęścia do kart, ma je za to do dziewcząt—uśmiechnął się dyrektor wskazując oczami Galwjasę i Werszysa, co spotkawszy jakieś dwie damy na rogu ulicy zawrócili z niemi w inną stronę.

Rzym, 5 VI. 1868.

VIII.

Z LEPSZEGO ŚWIATA.

WYIMEK Z PAMIĘTNIKÓW MARZYCIELA.

Człowiek nie jest kołem o jednym
środku, jest raczej elipsą o dwóch
ogniskach: fakta są jedném, myśli są
drugim ogniskiem.

Miserables.

Dwie są bowiem melancholje:—jed-
na jest z mocy, druga ze słabości:
pierwsza jest skrzydłem ludzi wyso-
kich, druga kamieniem ludzi topią-
cych się.

Anhelli, V.

Bywało, w głęboką, gwiazdzistą, bezksiężycową noc,
kiedy miejskie zegary, aż po dwunastorazowem uderze-
niu w swoje dzwony, spoczywały po takim wysiłku i spo-
sobiły się do nowej kolejki na dzień następny; kiedy

ostatnie głosy powszedniego życia zwolna zamięrały i tylko od czasu do czasu jakie spóźnione a zbłąkane ich echo przemknęło po bezładnej, głuchej ulicy; kiedy wiatr jéno swobodnie tany wyprawiał po opustoszałych placach przygwizdując sobie po szparach domostwa i przygrywając na skrzypiących zawiasach wrót, które przymknąć zapomniano—czuwający jak zwykle do późnej godziny, wstawałem od mojej pracy, gasiłem lampę i samotnie siadałem w oknie mojego poddasza.

Rozkoszne-to były chwile. Jeżeliś nigdy sam ich nie zaznał, nigdy ich uroku nie pojdziesz. Ludzie wżyci w dzienny gwar i rozterkę, osnuci jak pajęczyną sprawami, które rodzą się, trwają i giną przy świetle słoneczném; ludzie, którzy w braku dziennej jasności nie widziéć, nie pomyśleć niezdolni, nie zrozumią mnie wcale, co chcę tu powiedzieć i nie dla nich to piszę. To wyłączenie może wywołać szydery, jeżeli nie, co gorsza, litośny uśmiech na ich zbladłe z utrudzenia i trosk o chléb powszedni usta, może na mnie ściągnąć niepochlebne przezwisko fantastyka, wiem o tém i mimo to nie odwołam słów moich. Byli fantastycy, którym się w oczy śmiano, a po długich nie raz latach, uznano ich za świętych. Byli i inni co po niedługim czasie dostawali bezpłatne schronienie—w szpitalu. Czyż już mam koniecznie do tych ostatnich należeć?....

Fantazja jak i marzenie, tak jak i myśl prawidłowo płynącą bez wybiegania i zaczépiania o czarujące koła przypuszczeń a rojeń na wolę i bez wędzidla puszczo-nych, zarówno są wytworem naszego mózgu, rodzonémi siostrzycami z jednego ojca, który się zowie naszym życiem duchowém. Według mnie, jeżeli zwykła, prosto do celu i to namacalnego tylko bieżąca myśl znalazła ogólne uznanie i została poświęconą na jedyną przewodniczkę naszego postępowania, to nie inaczej ona zdobyła sobie tę wyższość, tylko jak Jakub pierworocstwo za

swoją syczewicę. Swobodzie myśli, wolnym jej polotom i dążeniu ku nieskończoności ono należało, ale cóż winna, że zrodzona na ziemi, żywiona jej sokami, do niej powracała, a niemogąc otrzymać nowej podniety do swojego lotu, za złote sny, któremi chciała spłacać swoją macierz, była zmuszona złamać orle skrzydła, poklonić się rzeczywistości i ustąpić pierwszeństwa młodziej swojej siostrze, szczęśliwszej od niej, bo o zimnej naturze charakteru na dwa-razy-dwa cztery opartego. A więc dla tego, że fatum jakieś, czy zwykła kulejąca sprawiedliwość nie dozwoliła fantazji pozbawionej pętów po ziemi pelzającej logiki utrzymać się w przynależnej jej wyższości, mamy już i z tej reszty praw ją ogałacać? mamyż do szczętu wykorzeniać, aż w końcu, w dzikiej zazdrości Kaina, zabić, a jej popioły rozwiać na cztery krańce świata, iżby pamięci nawet nie zostało, że był ongi podstęp jakiś, był czyn niesprawiedliwy i była lepsza przeszłość?.....

Bywało, siadałem w oknie, przywoływałem prawą przewodniczkę ducha naszego, a oczy błędnie zanurzałem w milionie gwiazd, co ponademną toczyły odwieczną, niemą, na srebrzyste mrugi rozmową.

Cisza nocy ma nieskręslony swój powab. Mówią, że byli tacy szczególnie a błogosławieni ludzie, którym zdarzało się podsłuchać niebieskich sfer harmonją, wieczystą muzykę i olbrzymi koncert wszechświata...

Mówią także, iż my zwyczajni ludzie niegodni i za małuczcy, a ucho nasze za słabe, byśmy mogli dosłyszeć dźwięki tej o milionach strun harfy, na której przedwieczny, akordami łaski i miłości, wygrywa niepojętą a nieskończoną symfonią bytu... I wszyscy wierzą temu i nikt nie tuszy sobie, iżby to jemu daném było zasłyszeć głosy nieba. Małuczcy, zaprawdę małuczcy! Także więc duch wasz nisko już upadł, że nie śmie nawet tam dążyć, gdzie

wszystkim droga otwarta i wstęp dozwolony? Także już ród wasz przygnuśniał, a myśli zółwią skorupę na się przywdziały, żeście nawet marzyć niezdolni o tém co dla was i tylko dla was dostępném, a blizkiém i łatwém, że tylko sięgnąć dłońią, byle czystą i szczerą, aby posiąść i skąpać duszę w nieskończonej, nieporównanej z żadną inną na ziemi, rozkoszy?...

Bywało, ta cisza i spokój co mnie otaczał w nocnej mojej zadumce; te niezrozumiałe echa, co z lekka muskały żadne usłyszenia czegóskolwiek ucho moje; te blaski i ogieńki, co ponademną migały a swywołyły do siebie, jak oczki dziecięcia, co po raz pierwszy ku matce, światu się uśmiecha, i ten przestwór nieskończony, tajemny, straszny, w którym wzrok mój tonął—przemawiały do mnie na chwilę, mową ducha, któremu słowo zbytczne, a jam słyszał boską harmonją w chromatycznój gammie przez cały djapazon istnienia, w pełnych, równych, łagodnych, a chylących zbladłe z trwogi czoła przed sobą tonach, zwolna od wieków i w wieczność płynącą.....

Słyszałem Boga.....

*

*

Myśl, to ostatnie i najpiękniejsze dzieło stworzenia. Wśród potęg bytu, myśl jest najmłodsza, najmędrszą i najsilniejszą—jest ona koroną sił.

Jak duch mistrza i wielkość ducha jego odbija się w dziełach przezeń dokonanych, tak myśl nasza urabia nas stosownie do rodzaju jakiego ona jest. W owych błogosławionych chwilach, w których fantazji dozwolono w całą szércz rozwinąć swoje skrzydła i dusza nasza w odmienne, w nowe zupełnie przyobleka się kształty.

Dzień i jasność słoneczna, to władztwo ciasnych kombinacji, rachunku i rzeczywistości. Noc, cisza jej i tajemniczość, to dziedzictwo fantazji i panteon jej ideałów, w mkliwych, niechwytnych odtworzony widziałach.

To była noc.

Fantazja królowała, a królowała swobodnie i potężnie, bom zrzucił z niej kajdany prawideł, którymi ją obciążoną, a jam był jej wierny. Odrodziłem się wtedy tylko, czy w nową, lepszą i wyższą fazę duch mój przeszedł?...

Dziwni ci ludzie! Nazwali serce i objawy jego nieprawidłowemi i niezgodnemi z przepisami rzeczywistości; odsuwają je od przewodnictwa w życiu, odbierają mu głos i w końcu nawet pomawiają o fantastyczne zachcenia. Nieświadomi! Gdybyście raz jeden tylko ciężką, skutą myśl swoją puścili na wolę, przekonałibyście się, że ani serce ani jego uczucia nie mają nic wspólnego z porywami fantazji. Zwykle, jasno-dienne wstępy jego, owe maluchne ku sobie i światu uczucia, a nawet miłość, o której sile przesadzone pojęcia krążą, giną gdzieś i nikną w tych bezkrajowych przestrzeniach, po których fantazja zwykła szybować. Owe głębokie, miotające nami w zwyczajnym życiu namiętności, owe ogromne cele i założenia dziecięco pnące się po szczeblach drabinki ułożonych z łomnych, wąziutkich syllogizmów logiki, ów nawet genialny polot, obejmujący świat cały swoim kołem, zarówno z poprzednemi przepadają gdzieś w odchłaniach, nad którymi tylko fantazja jak orzeł zwykła się ważyć. Wszystko tam ginie co z tej ziemi, a duchwładca z niczego nowe światy i nowe ich kręgi sobie wytwarza. Jeżeli myśli i sądzi, to jak wieczność i nieskończoność tworząca wszechświat; jeżeli uczuć dobędzie i rozkoszuje w przez się stworzonym, to nie inaczej jak miłością Boga!...

Zrozumiałem wtedy mistyków. Byli-to ludzie, co założyli protest przeciw gwałtowi dokonanemu na wolności myśli, zwolennicy nieskrępowanego niczém jój lotu, czciciele rojeń fantastycznych, które im starczyły za wszystką rozkosz téj ziemi, ludzie, niestety! którzy nie umieli się pogodzić z koniecznością, ani pohamować samolubnych, choć wielkich, świętych swoich zachceń. To był ich błąd jedyny, a wynikał on więcej z natury i siły fantazji, niż z ich przewinienia. Skrępowana i pozbawiona praw swoich, jeżeli zdarzy jój się na wolność wydostać, jeżeli pochwyci niebacznego wyznawcę, zbytкіem swobody i czarującym, rusańczém łaskotaniem, co go zatrzymuje i nie puszcza z jój objęć, stara się odemścić krzywdy sobie wyrządzone. Oni nie zrozumieli téj prostej reakcji, a siłę fantazji biorąc za potęgę prawdy nie próbowali nawet zwolnić jój polotu i choć ostatnią nitkę świadomości, że do ziemi jeszcze należą, zatrzymać w swojej dłoni. I ta się zerwała—logiczne dzieci świata tego przyklasnęły radośnie, bo małuczkie ich prawdy wygrały swoją stawkę: mistyk został fixatem. Maż-to być sprawiedliwością?...

* * *

A jednak w tych rozkoszach mojego ducha, w tym spoczynku moich uczuć i swobodzie pozbawionój krępów wszelkich mojej myśli, brakło mi czegoś...

Jest-to jedyna różnica człowieka od niższych istot, któreśmy nazwali zwierzętami: niemożność zupełnego zadowolenia siebie. Człowiek raczej nienasytką winien się nazywać.

Zdawało mi się zrazu, że to tylko ogrom mojej rozkoszy, jest przyczyną pewnego niedowierzania w istotną jój exystencją, że duch mój odwykły widzieć urze-

czywistnione swoje żądania, nie może i nie chce uwierzyć w ich spełnienie, alem się wkrótce przekonał, iż nie to było przyczyną mojego niezadowolnienia. Brakłomi dwójga: celu i współdziału...

Skrzydła mojej fantazji poczęły opadać: są granice dla ducha człowieczego, a możność jego dążenia w nieskończoność jest tylko słodkiem mamidłem, eterycznym Zeusem w panteonie naszej wyobraźni...

Na bezbrzeżnych toniach marzeń człowieczych jest skała, o którą zawsze rozbijała się i zawsze rozbijać się się będzie krucha łódź jego myśli: cel bytu...

W paśmie życia ludzkości, jest węzeł jeden, którego nigdy potęga ducha jej nie rozwikła: nicość jednostki...

W księdze zadań umysłu człowieka istnieje błąd który on widzi, lecz nie śmieć, dla jego ogromu i powabu, wykorzeńić go: dążenie ku prawdzie...

W zdrowém sercu człowieka jest robak, co jak hydra stugłowa targa je i gryzie: nadzieja nieśmiertelności...

* * *

Bywało—dziś już nie. Zwyciężyłaś rzeczywistości, mistrzynio myśli za talérz soczewicy! Fantazji przywiesiłem kamień młyński i rzuciłem ją w morze zapomnienia...

Był-to dzień.

Światła i logiki!—oto okrzyk jeden, wielki, przeciągły, brzącający przez wieki w ludzkości, okrzyk wrywającego się ducha z oków cielesnych tkanek—ducha, co w zarozumiałości swojej został zaprzawnem siebie i wstydzi się swojej kolébki—ciała. Światła!—bo po dniu tylko on żyje, dzień tylko rozumić, bo promień słońca dał mu poczęcie. Logiki!—bo jedność jego w tym miljardowym rozpadku przez nią tylko znowu połączyć się zdolna, bo ona jedynym cementem w pośród ludzkich jednostek...

Pięrzchły widziadła, panteon rozplynął się jak bład
 dy obłoczek w promieniu słonecznym... Oczy moje ku
 ziemi opadły, a ucho... harmonją sfer dotąd jeszcze sły-
 zwy—w koncercie ludzkości.

Rzym, 10. VI: 1868.

IX.

NUL.



A imie jego *Nul*...

.

Nikczemny robaczkę—zkałdeś tu się wziął?... Wla-
złeś mi na książkę, zasłoniłeś sobą kilka liter wyrazu, roz-
glądasz się, strzyżesz wąsami i napuszyłeś się jakby coś
nader wielkiego... Strzeż się! jedno przyciśnięcie palca,
jedno najmniejsze—już cię niema... Tak, nie będzie cie-
bie.. ciebie istoty, osobnika... tylko kupka zmiądzona...
martwa..... Hm! nie rozumiem... Cała wieczność, cała

przestrzeń bez końca, całego siły wszechświata składały się, by cię wytworzyć, skupić, poruszyć i pchnąć do życia... Jedno przyciśnięcie, jedna chwila, jedno zdźbło czasu niszczy to wszystko... Co to jest?...

Zagadko bytu! niewzruszona skała, o którą rozbi-ja i rozbijając się będzie ludzkość na wieki... Czarna, nieprzenikniona tajemnico, dla której rozwarcia nawet dja-mentowy klucz całej wiedzy człowieczeń na nic nieprzydatny—okropny, zabijający problemie! rozpaczy uchwycona w kształty istnienia! otchłani cierpień nieziszczonym nigdy porywom, żądzom bez nadziei, których macierzą myśl moja... myśl moja—mrzonka!...

Zabójczy oman!... Wyciągam dłoń, macam... pustka wszędzie—chcę stanąć, oprzeć się... przepaść—dotknąć, uchwycić coś... senne mamidło!

A jestem—jestem, bo czuję, bo zdaje mi się—to dosyć, i muszę wierzyć... wierzyć w niepojętość! Szyderstwo wzdętej próżni! Maż-to być co jest? zwodniczy mi-raz rzeczywistością, konieczność chwytania snu tylko—prawdą?.....

A tam, w głębinach ducha, na dnie myśli mojej, hydra żądna krwi i życia mojego szarpie i wstrząsa mi sercem, kaléczy i pali mózg mój ogniem piekielnym, i głosem grzmotu zwiastującym o grobie wysiłkom wiedzy, rzuca jeden tylko wyraz, jak piorun spopielaający wszystko—czemu?...

Czemu!?... O! pytaj, pytaj bez końca siebie i drugich, ziemi, wszechświata, a w odpowiedzi odbieraj echo tylko własnego pytania—pytaj przez wieki, po wieki w ciasnym gnieździe ziemią nazwaném, a odpowiedzią wieczy-sta głusza niech ci będzie—pytaj, póki ciekawość twoja nie stanie ci za sztylet co cię snów pozbawi w nadziei, że się dowiesz coś potem, dowiesz o zawodzie.... Igraszko nicości!.....

Ha! tak jest—tak być musi. Otóż i spokój wracam do siebie... Czuję jak mi krew' zbiega ze wzbu-

rzonej mózgownicy... Zrozumiałem. Bezmyśl, jeżeli nie jest absolutem, jest lekarstwem na niego. Tezy nie znam, antytezę znalazłem: pierwsza... druga rezygnacja. Rezygnacja, to mądrość; rezygnacja, to punkt oparcia—mówmy wyraźniej—to ład po burzy, to suchy kęs chleba dla zgłodniałego żołądka po zachciankach uczy, to rozkosz miłości we śnie po dniu zdrady....

Brzydki szal... To głupie chwile—nierzadkie. I do czego prowadzą? Ileż razy postanawiałem sobie powściągać się od tego wszystkiego, co może je sprowadzić... Któż wiedział—nędzny robak... zgniotę go! Tak, przygotuj się... O rozkoszy niszczenia! szatańska, czy boska reakcja skrępowanego w tworzeniu ducha człowieczego! ty straszny dźwięku pękających łańcuchów, na których odgłos nicość drży, nicość, co je sama na człowieka nałożyła... Niszcz, kiedy ci tworzyć wzbroniono, szyderstwem: odpowiedz szyderstwu, bezmyślą próżnią...

Dość! dość... głupie dzieciątko. Natura-mama pokazała ci figę z palców, a ty w płacz—pan stworzenia! Pocciwy mój pudel... Ileż razy podając mu kawałek chleba, podsunąłem kamyk... Myślałem, że się rozplacze, lub mi zęby pokaże... Gdzie tam! pokreć! tylko ogonem i spokojnie poszedł drzemać...

Usun się! chce dalej czytać... Ruszaj do swoich i dziękuj przeznaczeniu, żeś cały jeszcze został. No proszę, ta mała bestyjka pewno dopiero teraz poznała, że jej grozi niebezpieczeństwo, gdy ją za okno wyrzucił... a jakim trzymał nad nią palec, może najspokojniej marzyła o swoim *ja*, swoim znaczeniu w braci robakach, miłości... Mamże szukać porównania? A gdzieżby go znaleźć nie można? Cały wszechświat, to tylko jeden wielki analogon. Cóż wiruje w przestrzeni i czasie, a wszystko, co odróżniamy, to jego tylko forma: wcielenia, metafarmozy, przeroda....

Stare dzieje.

I zrodził się— duchem. Ciałem... ha! jeżeli policzysz ile trzeba było wieków na dziś *przedostatnich*; ile tysięcy wieków na ich ojców o dalekiem podobieństwie; ile milionów wieków od pierwszego organu, to i już łatwo naznaczyć mu datę urodzenia.

Zrodził się więc... Czucie o nieznaną dotąd potęgę wzięło go na swoje łono, chrzcila go reflexja, karmił wygórowany egoizm, uczyła ciekawość, a żądza, nienasycona żądza dokończyła jego wychowania.

Chaos nowy krąg zatoczył...

Głusza wszechświata raz pierwszy przemówiła i zasłyszana została...

Ziemia przysła do świadomości siebie...

Żyje więc, a żywot jego cały, to tylko jedna karta o dwóch stronicach. Pierwszą całą przeszłość, drugą od wczoraj... Na tej drugiej stronicy tylko jeden dopiero wiersz z góry napisano. Kiedyż się cała zapełni? A gdy się zapełni, czy mu stanie sił na nową?...

Głupie pytania—gorzej nawet, samolubne, chciwe, nienasycone pytania. To obzarstwo wiedzy cechuje go. Szczyci się z niego, że niemi tylko odróżnia siebie od reszty i lubuje się w używaniu. Czyta siebie i siebie tylko pojmuje, reszta dłań niewiadomą, a jeżeli sądzi o zewnętrzności, to zawsze za punkt wyjścia bierze tylko siebie. Tęgi są! Głuchy od urodzenia postanawia napisać traktat o chromatyczności dźwięków....

Zbudzony z bezmyśli, niepojmując tego co go otaczało, siebie czując tylko, pchany ciekawością i żądzą użycia, uśmiechnął się, klasnął w dłonie i całym haustem pociągnął nektar życia.

Zielona ziemia, kryształowe źródła, błękitny strop niebios i gorejąca lampa wpośrodku nich—to jego pałac.

Wspaniałe, zwinne mieszkańce lasów—to jego niewolnicy.

Puszate śpiewaki, roje barwnych owadów—to jego rozrywka.

To wszystko jego i dla niego. On pan, on władca. A gdy zamyslił się, a zkądże to? a dla czego? to posmutniał, schylił głowę, myśli mu po niej w kółko wiorować poczęły, odbiegła go odwaga, uląkł się i klęknął...

Ta czarna ziemia, to morze bez końca i te huragany o błyskawicach źrenice mu rażących—to niepojęte, to najwyższe, to stwarzające.

Te olbrzymie czworonogi, ci dzicy posiadacze kniei—to bożkowie.

Te skrzydlate nocne krzykuny, te niedójrzone ómy szalejące w bladym, tajemniczym promieniu księżycy—to duchy z innego świata.

A on? niemy poddaniec złośliwego fatum.

* * *

Doświadczony, niepewny, ostrożny i lękliwy pochylił czoła i zrosił ziemię potem uznojonego w pracy ciała swojego. Łaknący pożywienia z lichego dobytku odsuwał część i składał w ofierze *nieznanemu*. A gdy w ciągu żywota natrafiał na zawody, na cierpienia, uląkł się ich jeszcze więcej niż gromów i z przestraszonych własnymi rojeniami piersi jego wyrwał się krzyk błagalny—pierwsza modlitwa.

W niepewnej żegludze po falach życia znalazł przystań zdradziecką.....

* * *

A jednak—wrzące namiętności popychały go i w inną stronę.

Żądza posiadania uzbroiła mu dłonie kamieniem, pałką i mieczem, i zrodziła nienawiść ku braci.

Żądza spokoju zmusiła go podać ręce obłudnej zgodzie z innymi przeciwko innym i zrodziła nacje, kasty i państwa.

Żądza rozkoszy rozkazała mu zabyć sprawiedliwości ku drugim i zrodziła poddaństwo kobiety i niewolę słabszych.

W cyklu żywota jego węzeł jeden usunął się w przeszłość...

Na krańcach tej fazy kończyny myśli Mojżeszów, Herodotów, Viconów, Herderów, Hegłów i Buckłów, przemykają się jak blade promienie mającego wejść słońca...

Na wschodnim widnokręgu ziemi tęczowe barwy narodów odbiły się na mętnych wodach oceanu tajemniczej przeszłości..

Na pierwszej karcie księgi pamięci niewidzialny rytec natury poczyną kręślić—dzieje...

* * *

Tu znowu co innego. To co niepewne, może się przyoblekać w jakiegokolwiek kształty: wspomnienia przeszłości lubią być melancholiczne. Wypływa to z natury charakteru człowieka: tęskni on za minionem. Poeci więc dobrze robią naciągając swoje liry na minorowe tony, gdy mają zamiar pieścić o mglistej przeszłości. Niewzruszona powaga przystoi temu, co błędne lub fałszywe, bo ona je tylko ocala. Biblijny bardon harmonizuje z genezą...

Inaczej z pewnym, lub za takie uznanem. Prawda lubuje się w filtrach, goni za utarczką i uświęca ogniem polemiki.

W dziejach, każda jednostka ma głos a większość prawdo-dawcą. To złe konieczne. *Struggle for existence*

opiera się na sile a większość ma i większość téj ostatniej. To absolut dla historii. Jednostki mogą być lepsze i prawdziwsze, ale nie mają siły, a co niema siły, lub jeszcze jój niema, to co najmniej nie na czasie. Nadzieja je tylko wspiera, robi prorokiem i zapisuje jego nazwisko na ostatniej stronicy ludzkiej pamięci. To zawsze coś—lepszy rydz, jak nic.

Spiérajmy się, nawet z lekkim szyderstwem. Szyderstwo, to piéprz ku strawności surowizny dowodów, a żart, to okrasa i dziesięcina dla wybrédnego podniebienia, posługującego się ucywilizowaną mową.

* * *

Tam, kędy spokojny obszar wielkiego oceanu znajduje pierwszą zaporę z zielonych brzegów największej płaty lądu; tam, kędy słońce wyjrzawszy z błękitnych fal pierwsze promienie zsięła ku ziemi—strudzony walką, niepewny jutra, zwołał swych braci, zebrał pod cieniem olbrzymiego bambusu, pogwarzył, naradził i zgodnemi dłońmi zatknął pierwszą tykę pokoju, co miała kiedyś wystrzelić w porcelanową wieżycę podziwu; zbudował pierwszą lepiankę, co miała rozrósć się kiedyś w fantastyczną pagodę bogów...

A ci, co nie z nim, to przeciwko niemu! Zabójczy frazes, który po trzykroć, jak piorun ludzkość przebiegał... Zjawiź się jeszcze? Znienawidził więc resztę i z jednej strony niebotycznym góróm zakrywającym mu zachodzące słońce powierzył stróżę swoich włości, a z drugiej wspólnemi siły, setkami lat i tysiącem śmierci usypał wał z granitu, coby go od wichrów i synów północy bronił bezpiecznie. Zamknął się, zadumał, uznał nicość wszystkiego i jak zkamieniała mumja, jak tajemniczy hjeroglif stoi przed światem i szydzi—z postępu.

Nie tylko ludy miecze swoje wyszczerbiły o jego jedność; nie tylko potopy nowych pojęć nie zdołały zalać

jego obojętności, ale nawet sam taran czasu zdawał się być bezsilnym, by rozbić ten grobowiec, w który żyjącym się zasklepił.

Życie, to zużycie—zrozumiał to. Tylko kamienie tysiące wieków jedne i niezmienione przetrwają. Popychany zachowawczą siłą pierwotnych tworów téj ziemi, jakby przestroga znikłych w niepamięci wieków, jakby ku nauce rwącym się nazbyt do życia, z palcem na ustach, z pooraném myślą czołem i okiem utkwioném w ziemię, zaciekawia i straszy młodzieńcze, niepomne przyszłości, чуціliwe zachodu narody...

A gdy przemawia do siebie, to tylko krzykiem pierwocin mowy.

A gdy znudzony ruszy się z miéjsca, to tylko w sobie, tylko swojémi członki—wstrząśnie się we wnętrzościach, zakotłuje, zionie miljonem śmierci i wraca do snu...

To balast na okręcie ludzkości, szybującej po burzliwych falach postępu...

* * *

Nie zawsze on taki. Składa martwą, nieruchliwą skorupę swoją na boku i zwinny, a lekki jak różnobarwny motyl goni za słońcem, tam gdzieś, daleko, za góry, morza na zachód... Po co? Po co rzeki biegną do jezior, po co jeziora w morza się rozlewają, po co z nich burzliwy ocean się pieni, po co we mgły paruje, po co chmury potokiem wracają na ziemię, ażeby znowu w ocean popłynęły?... Leci, bo musi lecieć, bo mu wezbrane namiętności serce rozsadzają, bo mu w kłębek zwite zrazu myśli wężykami piorunów z mózgu strzelają, bo mu potrzeba przestrzeni, światła, nieskończoności... Po co? sam nie wie i nie pyta, bo musi.

To kameleon. Znudzony myślą rzuca się w szalony, bezmózgny wir cielesnego życia. Znudzony powagą,

lub obojętnością, lub abstynencją, przywdzięwa na się bluzę arlekina, staje się czułkiem, lub stekiem plugastwa. Znudzony towarzyskością i społeczeństwem, odosobnia się w stepach naprzód sam, później z dobraną pomocą i zostaje naprzód postrachem i wzdrgadą świata, później jego czcią i podziwem. On fakirem, Platonem i ascetą, lub Falstaffem, idjotą i Sardanapalem. On Solonem i Fourierem, lub Cartouchem i Napoleonem... A zawsze jeden, zawsze samolubny, drżący przed jutrem, cheiwy i pyszny.

Nikczemny—wielki!... Nikczemny, bo w tym milionowokształtnym pomocie natury on równy wszystkim, bratem po ciele, druhem po bezwiedzy i braku pewności. Wielki, bo wzięty w sobie, rzucony na szalę z własnych pojęć ulaną, zmierzony w swoich częstach do swojej całości, on wieżycą o pięć tysięcy, on zrazu mały, wielki i wreszcie olbrzym stworzenia, on promienną koroną, władcą i poddańcem ducha i treścią a samowiedzą tej ziemi....

* * *

Ogniste promienie słońca zwrotnikowego przepalają mu skórę, tamują prawidłowy, spokojny ruch jego myśli, a jęć miejsce luźnej, swobodnej, nieuznającej granic loiką zakreślonych, pozostawiają fantazji. Bujna niepomamowana wegetacja państwa roślin, to pierwowzór jego rojeń. Te stubarwne, stukształtne, ciągłe formy storczyków, kaktusów, turbitu i ljanu, to tylko matryce dla fantastycznych systematów pożądań jego ducha. Jak wszystkie kwiaty zwracają oblicza swoje ku słońcu, do jednego punktu ślącego im światło i ciepło, tak i myśl jego tak tu, jak wszędzie i zawsze dąży do jednej jasności, którą przeczuwa, której pożąda, a której pojąć nie może. Więc dąży, a w drodze swojej łaknąca spokoju i prawdy, jak spieczone kięlichy kwiatów rosy wieczornej, snuje na wszystkie strony macki swoje dla chwy-

cenia wiedzy, kupi do siebie co zdołała uchwycić i jak koroną wienczy sobie tém wszystkiém strudzone skronie walką o życie.

A lata biega, a z laty co raz to nowy brylancik przybywa do téj korony. A już który był, szczęśliwym trafem, w zgodzie z potrzebą chwili, a i z niedaleką przyszłością roztérki nie sprawił; który dał się pochwycić ostrzem genialnego porywu, skąpać i oczyścić w pożądaniu ludu i udatnie osadzić w tajemnicze ramki cudowności—ten-to błyszczący najjaśniejszy, temu wszyscy ciekawie zwykli się przyglądać, obalamuwać jego mięniącym rozblaskiem, a w końcu brać go za latarkę na mroczną drogę żywota.

Więc na szczycie, w mglistej krainie cieniów, niechwytne Trymurti trzyma berło wszechświata... Więc zbiega, rozdzielone w sobie ku ziemi, przyobleka na się jój formy... Więc przenika do koła, rządzi wszystkiém, przerabia, przechodzi, zmienia—bo zmienia się oblicze ziemi, przetwarzają się jój wytwory... Bo tam głębiej sił kilka tylko walczy ze sobą... Bo tam, gdzieś na końcu, czy na początku znowu się one zbiegają ku sobie i łączą w *jedność*....

To organiczna wada jego. Niczego pojąć nie zdolny bez wyszukiwania sobie choćby hypotetycznych przyczyn, bez sprowadzania wszystkiego do jednego punktu. On tylko *jedno* pojmuje—siebie, musi więc wszystko redukować do jednego, aby je pojąć i skupić w sobie jednym. *Dwa*, to początek zagadki, macierz religij, pierwsza głoska w alfabecie mistycyzmu.

* * *

Ale fantazja to tylko wonna pianka rozigranej, burzliwej myśli. Jak puszek edredenu, który za lada podmuchem gotów umknąć w wyżyny, tak i ona za najmniejszym naciskiem ciężarnej ziemskiej myśli,

pęka, rozprasza się i niknie bez śladu. A on jednego tylko pożąda, jednego od wieków i na wieki jednego próżno pożądać będzie— *pewności...*

Powściągnął więc myśl swoją, stawiał granicę puszącym mrzonkom, ujął je, a przynajmniej starał się ująć w ramy surowej konsekwencji, pozbawił wiary nęcącym, ale uludnym, czczym obrazom swojego ducha, i wsparłszy się na sprawdzonych faktach dotychczasowego doświadczenia, wytknął swoim pojęciom szczupłą, ciasną, ale posiadającą wartość jakąś drużynę. Był-to świąteczny dzień—narodziny logiki...

Na chmurosięgnych niepożytych, szyderczo zęby wystrzérzających zaborcemu czasowi, pomnikach swoich przodków, którymi oni chcieli ująć w władztwo swoje zielone brzegi ruchliwego Nilu, tajemniczemi tykli począł kręślić i upamiętniać zdobycze doświadczenia swojego...

Niepewny, zazdrosny i chciwy panowania, choćby nad bracią swoją, klucze do tych skarbów swojej wiedzy trzymał w wybraném gronie najmędrszych, czy najchytrzejszych...

A rzeszy całej, a braciom-prostaczkom—wiara, ślepa wiara i postrach. Więc zmyślił niepojętość—Amuna... Więc stawiał nietykalność—Serapisa...

Nie mogąc znaleźć pewności dla ducha, znalazł ją dla ciała, dla swojego życia, dla spokoju i władzy nad tłumem.

To pierwszy krok do wyższości, pierwszy popęd do doskonalenia się i pierwszy przebłysk panowania siły moralnej—cywilizacji...

Prawo mocniejszego—pięści, ustąpiło prawu mocniejszego—myśli przyobleczonéj w słowo...

Ziemia po zmyśle uczucia otrzymała zmysł drugi—inteligencji.

Spółczeństwo małpo-ludzi, zostało ludzkością...

Otrzaskany z życiem, przyzwyczajony do trańów, z mniejszeniem się obawy jutra, z nabraniem większej ufności w siebie, wzrosły w nim żądze, i zrodziły wolę—własną, przynajmniej w życiu na ziemi, a tam (zawsze gdzieś jeszcze, dzięki nieprzepartemu, zachowawczemu instynktowi), jakieś coś, jakieś niepojęte, niech będzie—*fatum*... To rzeczywiście i mądre, powiadał sobie wtedy—to dowcipne, szydzi dzisiaj. A jutro? Milcz Viconie.

Zniecierpliwiony tą resztką tajemnic którą mu dzwigać kazali wybrańcy, parsknął śmiechem piramidom, zbił tratwę i jako niebezpieczny nowator popłynął dalej za słońcem,

Niepodległość ducha, wrząca młodzienczość i żądza zdobyczy zlały się z sobą razem, strzepnęły z obuwia pył zastałych nauk kapłanów i śmiało wyciągnęły dłonie ku życiu i przyszłości.

Więc uśmiech, wesele, kwiaty i miłość — więc męstwo i sława, swoboda myśli i śmiałość wcielania jój w czyn. Popatrzył do koła siebie po ziemi i nieujrzawszy nic coby go przewyższało w potęgę siły i woli, siebie uznał za pana. Popatrzył w górę, na gwiazdy, na błękit i na wzór siebie osadził na nim ludzi-bogów, bo on najpiękniejszy, najmędrszy na całej ziemi, więc i ten co ma być wyższy nad niego, jeżeli ma już być, to musi istnieć jemu podobny a przewyższający go tylko w mądrości i pięknie.

Ale tak jak on tylko jeden a w nim tysiące uczuć, miliony myśli; jak on tylko jeden a do koła tysiące stworzeń, miliony obrazów, tak i we wszystko tchnął myśl swoją, swoje czucie i swoją samowiedzę, zlał się z przyrodą, uznał siebie za najlepszą w niej cząstkę widomą a resztę za akord ze sobą, za gammę do bóstwa, a razem wszystko za jedną wielką harmonją... O! tu on po raz pierwszy i raz ostatni żył w zgodzie ze sobą. To kwiat jego istnienia, rozkoszny moment peł-

nój młodości, nie patrzącj w przyszłość, niedbającj o przeszłość, dla której dziś, to wszystko.

* * *

To była chwila tylko. Wszystko co potężne, wszystko co stanowi siłę w jej najwyższym naprężeniu, trwa tylko moment. Największa rozkosz jak i największy ból, to mgnienie. Potem wszystko wraca do zwykłego biegu, mieszaniny, kontrastu o średniej wrażliwości. Natura nie cierpi krańcowości, a jak w początku chaos był tylko niwelacją, równouprawnieniem sił, tak i w końcu, jeżeli ma być koniec, równomierność, równowaga, martwota będzie zawsze i równowagą wszechświata. I młodość ma swój punkt kulminacyjny, który przebywa piorunem i nie wraca nigdy więcej. To właśnie natężenie sił; ten punkt ostateczny, chwilowy, jest zasadą ruchu życia.

Uśmiech jego wykrzywił się w niesmak—wesele w smutek—kwiaty zwiędły—miłość zdrętwiała. Męztwo i sława poczęły się obliczać z siłami i celem, tym grobem fantazji—fantazja, ta treść młodości krzepnąć—swoboda myśli, jedném słowem, poczęła wchodzić w karby zimnego rozsądku. Metryka narodzin ekonomji da się odnaléć w archiwach Romulusa.

Potrzeba i utrzymanie życia rozrastającego się w swych członkach zmusiła go rozerwać zgodę chwilową i pchnęła go znowu dalej za słońcem...

Musiał zdobywać. Spróbował, natężył sił ostatki, schwycił, trzymał i sięgał dalej a dalej aż rozrósł się w olbrzyma, okuł w kajdany cały widnokrąg, rozsiadł się pysznie i stanął jak kolos na postrach świata. Serapis teraz dopiero urzeczywistnił się, a upadek jego był upadkiem świata ludzkości...

Po rozkoszy miłości nastąpiła rozkosz władzy, rozkosz dojrzałego wieku. Po bojaźni i poddaństwie naturze, po zgodzie z nią i harmonji, wystrzelił raz

pierwszy nad nią, wprawdzie w jednym tylko boku miljonociennego ciała swojego, ale już wzniosł się po nad nią i niemogąc jeszcze zawładnąć jej przyczynami, położył żelazną rękę na jej skutkach, najszczytniejszych ze wszystkich, na słabszych członkach swojego ja. Stał na pierwszym stopniu panowania—nad sobą samym. Tędy się idzie do władztwa nad wszechświatem...

I w dumie swojej uznał się bogiem ziemi, celem życia i kwintessencją bytu.

Zwykła pycha sił życia.

I znowu chwila—to było *maximum* potęgi żądz i woli. Równowaga i prawo wszechświata tylko na chwilę zadrzęć, tylko zadrzęć może.

Zegar czasu wybił południe jego żywota...

* * *

Przeżył się... Ręce mu omdlały, głowę znużony zwiesił ku ziemi, serce wolniej bić poczęło. W myśli jego powstał zamęt—zwątpienie. W uczuciach roztrój—przesyt. Zdrzёмnął się, a życie jego było wegetacją o straszliwych snach.

Zdawało mu się, że wszystko wraca do początku. On tym samym co niegdyś—nieświadomym, niepewnym... Rzucił się na wszystkie strony, pędził za światłem które mu umykało, pożądał czegoś, burzył co zbudował, ranił sam siebie i osłabiony, zboczony we krwi własnej, omdlewał. Gorączkowe widziadła stawały mu przed oczyma, chciał dostać się do spokoju i ukojenia, sądził, że chwyci zbawienie, a tymczasem coraz głębiej zapadał w otchłań niepewności i w roztrękę z samym sobą.

Zwątpienie jednak co go owładło, wywołało wkrótce reakcją—wiarę we wszystko, wiarę w najuczuciwniejsze roidła schorzałej mózgowicy. On sądził, że to go zbawi—chorobę leczył słabością. Bo cóż mógł zrobić innego?..

Żywot jego, to koło o kilku szprychach zaledwie: gruba cielesność lub pozorna duchowość którą bierze za rzeczywistość—dalej popada w niedorzeczne mrzonki lub zwątpienie; a gdy mu to wszystko już nie starczy, gdy mu zagadki życia niedają się ugiąć pod przyciskiem jakiegoś systemu, to łączy wtedy wszystkie swoje pojęcia, amalgamuje razem i śni o doskonałości—w dzieciennych wybiórkach. Senzualizm, spirytualizm, mistycyzm i sceptycyzm—koroną głupstwa: eklektyzm... I znowu od początku.

Po przejściu fazy pełnej żywotności, po wierze w siebie, siłą której zatrzęsł całym światem, z upadkiem sił fizycznych upadł i moralnie. Więc naprzód zwątpił, potem zdzieciniał w wierze we własne gorączkowe roidła.

Więc zlepił sobie cały świat duchów i powierzył im berło nad ziemią, które sam już udźwignąć nie miał siły.

Więc pożałował sobie drugiego życia za światem i nieśmiertelności—po śmierci.

Więc przeląkł się sam siebie, zastraszył karą na potem, zadrzał na wspomnienie dawnego życia, wreszcie „upił się chęcią ocalenia“ padł na kolana, wyciągnął dłonie ku niebu i rozpaczonym głosem zawołał: *Alleluja!*...

W toni co miała go pochłonać, schwycił kruchą gałąź drzewa Golgoty...

Wypłynął na wiérzch.

Abominandum genus remedii est, sanitatem debere morbo...

Ba! niema prawidła bez wyjątku, a między zdrowiem i słabością tak nikła granica, że nawet *vox populi* nie zawsze ją odróżnia i nosząc raka w swoim łonie gardłuje, że zdrow najzupełniej. Nawet choroba, jeżeli jest powszechną przestaje być stanem anormalnym.

Zdrowe wtedy rzeczywiście jednostki bywają uważane za defektowne. To konieczność, to logika ludu, to prawo większości, to znowu *struggle for existence* tylko już całego społeczeństwa z całą ludzkością, lub całej ludzkości z naturą.

Ależ *est ubi errat!*... Horacemu wolno tak utrzymywać, ale głosu on niema—bo jeden przeciw wszystkim, więc chory.

* * *

Jeżeli chcemy pojąć objętość jakiegoś przedmiotu, toć przecież nie przybliżamy go sobie przed same oczy, abyśmy mieli widzieć jedną tylko jego stronę, ale w należytem oddaleniu, porównyując go z innymi, zwykliśmy dopiero o nim sąd wydawać.

W starości lepiej się oceniają wypadki minionego życia, jak na drugi dzień po nich.

Patrzmy więc a nie sądźmy.

* * *

Szczęśliwy ocaleniem, upojony nadzieją zbawienia, schwycił za rudel skołatanéj nawy swojego żywota i nieogładając się po za siebie, pałac i niszcząc maszty swojej przeszłości, popędził naprzód—za widziadłem.

Mamiące-bo było ono. Jeżeli wreszcie zagadkowe, dziecinne, to w jednym wielkie, prawdziwe względnie do czasu w którym się pojawiło: kazało kochać...

Miłość to główny czynnik jego żywota. Jeżeli kiedy zdaje się cichnąć, przytając, to nie dla tego ażeby coś innego miało ją tłumić, ale, że tylko harmonja wszystkich jéj form, jakiemi zwykła się przejawiać, została naruszona kosztem innych na korzyść jednéj. Jeżeli kiedy poniżył kobietę, zakorzenił niewolnictwo była-to miłość *falszywie* skierowana w jedną stronę. Jeżeli kiedy podążył do władzy, bezgranicznego pano-

koniec tego żywota, pada noc... Tam i tu jedno tylko.
 Jest on listkiem kwiatu rzuconym na niezmierną
 przestrzeń oceanu. Do koła listka—bałwany i otchłań.
 Do koła niego—*niepewność*... To jego piekło.

Rzucony w przestrzeń, rodzi się, żyje, pasuje ze
 sobą i z zewnątrznością, wyciąga dłonie do nieba, woła
 o pomoc, czasami sądzi, że wsparł się wreszcie na
 czémś pewnym i chwytą — *mamidło*... Wierzy, wąpi...
 wąpi bo musi wierzyć ażeby zwąpił, a kiedy sam już
 pojąć, zrozumieć siebie niezdolny, kiedy pomiesza wła-
 sne mrzonki o téj morderczej zagadce, przymyka oczy...
 westchnie... apatja przyjmuje go w końcu na swoje ło-
 no... i niknie w nicości...

.....

A imie jego: *Nul*...

10. II. 1869

X.

JEDNA Z TYCH.

NOWELKA.

Messieurs, nous nous plaignons de la venalité de la femme! et la venalité de l'homme? La femme est comme la foudre, le produit de l'électricité d'un temps. Lorsque le temps est ardent, courageux, d'humeur romain, la femme est Ch. Corday. Lorsque le temps est sombre et d'allure puritaine, elle est la femme d'Olivier Cromwelle. Lorsque le temps est chevaleresque et religieux, la femme est Jeanne d'Arc. Lorsque le temps sacrifie tout à l'argent, au capital (le capital, messieurs, vous auriez à ce mot déjà dû vous lever tous, et vous prosterner!) la femme est la dame aux camélias.

Philarète Chasles.

Achl... Była ona tak piękną, jęj spójzrenie tak głę-
bokie, tak pełne tająęcego się w głębi smutku i melan-
cholji, że dziś jeszcze obraz jęj żywo mi przed oczami
staje. Na ustach jęj przebiegał lekki uśmiech, uśmiech
zamaskowanej goryczy i bólu, którym darzyła przecho-
dnieów...

W pośród tłumu co ją omijał, kobiety mniej piękne lub stare rzuciły na nią ciekawém i zazdrośném okiem... Mężczyźni oglądali się po za siebie posyłając jój pożądliwe wejrzenie... Byli tacy, co zawracali ze swojej drogi i podążali za nią... Byli inni, bezczelni, co równali kroki swoje z jój chodem i starali się zawrzeć rozmowę... Był jeszcze jeden, co zastępował drogę tym zuchwalcom, uwalniał ją chwilowo od ich towarzystwa i sam się cofał... To byłem ja. Ach!... Była ona tak piękną, tak uroczą z tym smętnym, bolejącym uśmiechem który na zimno posyłała przechodniom—wszystkim....

Było-to wczoraj. O! bardzo dawno, bo te kilkadziesiąt godzin co oddzieliły mnie od ostatniego jój spójrzenia, to cała jedna faza życia mojego, to całe lata—straconej wiary.

Kiedym ją spostrzegł, kiedym dojrzał téj głębi jój oczu, téj rozpaczony co w nich się kryła przyobleczona w kostjum wesela; kiedym zobaczył ten lodowaty uśmiech któremu okrutna tylko boleść życie dać mogła, uczucia moje którym gwałt zadawałem, którym całym wysiłkiem mojej woli rozkazywałem milczeć, którym, zaprzeczałem samego istnienia, z których wreszcie szydziłem niebacznym, nieznajom ich potęgi—na raz, jak wybuch wulkanu, zawrzały mi w sercu, piérs mi rozdeły i zmusiły pochylić głowę pyszną li tylko rozumem przed jój czołem, co się zdawało, że prochem spopielonych uczuć na zawsze zostało posypaném...

Począłem czuć, odczuwać innych i kochać—jak człowiek. Tak, raz jeden tylko w życiu mojem byłem człowiekiem, bom ukochał i odczuł...

To było wczoraj, a jednak, kiedy wspomnę o téj chwili, kryje mi się ona w tak dalekiej przeszłości, w tak dawno przebytych wypadkach życia mojego, że już sam wątpię o rzeczywistości, że za senne mamidło za ledwie nie biorę jój postaci...

* * *

Było-to moim zwyczajem. Po mozolnej, kilkunastogodzinnej pracy, w ciągu której na chwilę nieodrywałem oczu od tych małych znaczków z pomocą których ludzkość przez wieki gwarzydo siebie a które dziś, jakby zazdrośne o tajemnice w nich zawarte, spiknęły się swoją drobnością kształtów na zdrowie chciwych wiedzy źrenic człowieka—odsuwałem na bok milczące a wymowne karty z przed siebie, żegnałem się na czas jakiś z myślami mędrców, opuszczałem zacisze mojej pracowni śpiesząc na inną ucztę duchową—do ludzi, aby w ich żywych oczach doczytać tego o czém mi księgi milczały. Cześć waszą pamięć, gwiazdy zamarłych zdawna pokoleń! schylam me czoło przed wami, potęgi żyjącej dzisiaj ludzkości! ale wiem, że nie zrobię wam ujmy wyznając, iż często zdarzało się, że gdy zniechęcony, zwątpiały rzucałem was patrząc na tytaniczne wysiłki waszej myśli by dojść do jakiegoś jednej, małej pewności, która na zawsze wymykać się będzie z dłoni człowieka, to chwilowy widok żyjącego czoła, błyszczącego uczuciem oka, wracał mi znowu całą nadzieję przy was straconą a piérs mi się nowém życiem zwykła napełniać... O! żywy człowiek na zawsze najmędrszą księgą dla siebie pozostanie.

Biegłem więc do ludzi. Nie pytałem o nic, nie żądałem spowiedzi ani zwierzeń, ałem tylko patrzył, patrzył im w oczy, tylko w oczy... Oko człowieka to niewyczerpana skarbnica jego uczuć. Patrz w nie, sięgaj jego głębi, a wkrótce ujrzysz na dnie serce, myśl, duszę, cały świat marzycieli i mistyków, a w końcu wszechświat taki jak jest, prawdziwy, rzeczywisty z wszystkiemi tajnikami swojemi, ujrzysz go w zarodku, w potędzie—bo on tylko w człowieku posiada swoją samowiedzę, bo człowiek tylko jest jego wyrazem.

Ale nie zawsze, muszę wyznać, całym haustem rozkosz moją pijałem. Czasem wzrok mój wpadał do oczu

jakichś jak na marmurową tablicę od której odbity wracał do mnie—czyży, czyży więcj niż przedtém, bo zamiast sam coś zaczerpnąć, jam jeszcze musiał zostawić coś tam z myśli mojej... To było oko bydłęcia, które przypadkiem zabłądziło do ludzkiej czaszki. Czasami znowu wzrok mój tułał się przez chwilę po płytkich nurtach jakiejś zrenicy i smutny, zawiedziony gdzie indziej biegł szukać głębin uczucia... To było oko, którem najczęściej spotykał, oko ogółu. Ale zdarzało się, w błogosławionj chwili życia mojego, że raz rzućwszy spojrzanie do wrót tych co człowieczego czoła strzegą, wpadałem wgląb' ich odrazu i ginąłem w otchłani myśli... uczuć... Ach! jam raz piérwszy dopiéro, raz jeden tylko skąpał się w tym warze miłości walczącej na poły z rozpaczą i zwątpieniem którem dójrzał w jej oku...

Tajemnicza a tak ciekawa księga uczuć kobiécych na rozciérz mi się przed wzrokiem moim rozwarła. Począłem czytać...

* * *

I chwycił dłuto do ręki.

Nieforemny łom marmuru paryjskiego bezwładnie, niemo leżał przed nim.

Wprawna dłoń mistrza kierowana odbitémi w duchu jego wzorami widzianych arcydzieł, szybko zakręślała kontury.

Nieforemny łom zwolna począł przybierać kształty.

A kształty owalne, drobne, miękie, kształty królowj Cypru...

Czas mierzy się życiem, życie czynem, ale czyn, czyn pochłaniający w sobie życie całe skraca, unicestwia czas.

Czas tu nie istniał... Bezwładna bryła marmuru już żyła bozką Cytereą...

On chciał swój ideał piękna urzeczywistnić w marmurze—i spójrzył...

Dłuto jego zdala wzgardzone leżało... Władczyni Gnidu i Pafu pękła na dwoje pod uderzeniem jego nogi, a on—został znowu ze swoim ideałem w ziębnącej piersi i straconą wiarą w jego urzeczywistnienie w rozkrwawioném sercu.

Biędny!... A po lat tysiącu minionych, pod techniem wiosny bledszego nieba, w ciepłe spokojniejszych uczuć, jego marzona Cytorea stanęła cała tak piękna, tak bozka w ciele żyjącém jakiej on w marmurze nawet nie pożądał.

Tak, byłby wreszcie zobaczył, ale nie życie w marmurze, tylko marmur uczuć w żyjącém...

On marzył i kochał...

Pełnia młodości weszła na widnokręgu jego żywota i jasnym swoim rozblaskiem oblała mu serce, rozwinęła pęk uczuć różnorodnych i popchnęła—do marzeń..

Dla siebie—chciałby wszystko ukochać. Dla niej—chciałby siebie oddać. Dla ludzkości—oboje poświęcić.

Więc co mu przeszłość podała za dobre, a piękne, w to wierzył niezachwianie. Co mu ona w majowej nocy spójrzeniem do serca przesłała, to pō dniu chciałby w czynie urzeczywistnić. A co mu ludzkość na złotój nici wiedzy i nauki podsunęła, za to do walki śmiertelnej gotów już był stanąć—w marzeniu...

Ale po dniach niewielu, przeszłość tak uwielbiana zciemniała mu w oku i zaczął sądzić, wybierać cōś a gardzić wielą... Ale niezadługo w rozkoszném szepcie gołąbki swojej zaczął oddzielać sen od rzeczywistości... Ale

i w bezgranicznych pomysłach a porywach myślicielów, dopatrzył wreszcie granicy rojeń od możebności..

On począł myśleć.....

A ona?—dziecięcemi sny swojemi, przeciągłą pieśnią miłości i płynną krainą marzeń dziewiczych spowita dotychczas, zadrżała raz jeden, przetarła senne oczy i zadziwiona dojrzała na gładkiem dotąd czole swojego kochanka bruzdę raz pierwszy żłobiącej się myśli...

I zstąpili ku ziemi, ostygli nie co lecz nie rozczarowani, i co dotąd w eterycznym prądzie niewyraźnych uczuć chylili się ku sobie, podali teraz po ziemsku dłonie nawzajem i ruszyli w dalszą drogę żywota.....

* * *

Jękla, lecz po przez bóle porodu przedarł się uśmiech rozkoszy, rozkoszy matki i zawisł na blednących jej ustach.

Wyciągnęła dłonie przed siebie, przytuliła do piersi dzieciątko i złożyła na czole jego pierwszy pocałunek—matki...

A w jego oku zaszklila się łza boleści zmieszanej z rozkoszą ojcostwa.

Życie jedno, co mu przybyło uśmiechem swoim kładło kamień grobowy drugiemu.

— Ale nim umrę, zanim się myśl moja znowu z twoją połączy, to tu na ziemi w niej się znowu odrodzisz!

To był ostatni cel jego, a to nowe życie wyrzało na świat przez święte wrota miłości i drugiego pocałunku—ojca.....

Lata pobiegły... Dziérgały się szybko na jasną niteczkę życia dziewczątka, a z każdą wiosną to nowy pączek nowego uczucia z serca jego wykwitał.

O! bo uczułem, tylko uczułem, jednym przeciągłym, jasnym, spokojnym, całościowym wyrazem miłości on chciał przyobdździć to swoje dziecko...

— Kobieta kochać tylko powinna—mówił do siebie, spoglądając na dziewczę—przez miłość tamtej jam świat ukochał, a ono musi być sumną i odbiciem nas obojga, musi także kochać, musi znowu rozpaść miłość w drugim—dla ludzi... Tak w nieskończoność! Aż przyjdzie czas, w którym świat cały jedną rodziną zostanie, a w której miłość jedynym prawem zabłyśnie...

* * *

I znowu był on.....

War jego uczuć, nadziei świat cały dotąd zamknięty, burzliwy w sobie, niepewny, groźny znalazł nareszcie ujście dla siebie i szumnym potokiem żądz obiegł rozkwitający bukiet uczuć dziewczęcia...

I znowu był on—kochał jak tamten, ale jak tamten, już nie marzył. Uczucia jego tak samo biegły do świata i do niej, ale do świata—by użyć, do niej—by osiąść...

Uczucie bez marzeń, to tylko gąbka chłonna w siebie: potrzeba drugiej siły, by ciecz w niej zawarta znowu z niej wybiegła—potrzeba marzeń, a potem myśli, by z uczuć przepelniających nasze piersi znowu coś światu oddać i za wzięte oden podniety wzamian obdarzyć go czynem...

On kochał, lecz uczucia jego nie prowadzone myślą a celem, chłonna w siebie, lecz nie wydające odzwieku, wkrótce zstąpiły do pierwotnych, zwierzęcych czuć i popędów ciała, a w miejscu miłości, co miała kie-

dys w czyn płodna z nich wystrzelić, zjawiała się żądza....

Dłonie ich spotkały się z sobą, jak niegdyś tamtych, serca na chwilę zgodnie zabiły, a wargi jego zbliżone do koralów ust kochanki złożyły na nich płomienny, namiętny, trzeci pocałunek—kochanka...

Dziewczę nieświadome, powolne i ciekawe lic swoich nie usunęło... Dziewczę powolne i ciekawe przyjęło płomień jego z nieznaną dotąd lubością... Dziewczę ciekawe oddało go z uczuciem—raz pierwszy...

Pocałunek kochanka!.... Dziewcze świadome jego rozkoszy dalej już samo poczęło jój pożądać... Świadome i lubujące się nie pytało o przyszłość, bo mu jój nie miał kto powiedzieć... Świadome, lubujące się, a żadne poczęło szukać pocałunku samo dla siebie, tylko dla siebie, bo ten co pierwszym je obdarzył, gdzieś zniknął na zawsze...

A piękno ma władzę i możność, a świadomość wywołuje ciekawość, a rozkosz rodzi namiętność...

Więc możność pobiegła na swywole; ciekawość zaczęła zwolna odsuwać świecące zasłony z tego co tajne; namiętność, ta synteza uczucia, straciwszy cel swój pierwotny, rozplynęła się zwolna w lubieżność...

To konsekwentne. Na czole dziewczęcia wycisnęło się znamie cielesnej żądzy, znamie, które zwolna poczęło się pogłębiać, śniedzić, pryszczyć i cuchnąć wreszcie ostatnim pocałunkiem—ulicy....

Ha! żłudny miraż!... Otóż widziałem w tej głębi jój oka i pierwszy przeblysłk uczuć dziewczęcia, i pierwszy uśmiech ku nieznanej dotąd namiętności, i pierwszą błyskawicę którą miłość z siebie wyrzuca, i pierwszy

grom jój, pierwszą całość z pierwszym owocem... Widziałem dno jój czyste, jasne jak słońce poranku; później szkarłatne, spalone w namiętności jak ono, kiedy zapada w fale oceanu; później zczerniałe, zmulone jak spód potoku, co mu burza szalona w górach życie daje, a później już otchłań jakąś, czarną, straszną w którąm ułakł się zajrzeć... Ale po nad nią płynęły fale z kryształu, lśniące, łaskotne z rusałczym szmerem rozkoszy... Ale po nad tém wszystkiém przebiegał eteryczny powiew uczucia i reszty przebrzmiałej miłości... Przebiegał, płynął, wytryskał w oku i kładł się w końcu boleśnym uśmiechem zawodu na wędniejących koralach ust...

W piersi mi się serce scisnęło, żal, okrutny żal oblókł je całe, alem jój jeszcze nie potępił. Kochała— to dosyć, kocha—zbawiona...

I patrzyłem w jój oczy, odczuwałem cały ten dramat w którym się jój serce topiło, tę rozpacz co jój kazała szydzić już z uczuć i tę apatję ducha w obec cielesnego wesela. Łączyłem nic moich uczuć z jój gasnącemi płomieniami serca i chciałem jeszcze do życia nowego je rozdmuchnąć, bom wierzył w prawdę tego żaru....

O! bo spójrzenie jój błagało łaskil...

Ludzie mijali, patrzyli bezmyślnie lub pożądali zwierzęco, a jam kroczył wciąż za nią i jednogom tylko jeszcze, jeszcze jednego, ostatniego spójrzenia od niej oczekiwał...

Przed nami jakaś ulica, zaułek a wreszcie drzwi w które weszła....

— Spójrzenia! po raz ostatni spójrzenia, męczennico miłości!—zawołałem zabiegając jój drogę.

Spójrzała...

Hal... od jęj oczu popłynął strumień—strumień z samej głębi jęj istoty w którą piérw zajrzéc nie śmiałem—strumień cuchnącéj kałuży...

Spójrzała z prawdą.

O! po raz piérwszy wziąłem zwiérciadło oczu co odbijało w sobie cały świat uczuć ludzkich za samą tych uczuć istotę.

28. IV. 1869.

XI.

PO GRUZACH RZYMU.

Guarda com'entri e di cui tu ti fide:
Non t'inganni l'ampiezza dell'entrare...

Inf. V. 19.

Nazajutrz po przyjeździe do Rzymu, wyszukawszy na planie przewodnika jaki miałem pod ręką, pewien punkt, który przedewszystkiem a może i jedynie chciałem ujrzeć w tak zwanem wiecznem mieście, ruszyłem na *Corso* i puściłem się w przeciwnym kierunku od *Porta del Popolo*...

Nie lubię *cicero'nów*. Jeżeli mnie w czém nieobjaśni piérwszy lepszy planik miasta, wolę już błędzić sam i pytać grzecznych mężczyzn i jeszcze grzeczniejszych w takich razach kobiet, niż się zdawać na łaskę dwunożnych gwidów. Swoboda w czasie i kierunku więcej tu znaczy, niż szybko recytowane relacje płatnych oprowadzicieliów.

Ruszyłem tedy... Kilka kościołów na prawo i lewo, dalej plac nie sympatyczny, za nim ciasna ulica je-

szcze mniej pociągająca. Dotąd nic niema... Idę pod górę wśród kramów woniejących stęchłemi owocami i warsztatów szewców ulicznych. Tam kupa śmieci, tu stajnia od frontu, a przedemną...

Architraw łuku Septyma Sewera błysnął mi przed oczami.

Byłem na *forum*.

— No, otwórz oczy szeroko—rzekłem do siebie—masz przed sobą coś chciał zobaczyć... Podziwiaj!

Wszak znacie doskonale minę człowieka, który pierwszy raz coś ogląda? Jest-to mina tak naiwna a charakteryzująca się tém głównie, że w niej oczy i gęba współubiegają się w rozdziawianiu, że zbytęcznym byłoby opisywać jakem wyglądał obserwując wszystko, cokolwiek kwalifikowało się do kupy gruzów. Ciekawszém téż jest wewnętrzne wrażenie, które zawsze bywa *sui generis* w każdej z osobna jednostce.

Po pierwszym ogólnym przeglądzie, przystąpiłem do podziwiania szczegółów. Po z mordowaniu się szczegółami, myśl mi się znowu zwyłem prawem swojego biegu podniosła do generalizowania. Potém zaczęła docierać pewnych dla siebie wniosków... Dalej przeszła na pole ogólnych definicij, aż wreszcie, a zawsze zwykłym prawem popadła w pewien rodzaj rozprzężenia i zdewagowała w krainę marzeń, według jednych, a chaotycznej perceptywności zpokrewnionój z bezmyślą, według drugich.

Słońce poczęło zbliżać nacięrać, kurz w gardło się tłoczyć, a nogi ze znurzenia uginąć się podemną..

Via sacra zaludniała się żołdactwem i żebrakami, a drzwi i okna domostwa wyziewały woń rozmaity i hałas niezrozumiały...

Po jednéj jój stronie szereg warsztatów kołodziej-skich i składy gratów rozmaitych, a wpośród nich i na nich mężczyźni i kobiety głośno rozprawiający. Na środku ulicy kupa dzieci wrzaskliwych, dalej kilku farnien-

tyzujących romulidów, na rogu z założonemi rękoma z *cigarettem* w ustach, cząstkowy handlarz tabaki, obok pomarańczarka z pomarszczoną jak wysłużony kapciuch twarzą i wreszcie zwolna przesuwany się dwukołowy przez pierwszych latynów jeszcze używanej formy wehikuł, zaprzągnięty w osła...

A szeregi obtłuczonych kolumn zczem z góry spoglądały na to wszystko i pytały siebie:

— Po kiego djabła my tu jeszcze stoimy?...

Wyostałem z kieszeni kilka bajoków, z których zaraz jeden przeszedł do wyciągniętych łapsk umorusanych bambinów, przeczuwających we mnie forestiera, kupiłem zeszlą pomarańczę, a odświeżywszy nią usta, zapaliłem cygaro i ruszyłem dalej na zwiedzanie a po-dziw.

Minąłem na prawo ponury pałac Cezarów, na lewo mizdrzący się szkielet świątyni Pokoju, podlażłem pod uśmiechający się jeszcze łuk Tytusa i pochyloną drogą podążyłem do sławnego amfiteatru, który mi zdala przed oczami zaczął się ukazywać. Obiecywałem sobie tam zaczerpnąć z samej głębi moich wrażeń... ba! obiecywałem sobie i drugie, a mianowicie, palnąc szumną apostrofę na progu osławionego rumowiska.

Ale na progu, zanim zdołałem zebrać myśli i oczy we właściwem i odpowiedniem tymże myślom miejscu ulokować, wzrok mój padł na dwa przedmioty jak najzupełniej nie harmonizujące z tém pięknem mojem przedsięwzięciem. Pierwszym z tych przedmiotów była błyszcząca stal bagnetu utkwionego na karabinie spoczywającym na ramieniu przechadzającego się przy wejściu do wnętrza amfiteatru żołnierza... Drugim, zarysowujący się w perspektywie, a stojący w środku areny...

Zaprawdę! zabawni jesteście. Jeżeli coś spostrzeżem lub usłyszę tego, śmiesznie a drażliwie, na ból zakrawająco zrobionego lub wypowiedzianego, wtedy nam zaraz na myśl przychodzi Hejnowska ironja... To wy-

gląda tak, jak gdyby ten Hejne był już najdoskonalszym wyrazem piekielnych gwizdów i skrzywów. Fałsz! dalibóg. Są rzeczy na świecie z pozoru tak naturalne, tak proste i zwyczajne, że niepodobna ich o nic podejrzewać, a jednak w danej chwili i miejscu, rzuciwszy na nich wzrokiem cokolwiek pod innym kątem od powszechnie przyjętego, trysną one nieraz takim szatańskim szyderstwem, że się przelekli w tył zwykliśmy cofać i co żywo wydostajem z naszego mózgu konwencjonalnego kluczyka, aby właściwie znowu wzrok sobie nakreć.

Zkwitowawszy się tedy z obiecywaną apostrofą, wszedłem do wnętrza cyrku.

— Wrażen teraz już nie otrzymam—mówiłem sobie—powrócę tu po nie wieczorem... przy świetle księżyca, tak malarze i poeci radzą w ogóle, na teraz zadowolnie się rozważném obejrzeniem i pójdę dalej.

Obeszłem do koła kolumnadę, wdarłem się po wyszczerbionych wschodach na piętro, obpukałem mury i sklepienia podziemne laską i zliczyłem kroki wzdłuż areny... Na batystowej chustce do nosa rozłożonej na stopniu jednej *stanzy* siedział jegomość jakiś z grubą książką w safjan oprawioną—po jasnych bokobrodach i sztywnym kołnierzyku, poznałem flegmatycznego albjonczyka. We wnętrzu jednej z arkad przed stalugami na składanym trójnóżku jakiś uczeń Delarocha malował złomek omszałego sklepienia, bez względu na to, że zbyt jasne światło południowej pory odjęło mu cały koloryt jaki tylko zwaliska Rzymu przy zachodzącém słońcu dać mogą... Dalej kilka osób z wniesionými głowy i głośną rozmową, a po za murami kilkunastu urwisów grających w wolanta.

Nie było co robić. Odczytałem jeszcze wszystkie napisy ulokowane gdzie tylko można było po murach przez chcących pozostawić po sobie pamięć za pomocą ołówka wojazerów, i wyszłem wreszcie boczną arkadą,

udając się na lewo po pod łuk Konstantyna, aby odszukać ów *Circus maximus*, który był oznaczonym na moim planiku, a z którego mimo to, ani jednego kamienia odnaléźć nie mogłem.

Pozostawały mi jeszcze łaźnie Caracalli i groby Scypjonów. Haniebny kawał drogi! Westchnąłem za omnibusem i *per pedes* ruszyłem w drogę, bom koniecznie jednego dnia chciał sobie wszystko główniejsze zkompletować w mojej wyobraźni.

Dążąc drogą prowadzącą do *porta latina*, na prawo, cokolwiek od niej, znalazłem owe termy. W bramie przyłącza się do mnie przewodnik, prowadzi do odkopujących się (dopiero!) zapadłych sklepień, zwraca uwagę na mozaiki wyścielające pochyły spód zbiorników wody, wskazuje jakieś z białego marmuru bez głowy i rąk popiersie i w końcu ofiarowuje mi kawałek tarzającego się porfyru... Ja podziwiam grubość tych sklepień i fundamentalność murów ostałych się dodad, podziwiam jeszcze więcej możność ich zawalenia się, a najwięcej, że były takie czasy, iż na to pozwolono; wsuwam mu franka do ręki i nie czekając widoku kwaśnej miny *cicero*'na w skutek tak małego datku, wymykam się po za obręb rumowisk.

Po godzinnéj drodze, pilném rozglądaniu się a rozpytywaniu rzadkich przechodniów, odszukuję *Columbaria Augusta* i Antoninów. Otwierają mi się drzwi czworograniastego budynku, schodzę wewnątrz po wąziutkich schodkach, widzę do koła szeregi maleńkich nisz, jak okienka gołębnika, a w każdéj z nich zagłębienie w kształcie kociołka na angielskiej kuchni przykrytego pokrywką z *terra-cotty*. Tam znowu dostaję szczyptę popiołów, które z czcią przynależną chowam do sakwojażu, wychodzę z poważną miną, wzdycham spoglądając na smętnie stojące samotne *invisas cupressos* i puszczam się dalej, koniecznie do...

— Sepulcra Scipionum.

Brzmi napis nad furtką osadzoną w długim murze. Dzwonie raz, drugi i dziesiąty — wchodzę do małego ogródka, pytam się o możność zwiędzenia i w chwilę potem poprzedzony dwiema kobietami, niosącemi zapalone woskowe świece, a i sam jedną obdarzony, włączę w tym gromnicznym pochodzie do jakiejś piwnicy — słowo daję, że do piwnicy, która niegdyś była nad powierzchnią, dziś pod ziemią. Mury puste, czasem jakaś wnęka lub kamień zapisany na poły zatartemi głoskami, wreszcie czeza jama, z której sarkofak został przeniesiony do Watykanu. Oto wszystko...

Groby Scypjonów! A jam się tak pieścił marzeniem tego, com miał ujrzeć... Byłem nie daleko sławnej *via Appia*... Basta! zawracam, Colisseum musi mi za to wszystko wynagrodzić.

Rozłożyłem parasol, aby uniknąć spieki i ociążałym krokiem z iłem w ustach, a ołowianą myślą w mózgu począłem dręptać z powrotem.

Spocony, zakurzony i zmordowany padam nareszcie na marmurowy, udrapowany kadłub jakiś, spokojnie wylegający się we wnętrzu amfiteatru. Powiodłem wzrokiem do koła, anglik jeszcze siedział na swoim miejscu, malarz zniknął, zresztą pustka, a tylko w powietrzu ciężał war południowego upału i rozlegał się odgłos trąbki wojskowej wprawiających się w pobliżu wojaków, mających kiedyś wystąpić przeciw bezbożnym pokuszeniom nowego Cyncynata z Caprei... Schyliłem głowę, przymknąłem oczy, myśl mi się wymknęła ze sznurówek konsekwencji i popadłszy z razu w półsenne rojenia skończyłem na pełnym śnie sprawiedliwego....

A tymczasem olbrzym Flawjański począł się zaludniać, ruszać i gwarzyć... Piętra amfiteatru migotały głowami i łyskały ciekawymi oczyma... Arena oczyszczona, pusta oczekiwała czworonogów wściekle miotających się kraty zagrodzeń...

Naraz głośniejszy szmer powstał w tłumie, później jeden przeciągły zabrzmiał okrzyk...

Sprośne oblicze Heljogobala ukazało się uszczęśliwionemu ludowi...

A czereda moriturów przesunęła się po pod jego tronu podnóżkiem i zasalwowała ochrzypłym rykiem, któremu zawtórowało stado gibkich mieszkańców równika, w tej chwili wpuszczonych na arenę...

Był-ta prolog.

Gładjatorowie po tej przegrywce rozdzielili się we dwa oddziały—nie było już ludzi i zwierząt, zostały same bydłeta...

Lud począł się ciekawie przyglądać...

Patrzałem tylko na niego. Ta stutysięczna czerń rozszalała widokiem krwi i odgłosem jęków wydobywających się z stygnących piersi zwyciężonych, co chwila swoje wielkie palce zniżała ku dołowi—co chwila jedno życie nikło z tego tłumu...

Aż nareszcie jeden z zwyciężonych wrywa się z pod tłoczącego mu piersi kolana, wskakuje na wierzch jednej z klatek, wyciąga swoją skrwawioną dextrę do nieba i rozpaczonym głosem poczyna coś prawić do ludu...

Począłem mu się przyglądać... Ubiór jego wcale nie był podobnym do tuniki gładjatora—zamiast tarczy w lewicy, trzymał otwartą książkę; zamiast żelaznych łańcuchów, którymi miał krępować zwalzonego przeciwnika, zwieszał mu się u pasa biały sznur; zamiast atlety spostrzegłem tęgiego bernardyna...

Tłum zniknął z pięter amfiteatru i zeszedł na arenę; Heljogobal dotychczas siedział na batystowej chustce pod jedną *stanzą*, a w powietrzu brzmiały dobitne, gwałtowne, pełne żółci wraży głoszonego kazania...

Potem odgłos dzwonków, potem jeszcze monotony śpiew, nakoniec pochód do koła areny...

Uciekłem na kurytarze, gdzie już spotkał angi-
ka naciskającego sobie lepiej cylinder na głowę.

Stał przedemną, spójrzył mi bystro w oczy i łam-
maną z angielska łaciną cisnął mi zapytanie:

— *Spectatum admissi...*

— *Risum teneatis, amici?*—dokończyłem podając
mu swój bilet wizytowy.

— Słuchaj pan!—rzekł do mnie chwytając za rękę—wszystkie prawodawstwa naznaczają kary za obelgi, zniewagi i potwarze publiczne... Jest-to najgłupszy punkt kodexów... Czcze słowo! jak wiatr je niesie, tak i z wiatrem, do diabła! powinno sobie lecieć gdzie mu się podobą. Tylko sąd ciemnego motłochu, może się na tym wietrznym fundamencie sadowić. To moje zdanie. Gdybym mógł, wykręśliłbym wszelkie kary za słowo... Jest to nonsens, mówiąc między nami. No!—mówił dalej ściskając mi rękę—no, ale kiedy tak im się zachciało, żeby kamienować gębę za pusty głos co się z niej wy-
dostanie, niechże u diabła, urzynają już wszystkie języki, które w *czemkolwiek czemukolwiek* ubliżają... Zkąd ta preferencja?... Czy (dla tego, że trup nie może się odezwać i plunąć im w oczy?... To nikczemne!..

— Prosta większość głosów, której prawa wy-
piérwsi, synowie Brytanji, popiéracie—odpowiedziałem—
smutna wprawdzie, ale konieczna. Nie tłum dla jedno-
stek, ale jednostki dla tłumu. Nie przekonania pojedy-
nyczych, ale zdanie ogółu probierzem i miarą téj zie-
mi. Zresztą ta dziecinna preferencja, to jedyna uciecha
jego; jeżeli mu dumne jednostki nie chcą przyznać słu-
szności, to przynajmniej możność naigrawania się i znę-
cania nad tém co upadło i leży bezsilne niemo niejako
zdaje się potakiwać. Każdy szuka approbacji swych
przekonań i czynów: lud nie mogąc jój znaleźć w ustach
swoich lepszych, doskonalszych i przynoszących mu za-
szczyt wychowawcach, zwraca i musi się kontentować

deптaniem tego co zgasło, inaczej mówiąc, pozorną swoją żyjącą wyższością nad umarłym...

— A więc możemy spokojnie na to oczekiwać jak po zniszczeniu i zohydzeniu przeszłości zwróci się do nas samych i zażąda approbacji lub życia?

— A chociażby?... Pominawszy, iż to nie możebnym jest, ponieważ nigdy postępujący naprzód ogół nie może rzucić się na swój własny, lepszy a więc ukochański plód—chożby nawet skręcił kark własnym dzieciom, to i cóżby w tém tak dziwnego i złego być mogło? Jeżeliby skręcił, to śnać potrzebne mu to byłoby, śnać zaguba nasza konieczną byłaby dla jego dobrobytu, nas jednostek dla ogółu, części dla całości, konieczną, powiadam, bo jeżeli pojedyncze indywidua zatraciły już swój instynkt, prowadzący je bezwiednie ku temu co im pożyteczne, to ogół jeszcze i pono na zawsze go zachowa dla siebie, i dopóki istnieć będzie, instynkt ten zostanie dlań jedynym naturalnym prawem a przepisem i drogokazem w pochodzie ku ciągłemu doskonaleniu się.

— Hm! a pocóżes pan skończył frazes Horacego, który mu chciałem powiedzieć?...

— Skończyłem między nami i dla nas. Tam, na arenie, przy bernardynie, wśród tłumu, piszę się na każde słowo kazania, i gdyby panu chciano zrzucić kapelusz z głowy, wrazie zuchwałego pozostawania nakrytym wśród nich, słowo daję, że nie pośpieszyłbym mu na obronę...

— No tak, i jabym pono nie stanął do walki za prawdę i nie chciałbym odnawiać popisu gladiatorów, zaiste! którzy mieli onego czasu daleko łatwiejszą sprawę z dzikiemi zwierzętami, niżbyśmy—to my przedsięwzięli z na pół barbarzyńskim plepsem tegoczesnego Rzymu...

Widząc wyłażącą już zwykłą dumę z pod angielskich kołnierzyków, złożyłem im ukłon pożegnania.

Po raz drugi Colisseum już mnie zawodziło, ale słońce poczęło się schylać ku zachodowi, śpiewy wewnątrz amfiteatru ucichły, nieznosna *exercytka* pobliskich trębaczów ustała nareszcie i—raz trzeci wróciłem do środka cyrku.

Arena była pusta i cicha...

Oko moje obiegało ją do koła, przeskakiwało szybko *stanze*, ażeby myśl mi mogła swobodnie i bez przeszkody wrócić na przeszłość... Widziałem tylko mury zczerniałe lub lśniące tęczwami barwy w blasku zachodzącego słońca, widziałem je z razu obtłuczone, szczerbate w bolesnym skrzywie spoglądające w błękit... Zwolna zdawały się wypełniać, przyrastać, aż wreszcie jednym, równym kręgiem zatoczyły się na ciemnym sklepieniu nieba... Piętrzące przedziały zdawały się symetrycznie zestawiać swoje ściany ze sobą, kolumny na nowo przywdziały swoje kapitele, a w okół, w zmroku pośród nich panującego, poczęły się wylaniać posągi...

W wyobraźni mojej to arcydzieło sztuki rzymskiej stanęło w niepokalaną, pierwotną swoją całości i pięknie.

Po co ono?... Próżność jednostki dała mu życie i zaślubiła głupocie ludu. Próżność dobrze trafiła: głupota dała jej poklask, ale mędrsza czy tylko też sama na inny sposób potomność, później bezmyślnie znieważyla jej podarek, by znowu dzisiaj wdzięcznie się odplacić podziwem—więc znowu poklaskiem, *et idem alio modo...*

A ten podziw, ten podziw? Czy i bobry i pszczoły i mrówki także podziwiają swoje budowle? Zapewne—głupi wróbel tak dobrze admiruje swoje niechlujne gniazdo, jak faraonowe piramidy a niemcy wieżę kolonską. Podziwiają bo własne, więc rozumiały, a gdy nie własne to nie pojmują lub korzą się i obawiają—one, zwierzęta... Podziwiają bo człowiecze, więc gwoli

ich rojeń, a gdy nie człowiecze, to gardzą lub zdziwieni, ale już z przestachu, przełękli drżą przed własną nieświadomością, formułującą się w szlachetny, choć niepewny, rozsądny znak zapytania, albo w nikczemne, podłe uznawanie niepojętej wyższości—my, ludzie... Czém lepsi?

Podziwi!... Według jednych, człowiek różni się—koniecznie? jakżeby nie! to jedyna jego pociecha—różni się więc od zwierząt rozumem, a na dowód tego w zoologicznych gabinetach pod szkieletem potomka mieszkanców puszczy afrykańskich, przylepiają kartkę z napisem: *homo sapiens*... Według drugich, wznioślejszych, czy nadętszych, różni się posiadaniem na wyłączną własność całej duszy ze wszystkiemi przepięknymi atrybutami, a nadewszystko z możliwością jej wyłączenia z ciała jak z futerału, a to w szlachetnym celu peregrynacji w otchłanie niebios lub stołowe nogi... Według innych jeszcze, prócz tego wszystkiego, człowiek jeden tylko chodzi z gwiazdą absolutnej prawdy na czole i ma władzę ostatniej instancji w sporach tej ziemi, ba! nawet wszechświata. Ci najszczytniejsi. Historia rodu ludzkiego wskazuje, że ci ostatni najlepiej wychodzili, stosując swoją teorią w filantropijném przedsięwzięciu nakładania kajdanów na ludy... Według mnie—ach! wszakże pozwolicie mi skromnie wyjawić moje zdanie?—według mnie tedy, różni się, jeżeli już się ma różnić, tylko zdolnością szerokiego otwierania gęby, wystrzeżenia oczu i w padającego w idjotyzm zagapienia się. Nie sądzicie, iżby-to były kpiny jakies lub naigrawanie się z bozkich przymiotów człowieka danych mu w zapas na smętną wędrówkę żywota—myśl tak zbrodnicza, ubliżająca światu całemu daleka odemnie. Podziw, jakkolwiek forma w jakiej się zwykł przejawiać, może być niezbyt zachwycająca, jest rzeczywiście nie lada atrybutem człeczój mózgownicy i, dalibóg! istnienie jego wywołuje skutki, jakichby ani przypuszczać nawet niepodo-

bna było z tak niepozornéj danéj. Podziw, to przede-
 wszystkim możność przyjęcia czegoś z zewnątrzności—
 więc życie. Dalej, możność przyjęcia czegoś i zatrzy-
 mania dla siebie, nie tylko tego co ku odży-
 wieniu ciała służyć może—więc zarodek uczucia subtel-
 niejszego, będącego kolebką myśli, która tysiąca wie-
 ków doświadczeniem kołysana, wyhodowała pomysły
 genjuszów, na których ludzkość dziś jak na granito-
 wych podwalinach oparta, buduje coraz wyższy, piękniej-
 szy a pożyteczniejszy sobie gmach wiedzy.... Tak, ten-
 to głupi, prostaczy podziw jest węgielnym kamieniem
 duchowego życia całej ludzkości—on macierzą zastana-
 wiania się, kombinacji, myśli i twórczości w końcu. Tyl-
 ko... Bo widzicie, wszystko dobre, ale w miarę. Po-
 dziwiajmy, rozbiérájmy, myślmy i twórzmy, ale to co
 warte tego podziwu i myśli, to co jeszcze nieznané i ta-
 jemnicze, nigdy zaś co przeszłość już wykończyła zło-
 żywszy na nié swój patent doskonałości. Możem sza-
 nować jéj dzieła, skłonić się wytrwałości w ich doko-
 nywaniu, i, co najwięcej, dołączyć tylko jéj zasób wie-
 dzy do naszéj, aby razem coś większego pozostawić
 przyszłym pokoleniom. Oto wszystko. Ale zkąd ta
 bałwochwalecza cześć i nietykalność dla przeszłości? Zkąd
 w patrywanie się w nią jak w najdoskonalszy wzór pię-
 kna i wykończenia? No, bogiem a prawdą, to cokol-
 wiek przeholowane gapienie się i zbyt szerokogębny po-
 dziw. Sztuka starożytna, naprzykład, bez wątpienia
 może być doskonałością *sui generis* sama w sobie wzięta;
 może być nawet już ostatniéń słowem swojego rozwo-
 ju—dla siebie, dla takiéj, jaką idea starożytnych lu-
 dów zdolną była sobie wypłodzić; ale przystawiona do
 całej rozciągłości przez wieki ciągnącój się myśli czło-
 wieczéj, jest ona tylko jednym szczeblem, wprawdzie
 całkowitym i wykończonym, ale zawsze tylko szczeblem
 w drabinie postępu i doskonalenia się ciągłego. Nic do-
 dać i nie ująć nie można! Bardzo pięknie: nie dodać

i nie ująć nie można w sztuce starożytnej, w swojej całości wziętej; żadnych poprawek na jej dziełach robić nie należy, ale wiele przydać i jeszcze więcej odrzucić można i potrzeba w tej sztuce, jeżeli ma być do nas zastosowana i służyć nam ku pożytkowi ciała a ducha. Żkąd to niewolnicze trzymanie się przepisów symetrii i stylu sztuki, na przykład, greckiej? Żkąd nadciąganie naszych potrzeb i skali naszych pomysłów pod obejm korynckich kapitelów lub szerokość jońskiego architrawu?... Zaiste! zostawmy sztukę grecką w spokoju, nie mąćmy jej snu dziewiczego, nie przeflancowujmy jej z rozkosznej ziemi południa na nasze wydmy północne, a raczej sami postarajmy się o coś swojego, dla siebie, a zgodnego z nami i myślą naszą, która w każdym razie, jeżeli pozornie nie równa się pomysłom starożytnych, to nigdy od nich niżej, względnie do potrzeb naszego klimatu, życia warunków, rozwoju i stopnia wiedzy, nie stoi. Zostawmy czezy w tym razie podziw zatabaczonym mółom wszystkiego co stare, a sami zwróćmy się do siebie i pomyślmy w sobie i dla siebie.

Przez rozpadlinę omszonego muru zwolna skradający się księżyc przypomniał mi gdzie jestem. Zajrzał on ciekawie do środka cyrku i łagodnym swoim blaskiem zmienił wejrzenie pustej ruiny...

Równy cień blednącego dnia począł się łamać i tężyć po zaułkach rumowisk, gdy reszta przybięrała trupie wejrzenie...

Krzyż na środku areny stojący, rzucił długi cień po za siebie i zdawał się rozcinać na dwoje znekany pomnik przeszłości...

A przez mózg mi przebiegło ostrzem zapytanie: dla czego zawsze przeciwność staje na zawadzie w spokojnym dokonywaniu naszych dzieł? dla czego sami umyślnie sobie stawiamy niemożebność a przeszkody w postępie i gwałtem zrywamy naturalną harmonją lub łączymy z sobą i zmuszamy do wstrętnej zgody pomy-

sły o wręcz odrębnej sobie naturze charakteru? dla czego wreszcie nie dozwolono nam nigdy dojść do pożądanego spokoju i jasno nakreślonej w przyszłości drogi?....

— Non è permesso...

Zabrzmiała mi odpowiedź nad uchem i spostrzegłem przed sobą papieżkiego żuawa, żądającego odemnie albo biletu pozwalającego przebywać noc w amfiteatrze, albo natychmiastowego opuszczenia miéjsca.

W Rzymie nawet marzyć nie wolno, jeżeli się nieotrzyma na to approbaty papieża.

30. V. 1869 r.

XII.

ZERWANA KWINTA

JEDNA FUGA Z SYMFONJI SPOŁECZNEJ,

SPISANA W GOCZINIE NUDÓW.

.....velut aegri somnia, vanae

Finguntur species, ut nec pes, nec caput uni
Reddatur formae.*Ars Poetica.*

Dészcz i błoto, w dodatku zmiérzch, a ja sam jeden... Co tu robić? Cycero, ten głupi retor, jak go ktoś łaskawie przezwiał, przez kanciasty nos swój, jakim go Rubens obdarzył, w lapidarném zdaniu, ale rzeczywiście kamienném do wykonania, podaje radę, że jak on to się czuje jak najmniej samotnym, właśnie wtedy kiedy jest sam... Jaka szkoda, że o tém osobnego traktatu nie napisał... Snać za jego czasów Rzymianie nie musieli się nudzić jak my, nieszczęśliwi wychowawcy pary i telegrafów. Dawni mało mieli czasu, chociaż go wcale nie

starali się skracać; my djabelnemi wynalazkami skróciliśmy go umyślnie o dziewięć-dziesiątych a narzekamy, że go tak mało... To brak konsekwencji... Uu! konsekwencji... już mię szczęki bolą od poziwiania.. o czém to ja myślałem? o konsekwencji... hm! to konsekwentnie niéma o czém myśleć... Chyba... nie! Ale, bo prawdę mówiąc, to także manja *sui generis* ta konsekwencja. Zkąd u djabła zległa się w człowieczeńj mózgownicy? Wszystko u niego musi być konsekwentném a co niby z nią nie kwadruje, to podejrzané... można dostać miły epitet dziecka albo półgłówka, jeśli nie co więcéj. Piękna sprawiedliwość! dla tego, że mi się nie chce wprzęgać w sznurówkę logicznych prawideł, że mi się niepodobna ścisnąć fiżbinami syllogizmów i dusić brykłą generalizacji, że sobie puszcę samopas na bezbrzeżne pole assocjacji idei, zwykłą dzienną, strzeżoną i mordowaną jednokorytność moich myśli, to za tę niewinną igraszkę mogę zostać kwalifikantem do domu warjatów... No, jeżeli warjatami takich porobiono, to rzeczywiście ubolewam nad ich losem. Biedni wolnomyśliciele! dla tego, żeście nie mogli ściérpieć logicznych kajdanów dla swoich pomysłów, wsadzono wam kaftan na ciało... To się nazywa tolerancja XIX wieku! Dziewiętnaście, a czterdzieści... przypuściwszy, że żydowski demagog nie skłamał, to sześćdziesiąt... No! podobno w całej téj kolekcji sześćdziesięciu wieków, składających życie tego pieszczocha co się zowie człowiekiem-ludzkością, nie znajdzie się drugi wiek-pyszałek, podobny naszemu... Chybaby, jego poprzednik, ten blagier i tchórzliwy bigot, co bluźnik Bogu przy słońcu a po ciemku paciorki odmawiał—godny ojcaszek naszych czasów... Feuerbacho-mormońskich. Mieszanina, eklektyzm, młodzieńcze rzućanie się ku wszystkiemu i na wszystko, a zwłaszcza brak jakiegóś jednej zasady, normy lub probierza, to cecha naszego wieku i to właśnie zowie się w nowoczesnym słowniku pojęć—dójrzałością... Uu! nadęty samochwał...

A powiedz mu to głośno, to wprawdzie na stos cię nie pośle, bo mu już wstyd jakoś takich ojcowskich środków na przenicowanych słowach Jezusa o walczeniu *słowem* tylko opartych, ale w zamian jak ci nie tryśnie całym lexykonem o postępie, wiedzy, równouprawnieniu, wynalazkach i djabłach rozpartych, to cię gotów całego zagrzebać w opinji publicznej, a w najlepszym razie, jeżeli się z tego wszystkiego wydostaniesz, to ci niestarte piętno na czoło wyciśnie, żeś zacofany, niemający pojęcia o wymogach cywilizacji tegoczesnej i jedném słowem... ba! kwitną i mnożą się coraz więcej Bonifratry, Bicetre'y i Niedham'y... lepiej milczeć... *si tacuisses...* dobra rada; kilkoletnie milczenie Pytagorejczyków miało swoją zasadę, a nawet owa, po tej djetce języka, niezależność... *in verba magistri*, zdania, także była nader praktyczną—społeczeństwo niepotrzebowało obawiać się szkodliwego dla siebie nowatorstwa... Widać, że nowatorstwo to pięta Achillesa wszystkich od najdawniejszych czasów społeczeństw. Unikają go jak morowej zarazy... Al! myślałem o XIX wieku... nowy dowód jego mądrości: wydaje miljarde na Amstrongowe bawidelka, wyszukuje jak najtańszego a najlepszego sposobu uprzątania ludzi ze świata, zakłada towarzystwa opieki nad zwierzętami i spokojnie dozwała trzebić Europę chole-rze... no! głupi jestem, ale do pioruna! wołałbym przecie choćby połowę tych pieniędzy obrócić na osuszenie bagien nadgangesowych, które nam rok-rocznie podarunek zaraźliwych miazmatów nadsyłają, niż zakładać linę telegraficzną lub kolój pod oceanem między Europą i Ameryką, dla tego tylko, ażeby natychmiast się dowiedzieć, co to tam nagadał mądry szewc czy krawiec obrany świeżo prezydentem... Ooo! jacy... oom! a cóż u diabła, czy dziś nie przestanę poziwać?.. jacy oni zabawni!...

Ach! jakie nudy... gdyby tak można nauczyć się nic nie myśleć? byłby to dobry interes, rzeczywiste szczęście. Mnie się zdaje, że ów złoty wiek starożytnych

a raj Hebrejów, to nic więcej jak pierwotna, zupełna bezmyśl naszych protoplastów... nikt nie słyszy, mogę powiedzieć... Duchailu'owych goryllów... a owo drzewo wiadomości, to pierwszy przeblysk myśli, który nas na zawsze pozbawił rozkosznej bezwiedzy. Zaiste! to nieodżałowana strata... Jeść, pić, kochać i spać, to cztery elementa życia istot organicznych. Dziś, nabiwszy sobie głowę urojonym postępowaniem w nieskończoność—panowie Bayle i Vico niemacie głosu!—wstyd nam się przyznać do tych zwierzęcych warunków wegetacji, chociaż, po cichu, na ucho przyjacielowi, w dobrym humorze mimowoli zdradzamy się z tej czci dla tych czterech miłutkich funkcji naszego ciała.. Człowiek to κατ' εἰσοχίην obłudne zwierzę. I do czego prowadzi ten fałsz? durzą się nawzajem, wrzeszczą o ideałach, o krajinach ducha, a potem wszystkiém, cichaczem, zwalając na konieczność brutalnego prawa natury, wracają do babrania się w zmysłowości, różniąc się tém tylko od zwierzęcej, że wyrafinowańszej w postępowaniu i wyszukiwaniu rozkoszy... Zarozumiałość, to drugi piękny przymiot człowieka. Nawet wtedy gdy filozoficznie niby przyznaje sobie, że nic nie wie, to tylko dla tego to robi, ażeby tém większym się okazać i pokazać do jakiego-to on już stopnia rozwoju doszedł, skoro aż sam, po tylu wiekach doświadczenia, w pobożnej, genjalnej swojej skromności, przyznaje sobie nieświadomość. Niezręczny blagier!... Chciwość, to trzeci przymiot i korona dwóch pierwszych. Nie masz drugiej istoty pod słońcem tak nienasyconej jak ten lubieżny dwunóg.. A jednak, musi on widać poczuwać w sobie te wady, skoro je wszystkie zawsze stara się usprawiedliwiać... wprawdzie często-kroć dość zabawnie i niefortunnie. Ponieważ chciałby wszystko co widzi posiadać i użyć, nazywa to koniecznym, leżącym w naturze jego ducha postępowaniem i rozwojem; ponieważ często sierzdzi się i wścieka jak najzwyczajniejsze bydlę, utrzymuje, że to są walki, które ludzkość

musi przechodzić w wyrabianiu sobie plemion przodkujących w cywilizacji i sile tak materialnej jak i moralnej; ponieważ roją mu się niestworzone rzeczy po łepetynie a do ładu z niemi przyjść jakoś nie może, dowodzi, że to właśnie cecha jego wyższości nad innemi istotami téj ziemi i, że te senne roidła to duch jakiś nie z tego świata, którego on sam pojąć nie zdolny... No, szczerze się przyznam, iż nie znam nad to dowcipniejszej apologji żądry i głupoty. Ale gdzieżem-to zabrął?... fi! najczystszy a raczej najbrudniejszy materializm wyłazi z tego wszystkiego. Otóż-to skutki puszczenia myśli na wolę i wlażłem tam, gdzie-to po jednej stronie stoi sobie fixum a po drugiej ojczyzna bydła, jak go zowią idealne, po śniadaniu, istoty... Wracam, wracam—a dokąd? Ba, kiedy nie wiem zkąd wyszłem... Myślałem coś... o telegrafach... cholera... nie! jeszcze coś przedtém... o Cyceronie... hm! jakieś zbyt śmiałe przejście, czy mi się czasem w głowie nie pomieszało... a! myślałem także o obłąkaniu—po co? przecież niemyślę zostać Flourensem... w każdym razie, to tęga głowa, ale i on podobno w końcu... hm! widać obłąkanie to stan zaraźliwy, można nawet przez obserwacją innych zostać samemu fixatem... ztąd sens moralny, że lepiej zawsze patrzeć na ogół niż jednostki, boć jeżeli już ten pierwszy będziesz naśladował, nie potrzebujesz przynajmniej obawiać się, iżby cię nie zamknęli w szpitalu. Choć znowu z drugiej strony, i pozostawanie wśród niego, wielce podobnym do obory... indywidualność umyka gdzieś za góry i lasy... Szczególniejsza rzecz! jak-to się wszystko w tém ludzkim społeczeństwie powtarza i naśladuje... sama nawet mowa, obyczaj, nawet kierunek myśli, pojęć i jakość, ważkość... wszyscy siebie imitują nawzajem... małpują, powiedziałbym, ale to brzydki wyraz, obraźliwy, niedyskretnie przypominający parweniuszowskie pochodzenie człowieka... W każdym razie, to godny zastanowienia dar jego; prócz czteroręcznych (zawsze można

uniknąć drażliwych porównań, nieprawdaż?) nie znachodzi się w żadnym zwierzęciu tak bardzo rowinięte nadsładownictwo... no, papugi z ptaków, a więcej? Zawsze mi cміrze pogłowie jakieś powinowactwo człowieka z.... O! jaki-to wpływ kursujących pojęć z téj spaczonéj szkoły dzisiejszych materjalistów... A téż djabli nadali Darwinów, Vogtów, Büchnerów... tak zdiérać maskę... to niegrzecznie, choćby ze względu na tę płeć piękną, tak idealną!.. nawet nieuczciwie, bezbożnie wreszcie, i tak już ludzie sami przez się dosyć się zwierzęcą, po cóż więc jeszcze wyprowadzać im genealogją z afrykańskich lasów, do praktyki dodawać powagę teorii? Jestem pewny, że niezadługo zjawi się jaki mądrala, co odkryje jeszcze coś prostszego od protococcusa i czarném na białém dowiedzie, że niéma granicy między organem a nieorganicznými tworamí, że konsekwentnie biorąc ani organicznych ani nieorganicznych istot wcale niéma, że wszystko to jedno i toż samo, że kamień to człowiek i nawzajem, że coś tam jeszcze, i koniec końcem—nihilizm... i to dopiero będzie nowa wielkość człowieka, która przeczuwana niegdyś przez intuicją tylko, teraz faktami zostanie sprawdzoną...

Klitus bajduś!... No! nie wytrzymam dalej... Gdyby choć jakaś myśl, jakiś przedmiot nad którym mógłbym zastanowić się dłużej... Czy już znaleźć nic podobnego nie mogę?—Cós, coby mié zajęło... do djabła! jestem człowiekiem jeszcze, są granice dotąd materji od ducha, ciała od siły, zresztą każą mi być człowiekiem... No, pomyślmy po człowieczemu, uderzmy w najmilszą swoją stronę, byleby ciąg jakiś, ład, jedność miéjsca i czasu, według perypatetyckich przepisów—o czémby? Po co daleko szukać? Moje ja, moje ukochane, nieocenione ja wszakże może już mi dostarczyć niewyczerpanego materjalu do myśli... Objektywizm dobry był przy brzasku rodzącéj się myśli naszéj, czy to indywidualnie czy społecznie biorąc; dobry także i w naszym wieku zmienia-

jącym jednostki ludzkie w kółka tylko maszyny-natury... My weźmy się z niemiecka.. Tylko poczucie siebie, siebie jednostki i wiara w siebie tworzy i rządzi—*qui sibi fidit, dux regit examen...* Ufność w swoje ja wytworzyła Cezarów, Fichtów i Bajronów — do djabła i moja w moją osobistość powinnaby coś spłodzić.. Zacznijmy!

Lecz dość tego... Między nami
Nie wspólnego!.. Gardzę wami!

L. Sowiński.—Z życia.

To było ongi...

Ale przedewszystkiém pozwólcie na wstępie słówko.

Egoizm—o ba! nie zatykajcie zaraz uszu, przecieżem jeszcze nic nie powiedział; więc tedy—egoizm, jako taki (to dobre wyrażenie, nic nie znaczy, a jednak daje myśleć); w abstraktywném znaczeniu transcendentnych naszych pojęć, jest jednym z głównych czynników (tylko się nie chmurzcie) stworzenia a zarazem powszechném i konieczném prawem (a! rozjaśnacie wasze pocziwe oblicza) natury. Egoizm to główny motor i zasada bytu indywidualnych stworzeń; gdyby nie on świat dotąd pozostałby chaosem, jeżeli tylko i sam chaos nie ulegał egoistycznym popędom swojego istnienia. To jasne. Weźmy przykład—bodajto te przykłady! z pomocą nich każdy wszystko pojmie isadzę, że ludzkość, zważając na jój pojętność i postęp, nigdy nie zarzuci téj łopatowej metody nabywania nowych pojęć—weźmy tedy przykład: naprzód nie byłoby żadnych systematów słonecznych, które zasadzają się na wzajemném przyciąganiu się światów i pochłanianiu siebie; nie byłoby istot na ziemi, ich życia i śmierci (choć, co do téj ostatniej, jak dla nas, niewielka byłaby strata); nie byłoby następnie pewnego, określonego prawami natury, czasu trwania tychże istot na jój powierzchni: nie byłoby, co za

tém idzie, jedzenia, picia (co najgorsza, panowie gastro-
nomowie!), miłości (coby-to się bez niej działo? widzę
waszą rozpacz o Don-Żuani, kamelje i autorzy roman-
sów!), niebyłoby wypływem skutków, mnie, ciebie czytelniku i was (łaskil) panowie recenzenci; i wreszcie, nie-
byłoby na zasadzie prostej, bożkiej (po szympansie mó-
wiąc nawiasem) emanacyjności człowieczego ducha, tego
co chcę wam tu opowiedzieć.

A więc egoizm jest koniecznością. Jeżeli nią jest,
więc mam prawo, bez rumieńca używać jego przywile-
jów. Jeżeli mam to piękne prawo, więc będę mówił—
o sobie.

A teraz gniewajcie się wszyscy razem krytycy, wy-
toczcie proces niezbitój dedukcji, wołajcie, zem nie-
ciekawy etc. etc. etc.

Siebie opiewam!...

To było ongi...

Dwie krągłe ósemki lat, uwite z kwieciami spokoj-
nych domowych uczuć, poprzeplatane tęczowými wstąż-
kami marzeń o słonecznej przyszłości, skropione dzie-
wiczym, perłami spadającym uśmiechem, na srebrnym
obłoku nadziei, górą ponad zielonými łąki dobra, po nad
czarnými bagnami zbrodni niosły mnie-dziecię ku ży-
ciu... Zacząłem patrzeć...

W prostocie ducha sądziłem, że dość jednego po-
całunku, ażeby świat oddał mi wszystko, ażeby chycho-
czące do siebie gwiazdki nieba zsypać jak orzechy,
ażeby z promyków słońca uwić sobie wianuszek a jasną
tarczą księżycą poturlać po murawie. Prosiłem więc,
sięgałem dłońmi ku górze, ale gwiazdy śmiały się tylko
zemnie, promyki słoneczne z palców mi się wymykały
a jasnego kółka nocy nie mogłem dogonić. Chmurka
mi siadła na czole, zapatrzyłem się w błękit, pogniewa-
łem na jego światelka i obiecując sobie kiedy-indziej
uczęć z tych zabawek wyprawić, zawróciłem do ziemi.

Każdy miał swój wiek dziecięcy, ale nie każdy zrywał jego kwiaty. Bywają jedni, co mogąc bukiet z nich zebrać, acz zwiędły zachować ku wspomnieniu na chłodną zimę starości, nie umieli go złożyć jednak i pogubili po drodze życia. Bywają inni co ich w swojej wiosnie nigdy nie widzieli—szczęśliwi, bo nie mają czego żałować...

Zawróciłem tedy ku ziemi. W myśli się mojej jakoś jaśniej robić zaczęło, oko dalej i pewniej poglądać—uśmiech przycichł na ustach, a one przestały być tak skore do całusów. Zacząłem słuchać...

Gwar, szmer, niezrozumiałe słowa, jakies drażniące odgłosy, ponure echa i równe, pojedyncze, rozdzielone od siebie równymi przestankami dźwięki, czasem czyste i głośne, częściej stłumione naraz do uszu moich wpadły. Pytałem ludzi coby miały za znaczenie, co każdy z osobna odgłos, co razem, a oni w odpowiedzi, kazali mi czekać—czego? czasu. Zacząłem tedy liczyć godziny i coraz ciekawiej wsłuchiwać się w ten zamęt... Te szmery wydały mi się powszednim ludzkim żywotem; te głosy co tak niemile wpadały mi do ucha niesprawiedliwością nieznaną mi dotąd, a te drżące, równe, jakoby mierzące resztę, jakiemiś niepojętymi dźwiękami jakby gdzieś na innym świecie zbudowanych dzwonów, które wieczyście brzmią sobie w ludzkości. To teżem nie więcej już nad nich nie słuchał. Zwolna coraz lepiej pojmowałem ich mowę, coraz to głośniej, bliżej mnie się odzywały... o wielkości, o sławie, o wieczności i o czemś jeszcze co chciałem lepiej zrozumieć a co mi z uszu ciągle umykało dążąc niżej ku ziemi, wirując po nad nią, a nigdy jednak, choćby na chwilę na niej nie spoczawszy. Pogoniłem za tém echem—ostrzy syk szyderstwa raz pierwszy doleciał uszu moich... Prawdę jam gonill.. Dotknąłem ziemi... Zacząłem czuć...

Młodości! o ty milion razy opiana, ograna, opisana, roztrząsana i rozpamiętywana młodości! i na mnie

kolój przyszła gadać o tobie. Wszyscy cię znają a każdy na swój sposób; wszyscy za tobą wzdychają a mało kto umie cię godnie użyć—a ja? Moi kochani, każdy ma prawo robić co mu się podoba z tém co do niego należy, i jeżeli w czém inném tylko *usum* dozwolono, młodość ma tę prerogatywę, że i *abusum* jój wolno. Jest ona jedyném polem gdzie człowiek czuje się zupełnie wolnym a kodex nosa nie wtrąca.

Miłość ta stara, zwyczajna, zawsze pożądana choć jedna i taż sama od wieków miłość, jest pendentem nierozłącznym zielonych lat człowieczych, gęstej czupryny i żwawych kości. Młodość i miłość to sjamskie bliźniaki: tylko z sobą złączeni żyć mogą, bo nawet te sztuczne włoskie, zeszyłych wieków tenory, umiały tak dobrze kochać jak i wypieszczeni kochankowie szczytnych natchnień poetów. Choćbym chciał tedy, sami widzicie, że nie mogę zamilczeć o eposie mojego serca. Pozwólcie chwilkę, nie tak ono długie, bo miasto dwudziestu czterech ksiąg *à la* Homer opisu intryg względem mnie popełnionych przez królowę Cypru, lub tomowej choroby serca *à la* Wejmarszczanin, dam wam tylko ekstrakt i kwintessencją moich uczuć w najmniejszej Hannemana dozie—bez rozcięnczania destylowaną wodą faktów.

Wystawcie sobie przedewszystkiem, że moje *ja* tu znika. Wielej poeci podszywali siebie pod swoich Gustawów, Kordjanów, Werterów, Child-Haroldów, etc. Wszakże i mnie wolno mieć swojego, niech będzie—Maćka. Jeżeli on was nie zajmie, no to przynajmniej uniknę zarzutu, że nie ciekawy, mógłbym schować siebie dla siebie i t. p. przyjemnych uwag. Owóż słuchajcie:

Maciek miał serce ogromnego kalibru. Ideałem jego była miłość co ogarniała wszechświat a tylko jednym jój promykiem, jednym małym choć stokroć może jaśniejszym i czystszyym od całego słońca uczuć

innych ludzi, było uczucie, głębokie jak przepaść, szerokie jak ocean, dla kobiety, czyli mówiąc utartym wyrazem — dziewicy-aniola. W dobie północnej, w ciszy, we śnie przyrody myśl jego biegła w tajniki nieba ażeby ztamtąd wrócić na ziemię cała skropiona jakby ulewnym dészczem, nierozwikłanemi zapytami ducha człowieczego. Znękany i zbolący jego umysł po próżnej walce z temi niewdzięcznemi, niepokonanemi zagadkami myśli wyprężał, nieprzymierzając jak członki ciała po przespaniu, strudzone władze swoje, zwracał orle oko wiedzy ku światu, zdawał się „że go ze wschodu na zachód obejmie“ i w końcu, jakby na spoczynek, związał swoje skrzydła pod siebie aby się ukryć w spokojnym gniazdku swojego aniola. Ale anioł nic o tém nie wiedział, że ma do czynienia z takim olbrzymem, a jego serce ma służyć za pomieszkanie tak wielkiego ducha, a Maciek znów, zwykłym torem genjuszów, nie zważając na taką drobnostkę, gwałtownie chciał w niém znaleźć nocleg dla swoich ideałów. W skutek tego nastąpiło małe nieporozumienie sprowadzając skutki wcale ogromnej doniosłości. Duch Macieka zadrzał, jęknął boleśnie, trysnął płaczem i upadł na ziemię... Uf! to była pierwsza rana, okropny zawód w miłości pierwszej kochanki.

Maciek włożył na nos binokle i odtąd począł uważniej a ostrożniej szukać dla siebie miejsca spoczynku po mordujących wycieczkach w błękity i, co powiecie? przyszedł nawet do tego przekonania, że jego ideały nigdy się nie pomieszczą w wązkich a chromych komórkach kobiecego serca. Poszukał sobie tedy drugiej dziewiczo-anielskiej oberży, wprowadzał do niej jeden tylko promyk swojej wszechświatnej miłości a resztę pozostawiał *sub Jove* będąc najmocniej przekonany a spokojnym, że nikt taki się nie znajdzie coby te ogniste rumaki jego ducha zdołał uprowadzić.

Pod ciemną gwiazdą zrodził się nasz bohater. Zdarzyło się, że gdy spokojnie zasypiał w nowowynajętym zajeździe dla swojego uczucia, właścicielka hotelu uwiła z wdzięków i rozkoszy taki szelmoski biczyk, że za jednem trzaśnięciem z niego odegnęła na bory i lasy ogniste bieguny myśli Maćkowej, a władzcę ich jak niewolnika—pieniędzy i zdrowia, zatrzymała sobie. Och! to była tragiczna chwila w jego żywocie. Obdarty z obojga, uciekł z zabójczego przytułku swoich uczuć i począł szukać błędny po świecie rozpierchłych swoich ideałów....

A oto finał: Maciek szukał, pytał, nie znalazł i zwał-pił—został szydercą....

Miłości! o ty wielki tyglu Hugonowy, ty jeszcze większa dźwignio głupstw ludzkich Sanda, ty rozpaczy starców, ty najślepsz a żądzo młodości, ty tyrancko spokojnego życia, ty... ty... jakby cię tam jeszcze nazwać? Oj! ty, ty psotnico, prawdę mówiąc, więcej tylko grozisz i udajesz niż jest rzeczywiście. Łotr, oszust, lubieżnik i pijak, wszyscy na ciebie składają winę za swoją niecnotę. Jesteś najlepszym z pretextów do zbrodni, najudatniejszym powodem indyferentyzmu, najdoskonalszym blagierem melancholji, parawanem zwierzęcych chuci, żelaznym listem lenistwa i domem przytułku trutniów wszelakiego rodzaju. I sądzisz jeszcze, żeś-to ty powodem Maćkowego sceptycyzmu? ty prostacza siła natury, konieczności stworzenia, ślepy tłoku genezy, zawalidrogo na ścieżce idealizowania się ducha ludzkiego!..

Kobięta, to ostatnie, najdoskonalsze dzieło stwórcy (trzeba wierzyć, bo tak zégarmistrze i patentowani znawcy wszechświata raczyli zawyrokować); ta nieszczęśliwa istota téj ziemi, której wyuzdana namiętność męzczyzny w niegodnych i nieprawych popędach przypisuje większą niż jest rzeczywiście władzę, trzyma w tyrańskich, obwinionych kwiatach pochlebstwa kajdanach niższości, z machiawelskim zaprzysiężeniem się natchnio-

nych wieszczów i charłacznych salonowców, iż ona-to panuje nad nimi; ta wiotka, miękka, uginająca się pod choćby najlżejszym pożądanem i wolą szlachetnych stworzeń o bozkim płomieniu ducha i szympanсовых uczuciach mianujących się płcią męzką; kobieta, to nieudatne narzędzie przyrody, krzywy, łomny ale konieczny sztyfcik w wielkiej maszynie stworzenia, nigdy — ukrzyżujcie mnie za braterską moją szczerłość! — nigdy, powiadam, ani pojąć wyżyn myśli pewnych, pojedynczych w długim odstępie wieków zjawiających się jednostek, ani przeszkodzić im w biegu ku coraz wyższej doskonałości nie jest zdolną.

Maćku! o ty potężny tworze natchnień mego ducha, jeżeliś w drodze swojego żywota pogubił wonne kwiaty młodości, jeżeli potem w zwykłej kolei i następstwie rozrastających się kości i większej ewaporacji ciała, zabył na chwilę tych wielkich, eterycznych wydzielin mózgu, zwanych ideami a tak poszukiwanych przez zgłodniałą nowość ludzkość wszystkich wieków, choć w gruncie względnej tylko wartości i jedynie *dla niej* (podkreślam ten wyraz) przydatnych i — o Maćku! jeżeli raz wypuściwszy z dłoni tę idealną nić co spaja i wiąże narody a genjusze wszystkich czasów ze sobą, nie mogłeś już więcej jęj pochwycić — wierz mi, to nie błękitne ani czarne oczy naiwnych, bezmyślnych źródełek naszego rodu temu zawiniły, ale ty sam a raczej słabość tylko tkanek stanowiących twoją istotę cielesną, słabość konieczna widać a podlegająca prawom natury, stała się tego powodem. Dziś już niema co — kończ swoją drogę..

Zwątpienie i prawe jego dziecię szyderstwo, to potężny bicz a i cugle zarazem na dziecinne przechwałki ogłupiałego pozornym powodzeniem w zdobyczach wiedzy ludzkiego rodu....

Szyderstwo, to ostrzeżenie wywieszane *pro publico bono* na drodze człowieczego pochodzenia ku nowemu doświadczeniu, co śmiało i bez bawełny, kpiąc sobie z je-

go pychy nie dozwala mu rozplynać się w zbytnej zarozumiałości, co by go w końcu w *myślącą bezmyśl* zawiodła.....

Szyderstwo, to także jeden, konieczny dla równowagi świata, przeciwległy biegun słodko-mdłych uczuć serca ludzkiego i ogłupiającej wiary w wielkość ducha człowieczego.....

Wiedeń, 5. VII. 1868.

XIII.

LUDZIE TALENTU.

Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście poćiec,
Bo i z prawdą jest pięknie i tak kazał ojciec.

Powrót na wieś.

Diram qui contudit hydram
Notaque fatali portenta labore subegit,
Comperit invidiam supremo fine domari...

Hor. epist. II. 1. 10.

I.

Ex-literat.

— Przypadek i okoliczności, dodaj pewną dozę
namiętności ulokowanych w piersiach żywotnej, samolu-
bnej jednostki, to już i gotowy kandydat w dziejowej
rubryce na wielkiego człowieka. Czemu zawdzięcza się
sława? Pewności siebie i sprzyjającej sytuacji z pomocą
której ta pierwsza może zadośćuczynić porywom indy-

widualnych żądź, które czy-to ku korzyści, czy stracie ogółu byłyby skierowane, tak w pierwszym jak i w drugim razie zawsze znajdują otwarte wrota do głupowatego podziwu tłumu i dobrodusznój pamięci ludów. Idzie tylko o to, abys śmiał i idzie o drugie, już podrzędniejsze, abys śmiał *na czasie*. Horacy już wspomniał o olbrzymich skutkach pewności siebie, a śnać był tak mocno o tém przekonany, że za zbyteczne nawet uważał dodać w zwykłej swojej roztropności, iż dobrém jest pamiętać przytém na stosowną chwilę. Poeta-poganin, który hołdował zasadom Epikura a dla strawności tylko lizał od czasu do czasu stoickie maxymy, w tym punkcie posiadał już, dopiero później zfabrykowaną chrześcijańską zasadę, że wiara góry przenosi. A ta wiara, ta ufność w siebie, cóż-to takiego? Człowiek mądry, który poznał wiele, który im więcej badając, tém więcej się przekonuje jak mało jeszcze zbadał, człowiek doświadczony i rozsądny wreszcie, zawsze będzie ostróžnym i względnym, a do pewników nawet jakie sobie zdobył nie omieszka nigdy dodać: tak mi się zdaje, nie twierdę ale przypuszczam, bo nie znam wszystkiego. Wychodzi to na ową grzeźczość francuzką, która nawet do wyraźnego rozkazu lub zakazu nie przepomni o delikatném, łagodzącém: *s'il vous plait...* Człowiek, który mało poznał, lub téż poznawszy pewien obszar wiedzy do tyła jest bezczelnym, że nie mogąc oprzeć się swoim namiętnościami, staje wśród innych i przybrawszy w pomoc niemniej ciemnych, głupich a żądnych krzykaczów, zuchwale narzuca swoje widzi-mi-się jakie mu samolubstwo podsunęło, człowiek taki tylko, według mnie, zdolnym jest wyciągnąć rękę po wawrzyn, który mu podadzą zdziwione nowością i odwagą tłummy, i taki tylko może być pewnym, że imie jego gorejącemi głoski w księdze pamięci ludzkość zapisze. Myliłby, się ten, coby spoglądając przez taki przyzmat na sławę i wielkość, chciał dopatrzeć przez to jakiegóś poniżenia tych pięknych kwiatów naszego życia. Jeżeli powiadam,

że należy je przypisać głównie pewności siebie, pewnemu niejako stopniu zuchwalstwa arbitralnego ducha, jako téż danym okolicznościom, to wcale przez to nie chcę i nie mogę utrzymywać, że wszelka sława i wielkość rodzi się tylko z chciwości i żądź godnych pogardy. Że egoizm daje im życie, to dawno dowiedzioném, ale żeby egoizm ten był złym, tego nikt jeszcze i pono nikt nigdy nie będzie miał odwagi utrzymywać. Zresztą cósłkolwiek byśmy przeciw egoizmowi mogli postanowić, to nigdy tego, iżby on nie był naturalném prawem żyjących istot, a jeżeli znów jest prawem natury to i na cóż się zdały wszelkie najazdy na to zło konieczne wszelkiej wegetacji?... Egoizm więc to motor jedyny naszych czynności. Jeżeli ten skieruje się wypadkiem ku pewnej stronie, ku pewnym kwestjom obchodzącym wszystkich, wtedy jednostkowe uczucia i potrzeby, które go wywołały, nikną w uniwersalnych żądaniach, a jednostka ta, która się nim posługuje, zostaje rezerwoarem uczuć narodu lub ludzkości całej i w miejsce pogardy należnej osobistym namiętnościom uwięzionym w pojedynczém ja, zostaje uwieńczoną laurem zasługi, uznaną za godnego czci bojownika słusznych wymogów człowieczeństwa i w końcu, po fizycznej śmierci, unieśmiertelnioną w wdzięcznej pamięci ludów. To cała tajemnica sławy: odczuj co czują wszyscy i podnieś w górę proporzec tego uczucia a wielkiś. I słusznie. Zostajesz wyrazem, summą i kwintessencją ogółu, jego prawicą, głową i koroną, zostajesz pierwszym, wielkim, genjuszem lub zesłannikiem niebios a to stosownie do stopnia ogólnej oświaty ludu czy ludzkości w czasie, w którym się zjawieś. Więc jeszcze raz: potrzeba przedewszystkiem sobie tylko ufać...

Facet który to mówił spojrział na mnie, uśmiechnął się ironicznie, potem ziewnął, przeciągnął się, zwiesił głowę, przymknął oczy i zdawał się, że popadł albo w głęboką kontemplację, albo téż w rodzaj *«drzémki sans façon»*.

Przypatrzmy mu się.

Jest-to mężczyzna średniego wzrostu o długich swobodnie w tył zarzuconych blond włosach. Czoło jego szeroko rozwinięte podrysowanem jest łukami ciemnych brwi, które jakby na klamerkę zostały spięte dwoma głębokiemi zmarszczkami. Badawcze spojrzenie kryło się pod okularami, ale ruchliwe skrzydła jego nosa zdradzały uczucia wewnętrzne, które reszta fizjognomji jakby do maskowania się zmuszała. Usta z lekka w kątach swoich zaginające się ku dołowi miały wyraz ironji połączonej z pewnem pobłażaniem.

Jest-to dziwak, według jednych; mądrała, według drugich. Zwykłym jego zajęciem flanerka po ulicach miasta, pilnym zatrudnieniem szerokie ziéwanie, a nazwiskiem: ex-literat. Dla tego jest dziwakiem, że się zawsze o ile może uchyla od dziecinnych, czczych form towarzyskich; dla tego jest mądrąłą, że niegdyś siedział tylko w książkach i nie lubiał gadać o niczym w pustogłowych zebraniach, a dla tego ex-literatem, że raz jeden w życiu swoim zerwał się do druku i padł natychmiast pod plutonowym ogniem zakrzakowych krytyków.

Otóż z tego rodzaju personą w téj chwili miałem do czynienia. Wysłuchawszy uważnie całej oracji zapytałem, do czego mianowicie wszystko to prowadzi?

— Chcę ci zrobić jedną propozycją, przez którą chciałbym faktycznie ku twemu pożytkowi sprawdzić moje przekonania.

— Byłoby nieutrudzającą i nienaruszającą moje przywyknienia—odrzekłem z niepokojem widząc ex-literata biorącego za kapelusz i podającego mi rękę.

— Nie powiem, iżby się obyło bez pewnych ofiar, ale bądź przekonany, iż dobre wynagrodzenie, moralnie biorąc, otrzymasz. Uważaj: Dantego oprowadzał Wirgiljusz—pozwolisz mi być swoim ciceronem po prawdziwym czyścu jaki ci chcę pokazać.

— Słucham cię, mistrzu.

II.

Wyrobnicy pióra.

— Oto krąg pierwszy—mówił mi ex-literat wskazując na pewną gromadkę młodych i starych indywiduów, które z weselnym uśmiechem obsiadły stół w jednej z miejskich garkuchni — rozpatrz się dobrze po ich obliczach a znajdziesz wśród nich naprzód dziennikarzy, fejletonistów, sprawozdawców brukowych i krytyków, potem nowiniarzy, reklamistów *e tutti quanti*...

— Po czémże, mistrzu—odezwałem się—mógłbym ich rozróżnić?

— Dziennikarz *vel* redaktor, *figlio mio*, zawsze bywa dobrej tuszy, jeżeli jest dyrektorem codziennego pisma; dość szczupłym, jeżeli tygodniowego, a już chudym zupełnie jeżeli zawiaduje pismem wychodzącym raz na miesiąc. Jest-to stosunek prosty pomiędzy objętością jego korpulencji a ilością arkuszków bibuły wydanej w ciągu roku. Fejletonistę odgadniesz po wieczystym uśmiechu jakie fatum złowrogie przylepiło na jego twarzy. Takiego *l'homme qui rit*'ego, takiego nieszczęsnego Wyplunia (boć tak podobno czyta się ten bohater), takiego „śpiwaj pajaco, bo nie zapłacą“ poznasz jeszcze po błogiem zadowoleniu ze siebie, wyraźnie małującym się na jego fizjognomji. Sprawozdawcę odczujesz zaraz po marsowatěj minie i dopytywaniu się o szczegóły. Krytyka *vel* recenzenta po nieporównanej powadze, wolnej dobitnej pronuncjacji i częstych skrzywieniach się z rodzajem wewnętrznego niesmaku. Reklamista za to zaraz ci poda rękę i palnie tyradę o pożyteczności inseratów wraz z niezliczonemi przykładami o ich stanie w Ameryce.

— *Dimmi, maestro mio, dimmi, signore*—pytałem się oglądając do koła—co sądzisz o nich?

— Wszyscy-to są ludzie zasługi, zdolności a pięknego pióra... Dziennikarz zwykle bywa najuczciwszym ze wszystkich: tego u nas wymaga jeszcze opinja, za granicą już-to nie konieczne, jeżeli jest tylko zdolność. Lecz w zamian dziennikarz posiada właśnie najmniej tój zdolności biorąc stosunkowo do innych wchodzących w skład redakcji. Jest on tylko klapą bezpieczeństwa, ostatniem ziarnkiem stanowiącém owo klassyczne *acervus* i wreszcie koniecznem nazwiskiem na dzienniku do którego możnaby się w potrzebie odwołać. Fejletonista, jakem ci już powiedział, ma więcej werwy od samego redaktora, stara się zawsze być dowcipnym ale też i mniej za to odeń posiada skrupułów, choć w summie także dosyć moralny. Sprawozdawca brukowy to zwykle cały łgarz — nieszkodliwy: dziś coś zmyśli i napisze, jutro odwoła—to cała sztuka, a jest przynajmniej czem szpalty zapełnić dla tak mało wymagającej a jeszcze mniej wybrédnej publiczności. Krytyk...

Ex-literat stłumił głos, obejrzał się lęklwie do koła, położył palec na ustach i szepnął mi do ucha:

— Mówmy ciszej... Niech śpi licha! mogliby mnie jeszcze raz wywlec pod chłostę... Słuchaj więc, ale zaklinam cię, zatrzymaj to przy sobie. Krytyk więc, to ważna osobistość. Moralność jego nadzwyczajnie wysoka. Etyka na takich jak on słupach właśnie się wspiera i jedynie one to ją podtrzymują jak baldachim ażeby czasem nie spadła na ziemię i prawdziwych promieni słońca nie przepuściła. Krytyk w jednym ręku zwykle trzyma dziesięciorgo przykazań, katalog mrzonek idealistów i kodex, a w drugim trąbę, bat i pióro. Co tylko nie przystaje do tych ksiąg natychmiast ogłasza to za pomocą wrzaskliwych uwag, rad, przestroóg, ostrzeżeń etc. etc. etc. wszystko to owinięte bywa w brzmiące wyrazy moralności, prawa, piękna, godności, a kończy się na: głupis, milcz, za młodyś... Nie sądź, iżbym go za to miał potępiać, ale zważywszy to i owo nie mogę

także pochwalić. Krytyk zwykle, jak u nas, bywa to młodzieniaszek, sam nie nie umiejący i nieposiadający w ogóle do niczego zdolności. Cóż mu pozostaje? rąbać za to innych. To rzecz najłatwiejsza. Krytykiem bywa także i to dość często poeta lub pisarz jakiś, co wyczerpawszy swoje natchnienie idzie koronować wieszczce skronie swoje pytyjskiemi wyroczniami wygłaszanemi z trójnoga olbrzymich swoich zasług. Cokolwiek bądź nie zgadza się z jego osobistém przekonaniem jakie kiedyś wypowiedział w swoim dziele, o którym wszyscy już zapomnieli, to bezwarunkowo i bez apellacji musi być djabła warte. Tego rodzaju krytyk nigdy dzieła które ma recenzować sam nie czyta, co najwięcej przerzuca je, a jeżeli dostrzeże przypadkiem jeden tylko wyraz niezgodny z jego poczuciem lub ogólnym podmuchem a przesądami, bierze wyraz ten za punkt wyjścia i pali siarczystą filipikę przeciwko rzucaniu się na uznane świętości świata tego. Taki ex-twórca *vulgo* zdolny krytyk to straszliwy bicz na młode pióra. Niczem go nieubłagasz, chyba... chyba... polać się jego łaskawym względem i błagaj o wskazanie drogi, szczególnież o wskazanie drogi, wyraźnie o nią, będziesz wkrótce wielkim, zaraz drugim po szanownym krytyku...

Ex-literat głęboko odetchnął, otarł pot z czoła po wygłoszeniu tych wyrazów, nadstawił uszu, a nie słysząc nic coby mu mogło grozić, zwrócił się do mnie i odezwał się już głośniej:

— Pozostaje mi jeszcze reklamista. Jest to najlepszy człowiek pod słońcem. Spraw mu śniadanko a na drugi dzień na wsze strony świata ogłoszonym zostajesz za postępowego, obiecującego przyszłość, szlachetnego, wspaniałomyślnego i ręczę ci, że gdybyś dodał jeszcze jedną więcej butelkę, zostałbyś z najspokojnijszym sumieniem w końcu wielkim, szczytnym, genjalnym tuż, tuż i... nieśmiertelnym!

— Mistrzu mój, mistrzu!—zawołałem odwracając się od gronka siedzącego przy stole—idźmy już ztąd co prędzej, bo inaczej żółć mię zaleje z zazdrości, iż nie jestem żadnym z tych...

III.

Reflexja.

Ex-literat popatrzał na mnie, pokiwał głową, ujął za rękę i dodał:

— Zazdrościsz im?.. Masz słuszność. Okrzyczany pozytywizm dzisiejszy a który mimo to mało kto dobrze pojmuje, wypędził na kraj świata wszelkie pokuszenia o nieprodukcyjną sławę, jeżeli ta zaraz nie daje się spieniężyć. Wprawdzie może ktoś wystąpić i z księciem biskupem cisnąć im te wyrazy:

Co powie prawy mędrzec wiek wiekowi poda,

A te nasze światelka co błyszczą dośó jasno,

Jak się w punkcie rozświecą tak w punkcie i zgasną...

Ale czy sądzisz, że mu nawet dokończyć tych wyrazów dozwolą! Niema czasu na mrzonki!.. Wieki genjuszów minęły, wiedza to co zyskała na obszarze straciła na głębokości, a jeżeli w dodatku ta wiedza nie niesie zaraz za sobą korzyści, precz z nią! to trąci starzyną, klassycyzmem, scholastycyzmem, pedantyzmem, i czart wie czém tam jeszcze. Zazdrościsz im téj chwilowej sławy i korzyści? Masz jeszcze raz słuszność. To twoje co użyjesz—*post mortem nihil*... Ta zasada przez wszystkich została wprowadzoną w życie, tylko... tylko że nikt nie śmie głośno jój wypowiedzieć. Jeżeli się do niej praktycznie stosujesz, nazywają cię postępowym, pojmującym zadanie naszego wieku. Jeżeli zapomnisz się i głośno ją wypowiesz, nazwą cię poganinem podkopującym święte zasady religji. Rób jak inni, myśl co ci się

żywnie podoba, gadać wara, O! cała rzecz. Ale nie sądz znowu, iżby mimo tych świetnych pozorów los tych ludzi był nazbyt godnym pożądaniam. Są i tam kolce, a kolce głęboko wpijające się w serce i pozostawiające zabójczy jad po sobie, który z czasem rozlewa się po całym organizmie, gangrenuje mózg i z wolnej istoty robi w końcu godną litości maszynę. Młode nie raz siły, pełne nadziei umysły zwabione łatwemi trjumfy ochoczo zaprzęgają się w ten wóz hałaśliwy jakim jest dziennikarstwo, a ślepe na przyszłość, garściami z razu rzucając djamenty któremi je przeznaczywszy ku lepszym celom natura obdarzyła, z upływem czasu byleby tylko utrzymać się na stanowisku na jakie weszli niebacznie, gdy już nie pora szukać innego, zmuszeni są wreszcie serdeczną krwią swoją opłacać dorywcze korzysci, aż przyjdzie chwila gdy wyrzucając resztki spalonych żużli ze siebie poczują zbliżający się koniec straconego na próżno życia w nagrodę którego brat-wyrobnik na drugi dzień po śmierci uczi je półszpaltową nekrologją—oto wszystko. Zazdrościsz im?... Powiesz, że większość ich nie czuje, niema samowiedzy o swoim nieszczęściu. I to prawda. Jeżeli cię pociąga ten bydlęcyzm uczuć, jeżeli przekładasz bezmyślność zadowoloną ze siebie nad skromną, cichą ale szlachetną, człowieczą świadomość o płaszczyźnie takiego żywota...

— Przystań mistrzu — odrzekłem—i jeżeli to co masz mi dalej pokazać podobne temu com dotąd dopięro ujrzał...

— Są kałuże, są i łąki kwieciste, jest tłum bezmyślny i niewolniczy, jest i myśl swobodna:

... non ti cruciare,

Vuolsi così cola dove si puote

Ciò che si vuole, e più non dimandare.

IV.

Idziemy dalej.

Ex-literat wskazując na puste ulice, ponieważ już i północ była niedaleką, rzekł:

— Lesage miał diabła co mu dopomagał w jego opisach przez zdémowanie dachów; ty mniej odeń szczęśliwy musisz się zadowolnić powolnym wciskaniem wraz ze mną po wschodach, sieniach, dziurach i t. d. Zresztą tak piękna noc jaką mamy uprzyjemni nam przechadzkę... Jeden z mało znanych a jeszcze mniej ocenionych poetów powiada:

Noc włoska, cicha wonna i marząca,
Gwiazdy się palą, świecą jak w koronie
Madonny perły, wiatry ledwie trąca
Kielichy kwiatów, ledwie plusną tonie,
Po niebie czasem płynie chmurka drżąca,
Biała jak muslin w dziewiczej osłonie...

Otóż zobaczymy w jaki-to sposób oni używają tej poetycznej nocy. Uważaj... tam w górze... na poddaszu. Włóż na nos binokle i przypatrz się fizjognomji, która oknem wygląda.

- Widzę jakąś twarz młodą.
- No, to konieczne, starzy tak późno nie wyglądają bez potrzeby. Cóż więc?
- Spogląda w niebo...
- Po co?
- Djabli go wiedzą... to musi być poeta.
- Tak, jest-to poeta bez rymów, czyli inaczej mówiąc, nic z niego nie będzie. Poetyczna dusza tylko z rymami może przejść ten świat jako tako. Na pośmiech może odpowiedzieć plusnięciem jakiego wierszydła a w najgorszym razie dostać po trzy grosze od więrsza w pier-

wszym lepszym dzienniku. Indywiduum które obserwujesz niema zdolności do końcówek, to całe jego nieszczęście. Dzień cały przepędza na łakomém połykaniu wiedzy, to jego namiętność. Noc na marzeniu, to jego rozkosz. Zła droga. Dziś się łyka i zaraz wyrzuca ze siebie, pod jakąkolwiek postacią byleby wyrzucić po kiepskiém przetrawieniu. To się nazywa blaga—po cichu, a zdolność—głośno. Mieszkaniec poddasza którego widzimy dużo i ciągle obserwuje a nic nie wydaje ze siebie. Może będzie kiedyś czémś—dla siebie, ku wewnętrznemu zadowoleniu, niczém pewno dla żadnego ogółu...

Ex-literat zwrócił się do mnie i jak echo powtórzył:

—Niczém dla ogółu... Posłuchaj, opowiem ci historyjkę: Był sobie jeden... Miał lat ośmnaście, dużo wolnego czasu a w dodatku butnego ducha. Ośmnaście lat kazało mu być ciekawym, wolny czas pozwolił zadośćuczynić téj ciekawości a butny duch wyłamać się z pod tysiąca przepisów jakimi niemając co lepszego do roboty tłum się krępuje. I został marzycielem. Potém, ponieważ koniecznie potrzebował przed kim się wywnętrzyc, djabelskim podszeptem wiedziony zaczął o druk. Cóż myślisz: jak został przyjęty? Naturalnie, że gdy spostrzeżono poezją bez końcówek, nie pozostawało nic więcej jak rzucić mu pośmięch. On się ściał, reflektował, obcinał porywy fantazji, i nic nie pomogło: nie umiesz końcówek pisz traktat prozą, a jeżeliś do tego nie zdolny to cicho siedź ze swojemi mrzonkami... Dziś już nie patrzy w niebo, bo kładzie się spać o dziewiątej lub w knajpie przesiaduje do północy. Masz próbkę. Jeżeli obaczysz kiedy twarz młodą spoglądającą po nocy w niebo, parsknij śmiechem tak głośno ażeby usłyszała. Lepiej wcześniej zdmuchnąć marzenia, niż potém dać się skoślawić duchowi...

— Przyznam ci się—odrzekłem—że mało co z tego rozumiem, to potrzebuje dysskusji.

— Ehl! to już kiedy-indziej. Ruszajmy dalej.

V.

Hugoniści.

Przeszedłszy kilka ulic skręciliśmy na jedną małą, wąską z której dolatywał nas gwar niezrozumiały i skoczne tony muzyki. Widocznie wesoło gdzieś się bawiono i gdym na to zwrócił uwagę mojego przewodnika:

— Właśnie—rzekł—jeżeli wola po temu tu się zatrzymamy. Rozwesel swoje oblicze, przybierz ruchy pełne swobody, a oczy puść na pół błędne aby kto przypadkiem badawczego wzroku w nich nie dostrzegł. Oko przytomne, pewne siebie a uważne może nas zdradzić. Tłum go nie lubi i lęka się, a co najmniej dostrzegłszy zwykł natychmiast się powściągać i krępować a nam chodzi przecię o rzeczywistość.

Weszliśmy. Był-to salon. Rozstrojony fortepjan wydobywał resztę tonów pod urywanym uderzeniem nie zbyt pewnego siebie wirtuoza. Kinkiety obrzydliwie śwędziły, a wraz z dynem wydobywającym się z ust kilkunastu obojga płci pogrążały w półcień osoby tam się znajdujące.

— A teraz baczność—rzekł do mnie ex-literat—jeżeli chcesz wyjść ztąd cały i nieośmiészony, śmieję się sam i potakuj.

Spójrzałem jeszcze raz do koła. Malownicze pozy mężczyzn porozkładanych po kanapach, lub stojących na środku, pełne koketerji ruchy kobiet głośno się śmiejących szczególniej mnie zastanowiły.

— Mistrzu—odezwałem się do mojego towarzysza—gdzieżeś mnie wprowadził? Zdaje mi się, że w gro-

nie ludzi wesoło życie pędzących... jakież cel?... rzecz znajoma...

— Słuchaj!...

— Utrzymujesz najmilszy—mówił jeden—że życie ma swoje obowiązki? Bravo! i ja ich nie odrzucam. Naprzód, pierwszym obowiązkiem jest...

— Pozwól, cny Lowelasio—przerywa mu inny—to do ciebie nie należy, nasz filozof najlepiej skategoryzuje.

— Zbyt ni zaszczyt, panowie—odzywa się na to jakiś szpakowaty—przyjmuję jednak wezwanie...

— Słuchajcie, słuchajcie!—słysząc głosy.

— Rzecz ku zbudowaniu naszemu—woła łysy—ku nauce przyszłych pokoleń.

— Ku poprawie płci pięknej — dorzuca jeden z młodszych z miłym uśmiechem posłanym dla dam.

— Ku przestrodze mlęczaków — słysząc półgłos jakiegoś brodacza.

— Hola! mniejsza ku czemu, pozwólcie, niech mówi.

— Słuchajmy!

— A więc—zabiera znowu głos szpakowaty—życie, panowie, w niepojętej zagadce bytu, w niezbadanym przeznaczeniu, wreszcie w mądrości boż...

— Natury, chciałeś powiedzieć—przerywa jakiś materjalista.

— Tylko bez korekty—wstrzymuje go inny.

— Życie więc—ciągnie dalej szpakowaty—jakiekolwiek—to byłoby ze wszystkich trzech olbrzymich działów przyrody, ma cel swój a mając ten cel musi mieć także i prawa na których się rozwija, prawa które w kamieniach nazwiemy bezmyślną atrakcją, w roślinach także nie zdającą sobie sprawy wegetacją a w zwierzętach instynktem, który dochodzi w najpiękniejszym tworze jakim jest człowiek do samowiedzy i rozumu i w którym już prawa te preradzają się w poczucie zależności od przyrody, jeżeli ten nizko jeszcze stoi w rozwoju swojego

ducha, a w poczucie obowiązku względem przyrody i bliźnich a raczej społeczeństwa, jeżeli ten już doszedł pewnego...

— Jeżeli ten—przerywa któryś—chodzi we fraku jak wacpan, je ostrygi, tańczy kadryla i obcuje z kry-nolinami.

— Przerwa na miejscu, bo wiesz co, djabelnie nudna oracja—mówi ziewając brodacz—powiem wam kródkiej: życie całe djabła warte i szkoda czasu na myślenie o takich facecjach.

— O lapidarny! wiwat!

Tu się odzywa chór płci pięknej śmiejącej się z całego serca z dowcipnego brodacza.

— Życie—ciągnie dalej zachęcony uznaniem—życie na to aby użyć, jak to mówi sama etymologja; obowiązki są—to mrzonki socjalistów, a gadanie o nich—dzieciństwem.

— Jeszcze raz bravo za tę poprawną edycją...

Zwróciłem się do ex-literata.

— Mistrzu—rzekłem—co znaczy taczca gadanina?

— Milcz—odszeptał, zatykając mi usta—milcz o nie-pojętny! to właśnie jest werwa która się po tém prze-léwa na papier. Azaliż niebaczny nie poznałeś w nich literatów? azaliż nie czujesz w tych wyrazach preludji do głębokich poglądów na świat, społeczeństwo i prawa, które jutro do druku przygotowane zostaną? Nie podzi-wiasz dowcipu, humoru i prawdziwie młodej krwi w tych zdaniach tak pewno wygłaszanych?... Usunmy się na bok cokolwiek, powiem ci parę słów... Ot! tu właśnie nie zwrócą na nas uwagi. Patrzcie i słuchaj uważnie. Ten na kanapie leżący, mocny brunet, to dramaturg. Na ustach jego siedzi tylko Szekspir. Szekspir dlań to alfa i omega. Szekspirowi piérwszeństwo nad wszystkich. Szekspirem wywija jak motyką skoro wpadnie w sztos wykładu, co to jest sztuka. Za Szekspirem tylko pusty-
nia, zmrok, nicość. A to uwielbienie dla komedjanta

brytańskiego poczerpnął z broszury V. Hugo. Niemożna jednak zawsze naśladować Szekspira—dramaturg nasz wie o tém i naśladuje jego wzniosłego czciciela. Więc Hugo, po Szekspirze, dlań ostatnim wyrazem. Więc pisze jak Hugo, myśli jak Hugo i szarżuje słowem, niby jak Hugo. Napisał już ze dwadzieścia tragedij a z pięćdziesiąt komedij, które posiada na czysto przepisane w rękopisie. Z tych kilka było przedstawione w teatrze i przyjęte przez publiczność pełnem uszanowania milezieniem. Dramaturg uznał to za najlepszy objaw uznania i dalej idzie swoją drogą. Niech idzie, puśćmy go... Ten obok niego szczupły z okiem palającym, to poeta. Czyta tylko Bajrona i Museta a Hugo... Hugo mu służy za normę, miarę w pisaniu poematów i piosnek. Pisze podniosłe, zwykle o ideach ogólnych, wyższych, obchodzących ludzkość całą, bo to go właśnie stawia na wyższym stanowisku. Lubi Szopena dla eufonji jego nazwiska, pali cygara namiętnie a jeszcze namiętniej ciągnie falern szlachetny chociażby ten był w postaci piérwszej lepszej szpagatówki. Fama niesie, że jest jednym z najlepszych wieszczów żyjących ku naszemu dobru a zbudowaniu... Ten co stoi na srodku, z głową w górę wzniesioną, spójrzaniem romansowém a twarzą młodzieniaszka to także poeta *minorum gentium*. U tego znowu Hugo taki sam wielki jak u dramaturga Szekspir. Jeżeli się ten z poprzednim zjedzie czasem, mówią tylko o wyższości jednego nad drugim. Poezje jego składają się z fragmentów, sonetów i z do ***. Zdania jakie przelęwa na papier składają się z samych komparacij, straszliwych porównań. Pamiętam kilka: womituje rozpaczą... kanał wzdycha... kałuża śpięwa i t. p. Zostawiam go na boku, kiedy indziej więcej ci o nim opowiem, bo wkrótce wyjeżdża na zawsze od nas w skutek małego uznania tak towarzyszków jak ogółu... Tamten z boku siedzący, to już prozaik. Pisuje tylko traktaty o ekonomji i o potrzebie większej

kontroli miejsc pewnych. Ta ostatnia zwłaszcza kwestja żywo i z blizka go obchodzi. W tece ma romans z tendencją społeczną, olbrzymią, coś nakształt Nędzników... Ten znów...

— Mistrzu mój—rzekłem odsuwając się od ex-literata—czyż niema tu nikogo w pośród nich pojmującego życie na trzézwo?

— Owszem... owszem... te kobiety.

— Co!? i ty także popadłeś w sofizmata? i ty moralność uważasz za dzieciństwo?—krzyknąłem oburzony, ażem zwrócił na siebie uwagę obecnych, którzy poczęli zbliżać się do nas.

Ex-literat spostrzegłszy to, trącił mnie łokciem, przewrócił oczy do góry, krzyknął ażeby mu podano szklanke ponczu i szyderczym głosem zawołał:

— O moralności!.. czeze słowol parawanie i zawalidrogo na przepaścistej ścieżce po której wałę się namiętności ludzkie!.. Co za demon złośliwy i w jakim kotle uwarzył twoją istotę, a co najciekawsza, w jakiejto chwili piekielnego śmiechu swojego cisnął cię do pośród nas chciwych bozkosci, jak kość między psów zgłodniałych?.. Moralności! koślawy wypłódku chuéliwych piersi człowieczych—szczytny bękarcie zrodzony z żądry zwierzęcej, zestarzałej rozpustnicy świata tego i z młodzieńczego, pędzącego w niebiosa a jak kuropatwa ku ziemi zawsze przypadającego rozumu— po co ty tutaj? Jakież fatum w bolesnym żarcie zagnało cię w pośród ludzi? Za jakie przewinienia lub niedoskonałość swoją błędzisz zapłakane po cmentarzysku zdechłych w rozszałej orgji namiętności człowieczych?..

— Bravo! niech żyje! to mi się nazywa mówić!—odezwano się zewsząd.

Ex-literat tymczasem powstał, kiwnął na mnie i składając nizki ukłon całemu zgromadzeniu wymknął się za drzwi.

— Zrozumiałeś?—zapytał mnie gdyśmy już byli na ulicy

— Nic.

— To lepiej. Ażeby ich zrozumieć potrzeba być nimi, sądzą, że stanowią inteligencją narodu będąc tylko jego kałem. Sądzą, że na to dała im natura talent, ażeby wyrafinowani życie przepędzić. Sądzą wreszcie, że są wyżsi od reszty a czczością swoją, płytkością myśli którą pokrywają szarżą słów, że stoją wyżej od prostaków mających przynajmniej tę zasługę, że serca ich w ich ustach. A jednak... jednak ogół przed nimi czapkuje, uznaje za doskonalsze jednostki społeczeństwa i chętnie płaci im dziesięcinę ze swęj uczciwej pracy, spokoju i czci... Z pracy, bo za ich czczą gadaninę hojnie pieniędzmi i podziwem wynagradza; ze spokoju, bo często i łatwo daje się powodować ich przewrotnym ideom, a z czci, bo to co ma najświętszém, co mu sprawia jedyną rozkosz jakim jest wierność żon i honor córek, to właśnie olśniony ich błagą i poparty próżnością tych drogich sobie istot przedewszystkiém utracą...

— Fil—odrzekłem—czarnyś jak Mefistofel, snąc samotność w którąś popadł a może i chęć odwetu za przeszłe własne niepowodzenia tak cię do pesymistycznego zapatrywania się usposabiają.

— Mniejsza co, dość że widzę i jasno widzę i mówię tylko co widzę...

Ex-literat poważną przybrał minę.

— Chcesz światła?—zapytał—jest i ono, maluchne, słabiuchne, ale jest....

VI.

Dzieci melodji.

— Ale jest... tak, jest—kończył mój przewodnik—tylko... tylko, że go nie znam... może kto inny je ci pokaże.. Chodzimy po czyscu, piekła ruszać nie będę,

próbowałem to niegdyś i zaledwie mię nie ubito. Nieba nie znam... Idźmy swoją drogą! Na dziś wstąpimy jeszcze we dwa miéjsca. Oto jedno z nich...

I wskazał mi ręką kawiarnią.

— Znow jakas dziura—rzekłem niechętnie.

— Cyt!.. sluchaj.

Huczne tony jakiejś uwertury doleciały mi do uszu.

— Wejdzmy.

Zadymiona knajpa, dym i wyziewy rozmaitych trunków: kilkanaście bezmyślnych fizjognomij, parę dziewcząt wybladłych uwijających się z kufelkami i dwóch muzyków w końcu sali, oto wszystko com z razu dojrzał.

— Możesz hurtem pominąć tę trzodę o ludzkich twarzach, która w spokoju, powiedziałbym ducha, gdyby miała jakiego, chłonie bawara. Chcę ci tylko pokazać.. artystów.

— Tu? artystów?

— Tu przedewszystkiem, tu bo bez przybrania, konwenansu salonowego i maski natchnienia. Ten długowłosy, ufryzowany, z wielkiem błędnem okiem, w piérścieniach na palcach i brelokami przy byłym zegarku, to właśnie jeden z ich przedstawicieli. Znam w części jego przeszłość. W młodości swojej okazywał szczególniejszy pociąg do muzyki, noce trawił na odtwarzaniu arcydzieł piérwszorządnych genjuszów, jeżeli tak można nazwać talenta muzyczne, i w marzeniach swoich widział jasną gwiazdę co mu świecić miała po nad czołem w przyszłości. Pochwały, wzięcie, poklask, łaski u kobiet szczególniej, czar pochlebstw przyjaciół odurzyły mu z czasem głowinę, poczęły topić serce a umysłowi dozwoliły w ugór się zamienić. I znowu trawił noce--na uctach i rozpuście; i znowu widział jasną gwiazdę—łatwych trjumpfów... Dalej już zwyczajna historia. Dzisiaj jeszcze po kilkunastu kuflach wypitych, w przestankach exercytowanych pijanemi paley utworów tak niegdyś dlań ulubionych, budzi się w nim nie-

kiedy uspięte natchnienie, tylko w dziwnej już formie cynizmu i okropnego walenia w klawicybą. Wtedy, nie uwierzysz, ten człowiek wpada w rodzaj szału, podczas którego zdarzyło mi się dostrzedz... łzę w jego przyćmionych oczach—co ona ma znaczyć?

— Zapewne żal za przeszłością i straconými marzeniami—odpowiedziałem.

— I jam tak sądził, ale raz otwarcie mi wyznał... że mało tego wieczoru zarobił a dłużnym jest za kilkadziesiąt kufłów na kredyt wypitych...

— No, tą razą koncept ci się nie udał, mój mistrzu, czy masz mi co więcej tutaj pokazać?

— Jeszcze coś. Widzisz tego drugiego obok siedzącego? to jego towarzysz, druh po tonach. Spotkasz go po wszystkich koncertach rozpływającego się na każde *piano*, a marszczącego brwi straszliwe tam gdzie *forte*... Miał już kilkadziesiąt romansów, w których zostawił panny na koszu i to mu właśnie wyrobiło takie wzięcie, że wszędzie go spotkasz, kędy tylko to nieznosne pudło o drewnianym głosie, jak ktoś fortepian trafnie przezwał, exystuje. Dobrą jego stroną jest, że ma piękny zamiar napisać oratorium, aczkolwiek zwykle kończy na lichym walczyku...

— Przyznam ci się, że i to niezbyt ciekawe. Czy to już wszystko?

— Bardzo przepraszam, jeszcze mała definicyjka. Artysta-muzyk, jeżeli jest prawdziwym artystą, w takim razie ma za święty i niezłomny obowiązek nic więcej prócz klawiszów, strun, kalafonji i sordynku, kompletnie nic więcej nie znać. Wiedza o czémś inném przeszkadza prawdziwemu natchnieniu. W zgodzie z tém zadaniem niezwykły nigdy rozmawiać z ludźmi posiadającymi inny jakiś talent a zwłaszcza z literatami, jako niższymi bezwzględnie od siebie. Są dowcipnisie utrzymujący, że to robi z obawy niepokazania się osłem, ale jak sam widzisz, jest to tylko potwarz i...

— Idźmy już, wyczerpujesz się—zawołałem zniecierpliwiony—obiecałeś rzeczy nowe i ciekawe, a tymczasem wszystko to już znane od wieków.

— Ha! pokażę ci jeszcze ostatni znany mi krąg *utalentowanych*.

VII.

Władzcy pędzla.

Poczęliśmy się tedy drapać po drabiniastych wschodach.

— Dokąd znowu?—zapytałem.

— Do tych szczęśliwych wybrańców, którym hojna mama-przyroda tak ukształtowała zmysł wzroku, że wszystko widzą w kolorach. Ci nigdy czarno na świat nie patrzą—nie mogą. Przed oczami mają zawsze siedmiobarwną tęczę.

Poddasze. Kurz calowy, śmiecie na ćwiérc łokcia, gratów rozmaitych bez miary, a pośród nich stalugi i kilka blejtramów z zaczątkiem pomysłów.

— Oto masz madonnę. Bo widzisz żaden malarz nie przeżyłby, iżby choć raz w życiu swoim nie napaćciał madonny. Jest to konieczność. Każdy z nich zna imię Rafaela... A oto tutaj Venus—to druga konieczność. Tak dla pierwszej jak i drugiej służyła za modelkę jedna... jedna z tych. Gdyby nie ta właśnie modelka, koniecznie modelka, żaden z nich nie chciałby być malarzem. Jest to wrodzone poczucie piękna i na rachunek tego poczucia pozwalają sobie robić co się tylko żywnie podoba z tego rodzaju modelkami. Szczególniej lubią malować Magdalенę, i...

— Znów dowcip niewczesny—mruknąłem.

— Dowcip? Ha! niech i tak będzie i ja sam wołałbym, iżby to było tylko dowcipem nie pociągającym

za sobą żadnych innych skutków nad uśmiech. Ale tak nie jest. Panowie władcy pędzła pchani tém piękném poczuciem zwiedzają *ad hoc* pewne miejsca które szczególnie mają własność napompowywania ich natchnieniem; potem wracają do domu, do cichej pracowni swojej, jak mówią, zaciągają pewną ilość łyków z butelki i malują... siódme niebo Mahometa lub nimfy w kąpielu.

— Stronnys, są przecie pejzażyści, portreciści...

— Są, są a jakże, ale to *a parte* i jedno drugiemu wcale nie przeszkadza. Malują pejzaże na zamówienia, portrety *idem*, a Venus dla wprawy, dla nauki, dla przyjemności, dla konieczności z resztą, bo Venus najczęściej właśnie zamawianą bywa... O moralności! Ale mówmy poważniej. Malarz jeżeli jest młodym, jest prawie zawsze gołym jak święty turecki. Szuka więc protektorów sztuki. Protektorowie i mecenasu dają mu rubla na farby i z pełnemi zachęty słowami odprowadzają go za drzwi. Zdarza się wtedy tylko pewna różnica, jeżeli malarz jest przystojnym, protektor stary a jego żona młoda. Wtedy-to żona przymruża oczy, protektor wychodzi głównými drzwiami, a malarz bocznými powraca... Szcześnie trafł dość rzadki. Ale o trafach tu nie mówimy. Otóż młody malarz a goły zarabia na życie malowaniem szyldów i transparentów. Uczciwy grosz, gdyby nie to, że zwykle bywa w imię sztuki nieuczciwie przeputany.

— Mistrzu, mój mistrzu! — zawołałem haniebnie ziewając i wychodząc na wschody—skończenie mnie znudziłeś... Uf! wracam do siebie.

— Wracasz do siebie — powtórzył *ex-literat*. — Chciałeś raczej powiedzieć, że wracasz tylko do swojego domu. Wrócić do siebie... hm! według mnie, to rzecz trudniejsza nieskończenie, niżli to się nam zdaje. I ja chciałem wrócić do siebie, ale to com raz w życiu widział i doznał osiadło takim szlamem na umyśle, że mi już nigdy nie dozwoli wrócić do siebie... do spokoju... do niewinności...

VIII.

Spowiedź.

— Zostałem tedy — odezwał się ex-literat skorośmy do domu przybyli — sam jeden jeszcze o którym z porządku rzeczy należałoby ci coś powiedzieć. Ty i kilku innych upornych a ślepych według większości, uznajecie mnie także za talent. To nader pochlebne, ale zarazem obowiązujące mnie, ażebym tym samym językiem co o innych i o sobie zdał sprawę.

Ex-literat wygodnie rozsiadł się w fotelu, wyciągnął przed się nogi i założył ręce na piersi. Po chwili miarowym głosem zaczął w te słowa:

— Nasze pojęcia, sądy i przekonania zawsze i koniecznie warunkują się i są zależne od rodzaju naszego życia i okoliczności wśród których ono płynie. To stara prawda. Mając przed sobą daną jednostkę myśli a nadewszystko przekonania, możemy łatwo, mocą prostej dedukcji odnaléć przyczyny które je wytworzyły. To zwykłe szukanie Xsu matematycznego. Potrzeba tylko pewnej ostrożności ażeby nie brać fałszywie wygłaszaných zdań za płynące z samego przekonania. Zdawałoby się, że właśnie odróżnienie tychże między sobą cała trudność stanowi. Przeciwnie. Jest jedno kryterjum pewne nadewszystko: zdanie niezgodne z przekonaniem zostaje na zawsze tylko zdaniem, gdy tymczasem płynące z serca i przeświadczenia zawsze bywa a przynajmniej wygłaszający je stara się ażeby było poparte czynem. Można i czyn jakiś pozornie wykonywać, ale do odróżnienia fałszywych od prawdziwych czynów wystarcza już najprostsza uwaga. Że przekonania swoje człowiek stara się urzeczywistniać, jeżeli te jeszcze nie odnajdują

się w świecie a sprowadzać je tam gdzie one mogą wejść w czyn, jeżeli te już się gdzieś znajdują, to wypływa z wrodzonego w nim popędu do propagandy i rozszerzania, że tak powiem, swojej moralnej istoty, a który znów w świecie fizycznym znanym jest pod nazwą instynktu zachowawczego i prawa rozmnażania się rodzaju. Popęd ten jak i wszystkie inne rodzi się z naturalnego samolubstwa i jest przeto niczem więcej jak żądzą zdobyczy i panowania pod formą moralnego podboju. Żądza podboju drogą siły umysłu jest późniejszą od żądy tegoż na drodze fizycznej. To zależne od wykształcenia umysłowego, które także później niż fizyczne przychodzi i od względnej siły fizycznej. Co do tej ostatniej możemy na pewno utrzymywać, że wtedy tylko człowiek zwraca się do moralnych podbojów, gdy mu brak siły fizycznej, lub gdy ta jaką posiada nie odpowiada dostatecznie danemu przedsięwzięciu. Pomijając wnioski jakieby z tego ostatniego orzeczenia można wyprowadzić, a któreby się pewnikiem ku chwale człowieczeństwa nie przyczyniły, możemy z tego wszystkiego com powiedział wnieść stanowczo, że, po pierwsze: człowiek nigdy tak się utaić ani zamaskować nie zdolnym jest, ażeby go odgadnąć nie można, i że podrugie: tak cnoty jak i wady jego należy *w zupełności* policzyć na karb warunków i okoliczności w jakich się on znajdował lub jeszcze znajduje. Żadne zwierzę nie jest złym ani dobrym a tylko naturalnym i takim jakim być musi ażeby mogło zachować swoją egzystencję. Człowiek przychodzi na świat zwierzęciem i gdyby był pozostawiony sam sobie zostałby na zawsze, ani złym ani dobrym, ale tylko naturalnym, o odpowiednim swojego życia potrzebom charakterze... Otóż jeżeli weźmiesz dobrze to wszystko na uwagę, przyznasz sam, iż próżnym, niepotrzebnym i niepodobnym zresztą byłoby skrywanie się jakies z myślą a przekonaniem swojemi, lub chęć przedstawienia się inakszym niżli się jest. Możesz więc zawierzyć temu co ci powiem pokrótce o sobie...

Ex-literat zatrzymał się chwilę, zdawał się zbierać i porządkować swoje myśli i wreszcie znowu się odezwał:

— Onego czasu, jeszcze przed pojawieniem się mchu na mojej brodzie, byłem okropnym idealistą. Ciekawe to dzieje dla mnie, dla ciebie wystarczy ta ogólna definicja. Cokolwiek później opadając z laty i z potrzebami burzącej się krwi ku ziemi, wyznawałem na wiarę drugich powszechnie przyjęte teorie dualistyczne. Fikcyjność nedorzeczna będąca ich podstawą wkrótce poczęła mię razić i konsekwentnie z pomocą wiejącego ducha czasu popadłem w tak zwany gruby materializm. Ale myśl moja nie mogąc się zadowolnić dość krótkowzroczem tłómaczeniem rzeczy za pomocą téj teorii, pobięła sobie dalej i niemogąc nigdzie znaleźć punktu oparcia ugrzęzła sobie w robaczywy, jak ktoś go nazwał, sceptycyzm, i ponoć nigdy już zeń nie wylézie. Kto raz zwątpi temu już nikt zupełnej wiary nie powróci. Może to źle, ale cóż robić kiedy-to snąc już takie prawo natury człowieczej. Ale z ciąglém bezwzględniem zwątpieniem ostać nie podobna; więc w praktyce pozostaję wyznawcą najprawdopodobniejszego systematu filozoficznego, to jest teorii materialistycznej, niech będzie zresztą przez grzeczność, pozytywnej, a w teorii, czém kto chce a to stosownie do humoru w danéj chwili. Oto tyle co do moich przekonań, jeżeli ten wyraz może być użytym dla określenia falujących mrzonek po człeczéj mózgownicy. A teraz posłuchaj sprawozdania z méj byłéj działalności. Wśród rozmaitych wad i przymiotów z jakich się składa mój charakter, odnalazłem był w sobie dziką chętkę ściérania się z ludźmi na słowa, niby w szlachetnym celu wykrzesywania prawdy. To prościutko zaprowadziło mnie do pióra zkad, jak wiész, tylko krok do drukarni. „Póki się żyje cierpieć potrzeba, lepiej więc cierpieć dla przekonań niż z duszącego milczenia i weszłych wewnątrz oburzeń,“ powiada

któs i przyznając mu najzupełniejszą słuszność *osmieliłem się*, jak się jeden z krytyków wyraził mający do mnie osobistą urazę za wyświecenia pewnych jego brudów, bez proszenia o pozwolenstwo redaktorów, na własną rękę wystąpić z bezpretensjonalnemi świstkami w których od czasu do czasu jak mi przyszedł humor po temu a najczęściej z nudów piekielnych, gadałem o tém i o owém, zwyczajnie *pour passer le temps*. Nadspodziéwanie wzięto mi to za złe, zburczano, że ha! i wreszcie błagano ażebym zamilkł. Mój ty boże! za moje własne pieniądze nie wolno gadać co mi się podoba. Ależ, do diabła! przecieżem nikogo nie zmuszał ażeby słuchał lub kupował moje arcydzieła. I to niby tacy mądrzy a stateczni ludzie ci panowie krytycy a takiego głupstwa nie mogą zrozumieć, iż każdemu wolno robić co mu się zachce, byleby to nie było ze szkodą ogółu. Możebyś zarzucił, że i gadanie, naprzykład niemoralne, może dużo szkody przynieść społeczeństwu. Prawda, ale co do moralności, pono nie tak bardzo nie zawiniłem, a chociażbym zawinił to i tak dawno już jest dowiedzioném (o czém nawet i w Buckle'u znajdziesz, na którego tak lubią się wszyscy powoływać, aczkolwiek mało kto chce dobrze go zrozumieć), że wszelka idea, jeżeli jest dobrą to mimo największych przeciwnieństw na wierzech wkońcu wypłynie i weźmie to co jój się należy, a jeżeli jest złą i nieodpowiednią potrzebom społecznym, to sama przez się prędzej później upaść musi. Otóż zważywszy to wszystko, mimo wrzasków i krzyków, dalej swoje gadałem i byłym może i dziś jeszcze robił to samo, gdyby nie to, że pewnego razu pokombinowawszy to i owo i jeszcze co innego i zajrzawszy głębiej w siebie dostrzegłem, czegom dawniej nie zauważał, rozwijającą się we mnie chorobę, jakby nazwano, a właściwie nieocenione według mnie usposobienie do siesty, klejfów, far-niente'ów i wszelkich innych tego rodzaju przyjemności. Nigdy nie zadaję sobie gwałtu i jeżeli tylko mogę *ad naturam*

vivere, to mimo wszelkich głębokich wywodów rozumu ludzkiego, zawsze staram się w zgodzie z nią pozostawać. To zawyrokowało—trzasnąłem pióro, wywróciłem kałamarz, ukloniłem się drukarzom i odtąd jak najzadowolniejszy ze siebie i z ludzi spokojnie sobie wegetuję. Do pioruna! Sądzę, że przecie myśleć co mi się podoba nawet najzawołańszy krytyk mi nie zabroni...

Ex-literat uśmiechnął się, popatrzył na mnie uważnie i dodał:

— Widzę, że masz coś mi do zarzucenia. Pozwól jeszcze chwilę i posłuchaj... Któżby uwierzył, że w XIX wieku, w wieku dumnej cywilizacji i filantropji, demokracji, spółek, statystyki i pozytywizmu; nie tylko tłum zwykle ciemny i naśladowniczy w stosunku do genialnych jednostek, ale nawet same te jednostki, ba! genjusze nawet, którzy zaprzysięgli wierność rozumowi; którzy gotowi iść na ostre z tém wszystkim co sprzeciwia się jego przepisom; którzy śmiało, chwalebnie napadają i zabijają wszelkie niedorzeczne, tułackie mrzonki pozostałe nam albo z prostaczęj, głupiej i zabobonnej przeszłości, albo lęgnące się w nieprawidłowo rozwiniętych, spaczonym wychowaniu przyćmionych mózgownicach—pytam się, któżby uwierzył, że oni nawet w obec pewnych pojęć człowieka które mu tradycja przesłała przyodziane w powagę i sankcję minionych wieków, stają niemi, przelekli z schylonem czołem i opuszczonemi rękoma, i w dziecięcej bojaźni, w niegodnym mężów przestachu, nie śmia tak potężnego w czem inném swego głosu podnieść i zapytać się o legitymizację ich władzy i rządu interessami społeczeństwa i o ich zgodność z prawami natury?...

Wygłosiwszy ten cyceroński okres ex-literat głęboko odetchnął i dalej ciągnął:

— A jednak, na hańbę okrzyczanego postępu, wążają się jeszcze w naszych czasach tak dzikie lub tak niedorzeczne, dziecięce teorie, że gdyby nie owo przeświadczenie wewnętrzne o powolności tegoż postępu,

zastałości i czczości duchowej ogółu ludzkości, a zarazem gdyby i nie wiara w siły ducha w pojedynczych indywidualach człowieczego rodu, należałoby stracić zupełną nadzieję w przyjscie kiedykolwiek chwili w której człowiek jako prawy i posłuszny wychowanek natury jej tylko natchnieniom a prawom chętnie, bez fałszywego wstydu się podda. Nie dotykając innych tego rodzaju pojęć, mam właśnie na myśli jedno bardzo ważne a mianowicie: pojęcie o tak zwaném *lenistwie* i jego niemoralności... Ale to długa historia—może kiedy indziej... co wątpię... Kto się raz sparzy, na zimne potem zwykł dmuchać.

Ex-literat powstał, zapalił cygaro, podał mi rękę i zmierzył ku drzwiom.

— Ale!—rzekł nagle wracając—jeszcze słówko. Muszę ci powiedzieć, że z wszystkich którychem ci pokazał ja... jam jest najgorszy.

— Tak—mówiłem sobie po jego wyjściu—społeczeństwu więcej przynosi szkody indyferentyzm niż działalność jakaś chociażby ta bezpośrednio nie przyczyniała się ku jego dobru a nawet pozornie nastawała na jego całość. Tak, ten jest najgorszy—społecznie.

8. X. 1869 r.

KONIEC CZĘŚCI PIĘRWSZEJ.

T R E Ś Ć.

	str.
I. Niedoszły literat, fotografia z życia antypodów . . .	1
II. Na koszu, z notatek bałamuta	17
III. Kuzynka, sylwetka z galerji pospolitych ludzi . . .	27
IV. Kartki <i>nie</i> Kraszewskiego z Podróży <i>nie</i> Stern'a.	
Wycieczka pierwsza	37
Wycieczka druga	55
V. Figle miłości, z kronik kulawego prawa o małżeństwie	69
VI. Po capstrzyku, jedna zwrotka z eposu ulicznego . . .	83
VII. Zdechłaki, dwie chwile z zapustnego wieczorku . . .	93
VIII. Z lepszego świata, wyimek z pamiętników marzyciela .	103
IX. Nul.	111
X. Jedna z tych, nowelka	129
XI. Po gruzach Rzymu	139
XII. Zerwana kwinta, jedna fuga z symfonji społecznej spisana w godzinie nudów	153
XIII. Ludzie talentu	167

K
1832
1833